

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend



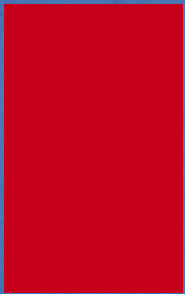
Val Kilmer
Chłopczek
ze zszarganą
reputacją
► 26

**Zazdrość
i donosy**
Co słyhać w pokoju
nauczycielskim
► 4



**WYSOKIE
OBCASY**
Maja Golec
Deminerka

FOT. CAPITAL PICTURES/EAST NEWS



MAGAZYN

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Musk chce dobrze. Dlaczego to źle?

► 12

REUTERS/NATHAN HOWARD

ISSN 0860-908X
14>
9 770860 908167

Hold pruski
Sukces, który
okazał się
klęską ► 40



Dywersanci
są wśród
nas ► 20

**Chciałem
umrzeć,
znalazłem
pomoc ► 34**

**Desa, czyli dystrybucja
prestiżu.** Koterbska
zrzuciła futro i sama się
obsługiwała ► 42

Agnieszka
Kublik

Dwuprocentowy poważny kandydat

Gdy przed laty Tomasz Lis, kandydując na prezydenta, przeprowadzał wywiady ze swoimi rywalami... Stop! Nigdy by do takiej sytuacji nie doszło. W 2004 r. „Newsweek” opublikował sondaż, z którego wynikało, że gdyby Lis – wtedy w „Faktach” TVN – wystartował w nadchodzących wyborach prezydenckich, toby wygrał z Lechem Kaczyńskim. Lis błyskiem wyleciał z TVN, choć się zarzekał, że „planów politycznych nie miał”.

Krzysztof Stanowski ma. Nikt go nie zwolni, bo to on jest szefem w Kanale Zero. Dziennikarz, showman, biznesmen i kandydat w jednym. Mamy kandydata, który zbiera podpisy, choć deklaruje, że prezydentem być nie chce, bo się nie nadaje. Własnych wieców wyborczych nie organizuje. Zbieranie podpisów też kiepsko mu idzie, bo jego sympatycy myślą, że zbiera się je klikaniem. Ale Stanowski na wyborczych wiecach się pojawia. Cudzych. Był między innymi u Rafała Trzaskowskiego – którego wyborców wypytywał o siebie – i u Sławomira Mentzena. Lider Konfederacji nawet wpuścił go na scenę. Wielokodusznie, bo Stanowski zarzekał się, że nie przekaże rywalowi poparcia.

Stanowski ma ideę. Chce rozbić „beton partyjny”. Dlatego naśmiewał się z Trzaskowskiego i był sympatyczny wobec Mentzena

Stanowski swoich rywali nie tylko odwie-dza, ale i przepytuje – na własnym kanale. Będzie Magdalena Biejat, Szymon Hołownia i Grzegorz Braun. Był już Mentzen. Który u Stanowskiego mówił, co myśli. To tam padły słynne słowa, że zgwałcona kobieta ma rodzić. I jakoś żyć po tej „jakieś nieprzyjemności”. W ponad dwugodzinnej rozmowie było kilka reklam ze Stanowskim, a na końcu Stanowski apelował o podpisy pod jego kandydaturą. Kamera pokazywała misę z napisem „F**king”. To reklama produktu sponsora kanału.

Ale powinni się wstydzić ci, którzy nie oprą się cynicznej myśli, że w tej kandydaturze chodzi o interes. Stanowski ma ideę. Chce rozbić „beton partyjny”, więc wspiera „wszystkich ludzi, którzy chcą w tym betonie politycznym wywietrzeć, chociaż najmniejszą dziurkę”. Dlatego w trakcie wiecu Trzaskowskiego naśmiewał się z gospodarza do swojej kamery, a potem go parodiował. I dlatego był sympatyczny wobec Mentzena w swoim studiu. A Mentzen pomaga mu zbierać podpisy.

Jeden z kandydatów, bez żadnych widoków na wynik, atakuje przy pomocy innego rywala tego rywala, który ma najlepsze noty. Czy to etyczne? To bez znaczenia. Grunt, że poważne. Poważny jest biznes napędzany przez imbę i polaryzację, utrwalający w ludziach groźne przekonanie, że polityka to w sumie show-biznes.

I poważny jest sam dwuprocentowy kandydat. Bo słabo skrywana sympatia topowego influencera dla Mentzena może zmienić przebieg tych wyborów. ●

Andrzej rysuje



Jerozolima Czy te listy dochodzą?



Jak co roku przed świętem Paschy trwa sprzątanie Ściany Placzu, czyli wyciąganie spomiędzy kamieni karteczek z prośbami do Boga, które zostawiają tu pielgrzymi z całego świata. Aby zrobić miejsce na nowe listki. Wywleczone karteczki są zakopywane na Górze Oliwnej. 2 kwietnia 2025 r.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



W poniedziałek w „DF”



JAK ZDAĆ POLSKĄ MATURE.
Z Biblią jakoś idzie, Bogurodzicę nawet Polakom tłumaczymy – mówią uczniowie z klasy niepolskojęzycznej, z warszawskiego liceum „Bednarska”

Strzeż się kleszcza Bo będziesz wege

Po raz pierwszy 45-letnia mieszkanka stanu Maine poczuła się źle po zjedzeniu królika. Przez kolejne dwa tygodnie po spożyciu wołowiny i innego czerwonego mięsa dokuczały jej ostre problemy trawienne. 61-letni biolog ze stanu Waszyngton zareagował bardzo silną alergią na czerwone mięso.

Obydwa przypadki łączy jedno: i on, i ona zostali wcześniej ukłuci przez kleszcze z rodzaju Ixodes. To wywołało u nich alergię na... czerwone mięso.

U mężczyzny był to kleszcz z gatunku Ixodes pacificus, na którego pierwszą reakcją była wysypka skórna i obrzęk warg, zaś alergię wystąpiła 29 dni później. U kobiety – Ixodes scapularis po wkłuciu spowodował stan zapalny i swędzenie, nietolerancja czerwonego mięsa pojawiła się po dziewięciu dniach.

U obydwu osób po ukłuciu przez pajęczaka rozwinął się zespół alfa-gal, który polega na tym, że układ odpornościowy reaguje alergicznie na alfa 1,3 galaktozę – węglowodan występujący



nie tylko w czerwonym mięsie, ale też w niektórych lekach i kosmetykach. Jak wyjaśniał dr n. med. Piotr Dąbrowiecki, alfa 1,3 galaktoza występuje też w wydzielinie, którą wpuszcza kleszcz do organizmu. I – u niektórych osób – organizm potem traktuje ją jak wroga.

Czy problem istnieje również w Polsce? – Dotąd mieliśmy przynajmniej jeden przypadek zespołu alfa-gal wywołany przez kleszcza – mówi dr inż. Anna Wierzbicka z Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu.

Alergia u opisywanej wcześniej Amerykanki zanikła po 10 miesiącach. – Alergia związana z zespołem alfa-gal może samoistnie ustąpić, ale nie jest to reguła. – odpowiada dr inż. Wierzbicka. ●

Robert Jurszo

Liczba dnia

20

PROC.



to stawka amerykańskich cel na wszystkie towary z Unii Europejskiej, które wchodzi od 9 kwietnia. „Unia Europejska została utworzona po to, by wyrolować USA” – uzasadniał podwyżki cel Donald Trump

20 lat temu umarł Jan Paweł II

Nie zamykaj go w kremówce i w krzyżówce

Coraz trudniej określić, co w inwazji papieskich wizerunków jest na serio, a co jest kpiną

Mrozek



Gdy 2 kwietnia 2005 umarł Jan Paweł II, pokazywała to nie tylko telewizja. Papieża pokazywało też Muzeum Sztuki Nowoczesnej w samym sercu Warszawy.

MSN dopiero co powstało jako instytucja, na stałą siedzibę miało poczekać niemal dwadzieścia lat – ale już pokazywało sztukę w przestrzeni publicznej, we współpracy z firmą bilbordową AMS.

I właśnie w ramach tego cyklu w kwietniu 2005 przy placu Defilad, widniała praca Piotra Uklańskiego „Bez tytułu. (Papież)”. Portret Jana Pawła II, ułożony z ciał trzech i pół tysiąca brazylijskich żołnierzy, sfotografowanych w charakterystycznym dla Uklańskiego ujęciu z powietrza.

Jak często w pracach tego artysty, wymowa instalacji była otwarta. Czy to krytyka kultu Papieża-Polaka? Tu wojsko, mundury, a tam religijny przywódca. O znaczeniu pracy Uklańskiego zdecydowali sami warszawiacy. Wokół stanęły znicze, a ludzie modlili się pod nią i śpiewali pieśni religijne. Kurator i krytyk Stach Szablowski wspominał w „Dwutygodniku”, że ludzie „zdawali się ignorować co najmniej dwuznaczny charakter wizerunku, który właśnie stawał się przedmiotem kultu: »obce« brazylijskie ciała, z których ulepione zostało oblicze »naszego« papieża, wojskowy dryl i uniformizację wykorzystane do utworzenia konterfektu, a także fakt, że »technika«, w której zrealizowany został obraz, należy do ulubionych gatunków artystycznych w tak przywiązanych do kultu jednostki stronach, jak Korea Północna”.

Potęga papieskiego kultu była wielka. Również tabliczki z nazwą „Aleja Jana Pawła II” stawały się czymś w rodzaju kapliczek – palono pod nimi świece. A Piotr Czerski napisał książkę „Ojciec odchodzi” – o tym, jak umieranie Jana Pawła II wyglądało z perspektywy imprezujących studentów.

„Aleja Ofiar Jana Pawła II”

Piętnaście lat później nieznana aktywistka doklejała na warszawskich tablicach z nazwą Alei Jana Pawła II wlepki, zmieniając ją w „Aleję Ofiar Jana Pawła II”. Podobny los spotkał Park (Ofiar) Jana Pawła II czy szkołę pod tym imieniem.

Trwały protesty Strajku Kobiet po orzeczeniu trybunału Julii Przyłębskiej, zaostreżającym i tak już wyjątkowo ostre w Polsce prawo antyaborcyjne.

Pod słynnym „oknem papieskim” przy ul. Franciszkańskiej w Krakowie, z którego polski papież błogosławił tłumy, teraz tłumy kobiet krzyczały jesienią 2020 roku „Dziwisz, Wojtyła, wasza era się skończyła!”.

I faktycznie coś w Polsce się wtedy kończyło. Związek między budowaną przez Jana Pawła II hegemonią Kościoła w polskim życiu publicznym a bolesnymi deficytami praw kobiet w Polsce



• „Zatrute źródło” Jerzego Kaliny prosiło się o interakcję. Doczekało się

był nie tylko widoczny, ale budził też emocję – określaną wtedy po prostu jako wkurwienie.

Teatr tę emocję wyraził już wcześniej. 18 lutego 2017 odbyła się premiera „Kłątwy”. Chorwacko-bośniacki reżyser Oliver Frlić powiesił na scenie warszawskiego Teatru Powszechnego pomnik Jana Pawła II na strzyku, z tabliczką „Obrońca pedofilii”. Wcześniej figura była elementem sceny seksu oralnego. A pod koniec spektaklu aktorka piłą łańcuchową ścinała krzyż.

Nigdy wcześniej i nigdy później teatr w III RP nie wystąpił tak otwarcie i dobitnie przeciw hegemonii katolicyzmu politycznego.

Pod teatrem pojawiły się protesty, aktorzy otrzymywali groźby, do prokuratury składane były zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa obrazy uczuć religijnych. Teatr bronił się, że to nie figura papieża Jana Pawła II, a „figura przypominająca Jana Pawła II”, a spektakl nie atakuje wiary chrześcijańskiej, tylko podejmuje rozmowę o patologiach w kościele. Prokuratura Okręgowa Warszawa – Praga umorzyła sprawę dopiero w lutym 2023 roku.

Papież z randki w ciemno

Mniej skutecznie wyglądały próby tworzenia sztuki celebrującej wizerunek Papieża-Polaka. Równo tydzień po premierze „Kłątwy”, 25 lutego 2017 odbyła się premiera musicalu „Karol”. Papieża-Polaka zagrał Jacek Kawalec, niegdyś gwiazdor „Randki w ciemno”, późniejszy kolejny wokalista Budki Suflera. Obok niego wystąpili między innymi Anna Wyszconi czy bracia Cugowscy.

Musical powstał pod patronatem ówczesnego prezydenta Krakowa, wywodzącego się z lewicy prof. Jacka Majchrowskiego – i pięciu katolickich biskupów. Spektakl wsparły państwowy Totalizator Sportowy, założona przez SKOK Fundacja Stefczyka i zdominowany przez skarb państwa dostawca energii elektrycznej Tauron. W hali krakowskiej Tauron Areny widzowie płakali i śpiewali razem z papieżem-Kawalcem, wykonywali znak krzyża, gdy aktor ich błogosławił. Mimo to planowany na superprodukcję papieski musical zniknął ze sceny zaskakująco szybko – nie doszło nawet do kolejnych zaplanowanych pokazów w Trójmieście czy w Łodzi.

Głośno było za to w 2021 roku o instalacji „Zatrute źródło” Jerzego Kaliny. Ważny polski rzeźbiarz, autor m.in. „Pomnika Anonimowego Przechodnia” we Wrocławiu a później pomnika smoleńskiego na placu Piłsudskiego, postawił pod gmachem Muzeum Narodowego w Alejach Jerozolimskich figurę Jana Pawła II ciskającego głazem w czerwoną ciecz, wypełniającą sadzawkę. Kalina tłumaczył mediom, że tytułowe źródło z jego pracy zostało zatrute przez „ideę postkomunistyczne”, między innymi ruch LGBT.

Rzeźba miała być spóźnioną o dwadzieścia lat odpowiedzią na wystawioną w Zachęcie instalację „La Nona Ora” („Dziewiąta godzina”) Maurizio Cattelana, przedstawiającego Jana Pawła II upadającego pod meteorytem.

Rzeźba Jerzego Kaliny szybko doczekała się odpowiedzi: ktoś dorzucił papieżowi do stawu wielką dmuchaną kaczkę; warszawskie licealistki ustawiły się pod głazem w roli ofiar ataku papieża. W realiach walki z antykobiecym prawem i intensywną pravicową propagandą papież Kaliny prosił się o interakcję – zresztą trudno uwierzyć by Kalina, sam również przez lata performer, tego nie przewidywał.

Gdy zdjęcia instalacji jeszcze przed jej otwarciem obieżył internet, wielu wzięło je za żart.

Coraz trudniej było określić, co w ramach inwazji papieskich wizerunków jest na serio, a co jest kpiną. Właśnie tę niepewność wykorzystała artystka wizualna ADU – czyli Adu Karczmarczyk. W 2021 roku wypuściła teledysk „JP2 in da house”. Blondynka w różu tańcząca z portretem Jana Pawła II śpiewała w nim do popowej elektronicznej muzyki: „Nie zamykaj go w kremówce, nie zamykaj go w krzyżówce. / Nie zamykaj go w pomnikach, lecz go szukaj w encyklikach”. I choć w piosence ADU apeluje też, by nie zamykać papieża w przeszłości, to pamięć o spektakularnych zdarzeniach kwietnia 2005 coraz bardziej się zacierała, zamykała w anegdotce o „pojednaniu kibiców Wisły i Cracovii”, które stawało się jakimś na poły mitycznym zdarzeniem, odległym i niekoniecznie rzeczywistym.

I umiera ponownie

Do tamtego właśnie momentu próbował wrócić w 2022 roku reżyser te-

atralny Jakub Skrzywanek. W spektaklu „Śmierć Jana Pawła II” z Teatru Polskiego w Poznaniu wystawił na scenie szczegółową rekonstrukcję umierania Papieża, w którego wcielił się Michał Kaleta. Rozmowy kardynała Dziwisza i lekarzy grane były po włosku, a to, co działo się z ciałem papieża, teatr próbował oddać szczegółowo, korzystając z konsultacji ze specjalistami z obszaru medycyny.

Wystawiona w szczytowym okresie polskich wojen kulturowych – wojen, w których bronią jest też śmiech – „Śmierć Jana Pawła II” była przedstawieniem zaskakująco poważnym. Nawet jeśli potem widzowie mogli wejść na scenę i zrobić sobie zdjęcie z „martwym papieżem”.

Papież w pustym muzeum

Jak dalej będzie przebiegać ewolucja papieskiego wizerunku? Z biegiem lat Jan Paweł II stawał się nie tylko internetowym memem, ale i żetonem, którego politycy – zwłaszcza pravicowi – mogli dość dowolnie używać w swojej grze. Żetonem stopniowo coraz bardziej wytartym – w miarę, jak wizerunek papieża robił się coraz bardziej plastyczny.

Kolejna tura starcia o papieską pamięć rozegrała się wiosną 2023, gdy ukazała się książka Ekke Overbeeka „Maxima Culpa. Jan Paweł II wiedział”. W odpowiedzi pisowska TVP ogłosiła, że będzie emitować po każdym wydaniu propagandowych „Wiadomości” homilie Jana Pawła II, szybko okazało się, że rządowa telewizja wcale nie zamierza emitować całych archiwalnych zapisów kazań. Nie, powracały sample-evergreeny, „Niech stąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi” z 1979 na placu Zwycięstwa (dziś: Piłsudskiego) i „Każdy ma swoje Westerplatte” z Wybrzeża, z roku 1987. Krótkie, urywane fragmenty – jak sample wykorzystywane w piosence, jak dzwonek w telefonie, jak zaklęcia rzucane przeciwko zmieniającemu się światu.

W użyteczność tych zaklęć zaczęła wreszcie wątpić sami pravicowi politycy. Kiedy 24 listopada 2024 kandydat PiS, Karol Nawrocki, inaugurował swoją kampanię w Krakowie, imię Jana Pawła II nie pojawiło się ani razu. Za to trzykrotnie pokreślił swoje robotnicze, ludowe pochodzenie.

Dziś pisowska TV Republika więcej uwagi niż rocznicy śmierci Jana Pawła II i papieskim marszom poświęca wiecom przeciwko uchodźcom i imigrantom. Trudno się z tego cieszyć – ale nie zmienia to faktu, że papież przestaje być najmocniejszą kartą w talii polskiej prawicy.

Mistrzem politycznej gry z papieskimi wizerunkiem okazał się jednak jak zwykle ojciec Tadeusz Rydzyk. Założone przez fundację redemptorysty wraz z ministrem Głińskim toruńskie Muzeum „Pamięć i Tożsamość” im. św. Jana Pawła II kosztowało Skarb Państwa już przeszło 180 milionów złotych – ale jego wystawę trudno skrytykować, bo jej wciąż nie ma, nie została otwarta. Puste muzeum imienia Jana Pawła II – trudno o wymowniejszy obraz tego, co przez ostatnie dwadzieścia lat stało się z wizerunkiem Papieża Polaka. ●

Witold Mrozek

Nauczyciel nauczy wilk

Karolina Słowik
Aleksandra Szyłło

Dotyka ich przemoc rówieśnicza, tak jak ich uczniów. Dyplomy chowają do szuflady. Żeby nie drażnić. Kanapki wolą jeść z uczniami. Wyjść do toalety – na lekcji. Żeby ominąć korytarz. Pokój nauczycielski omijają z daleka. To niektóre ze strategii przetrwania nauczycieli, którzy dopiero zaczynają, albo nauczycieli, którzy odnieśli jakiś sukces, który resztę koleżeństwa kole w oczy.

Niechętnie o tym mówią, żeby znowu się nie narazić. Jak mówią, spotyka ich nie tylko „życzliwość po polsku”, „podgryzanie”, „wojna podjazdowa”, ale też mocniejsze rzeczy: skargi, donosy. Z czego to wynika? Jak sobie z tym radzą?

Lepiej dostać w pysk

Dariusz Martynowicz, polonista, nauczyciel roku 2021: – Nagroda Nauczyciela Roku to w naszym zawodzie trochę jak Oscar. Z jednej strony mam poczucie, że zbliżałem się do tego przez lata.

Już wcześniej zdarzało mi się otrzymywać wyróżnienia, które były sygnałem, że moja praca z młodzieżą jest doceniana: zaskoczyło mnie wyróżnienie specjalne w Nagrodzie im. Ireny Sendlerowej „Za naprawianie świata”, zostałem człowiekiem roku „Gazety Krakowskiej”, wpisano mnie na honorową listę 100 nauczycieli, którzy przyczyniają się najbardziej do rozwoju kompetencji cyfrowych.

Kiedy stałem na Zamku Królewskim na gali i wyczytano moje nazwisko – nie przygotowałem żadnej mowy – miałem moment zawahania. Zdażyłem pomyśleć: albo podziękujesz, albo zaryzykujesz. Nie tylko podziękowałem, ale i zaryzykowałem. To znaczy powiedziałem otwarcie, co myślę o ówczesnej polityce edukacyjnej.

A był to czas, kiedy było wyjątkowo źle: ministrem edukacji był Przemysław Czarnek, który próbował ograniczyć autonomię nauczycieli, a kuratorem oświaty u nas, w małopolsce, Barbara Nowak. Moje przemówienie okazało się mocno klikane w sieci, komentowane, zostałem zaproszony do TVN i się zaczęło. Chciałem bronić pewnych wartości i mówiłem, co myślę. Wtedy zobaczyłem pierwsze cienie tej nagrody. Obcy ludzie pisali do mnie nieraz prywatne wiadomości na portalu społecznościowym, na przykład: „Wypierdalał z Polski”.

Uczniowie w szkole przywitali mnie tortem „Nauczycielowi Roku, a może nawet stulecia”. Rodzice uczniów gratulowali. Ale miałem pecha i zmienił się dyrektor. Ten, co mnie nominował, odszedł, zanim nagrodę otrzymałem, a na jego miejsce przyszedł zwolennik wtedy rządzących.

Otwarcie nigdy mi nie powiedział, że coś mi zarzuca. Ale bywało na przykład tak: rano spotykamy się na korytarzu i słyszę: „Była na pana skarga, będzie pan miał zaraz hospicję”. Martwiłem się, co to za skarga. Dyrektor przychodzi zaraz na hospicję, ja cały w nerwach, ale o skardze nie było już mowy – zrozumiałem, że żadnej najwidoczniej nie było.



cielowi em

... czyli opowieści
z pokoju
nauczycielskiego.

Kiedy jako świeżo uhonorowanego nauczyciela roku zapraszano mnie na konferencje, musiałem często brać bezpłatny urlop albo odmawiać, bo dyrekcja nie zgadzała się na mój wyjazd. W tamtym okresie na własnej skórze zrozumiałem, co to znaczy, jak uczniowie mówią o przemocy rówieśniczej – że woleliby raz dostać w pysk, niż w kółko słyszeć coś za plecami od innych nauczycieli. Niestety, o przemocy i mobbingu wśród nauczycieli się dalej nie mówi. Albo mówi się stanowczo za mało.

Miałem w szkole wąskie grono zaprzyjaźnionych nauczycieli, z którymi świetnie się rozumieliśmy, którzy szczerze mi kibicowali, a ze strony większości wyzuwałem uszczypliwe lub złe nastawienie.

Jedna z nauczycielek doniosła nawet na mnie do dyrektora, że zamiast szykować uczniów do matury, robię na lekcji jakieś plakaty. W pokoju nauczycielskim zdarzało mi się usłyszeć: „Nasza gwiazda przyszła” albo „Otwieram lodówkę i wszędzie jesteś” czy „Może ty na ministra się szykujesz, co nie?”. I to nie było miłe.

Bo te same słowa można powiedzieć z sympatią, a tamte były wyraźnie złośliwe. Właściwie przestałem się pojawiać tak często w pokojach nauczycielskich, przerwy spędzałem głównie z uczniami. I to nie była kwestia uwag wobec mnie. Chodzi o to, że źle się czuję, kiedy słyszę: „O Boże, znowu idę do tej koszmarniej 3A”. Bo ja uwielbiam młodych ludzi.



• **Violetta Kalka, polonistka:** Mobbing przeważnie dotyczy nauczycieli, którzy coś osiągnęli, mają olimpijczyków, projekty

• **Dariusz Martynowicz:** po latach pisze do mnie uczeń, że jak miał trudny okres, pomógł mu. To momenty niemierzalne

I może zabrzmieć to patetycznie, ale naprawdę w tym zawodzie najbardziej lubię codzienność z młodzieżą. Lubię zwykłe poczucie sensu: ktoś w ogóle nie pisał, a teraz oddaje mi rozprawkę, ktoś zrozumiał, czym jest konwencja literacka. Albo po latach pisze do mnie uczeń, że wtedy, jak miał trudny okres, pomogłem mu psychicznie i on teraz chciałby mi to powiedzieć. To są momenty niemierzalne.

Czy inni nauczyciele ze szkoły chcieli się dowiedzieć, jak prowadzę lekcje, nauczyć czegoś ode mnie? Nie było o tym mowy. Raz, jak zaproponowałem, że pokażę program graficzny, z którego inni mogliby korzystać na lekcjach, przyszło kilka osób z niemal 80. Jakby dawano mi do zrozumienia, że wchodzę w rolę ważniaka.

Z czego to wynika? Cóż, nasz zawód jest bardzo wymagający, a jednocześnie w polskich warunkach często łączy się z dużą frustracją, niezaspokojeniem finansowym, niedowartościowaniem, brakiem poczucia sensu i przekonaniem, że „każdy powinien mieć po równo”. Więc to trudne. Paradoks polega na tym, że prowadzę często szkolenia dla nauczycieli z odległych części kraju, bo tam mnie zapraszają.

Po nagrodzie zmieniałem szkołę i to też nie jest tak, jak by mogło się wydawać, że nauczyciela roku przyjmują wszędzie z otwartymi ramionami. Zdarzało mi się np. usłyszeć: „U nas w szkole nie wystarczy być nauczycielem roku”.

Mówię pani o cieniach. Ale nie czuję się żadnym męczennikiem. Nie narzekam i robię swoje, bo to naprawdę wspaniały zawód. Po latach myślę, że nie wybrałbym inaczej, niezależnie od tego, ile bym zarabiał. Bo najbardziej lubię lekcje z uczniami. Wielu kolegów i koleżanek, którzy też mają na swoim koncie różne nagrody, niedługo po ich otrzymaniu odeszło ze szkoły. Często z ogromnym bólem serca, proszę mi wierzyć.

Byłam dziewczynką do bicia

Anonimowa nauczycielka: – Kanapki jadłam z uczniami w klasie. Nie chciałam iść do pokoju nauczycielskiego. Z toalety korzystałam, wybiegnąwszy z lekcji, żeby nie musieć przechodzić przez korytarz podczas przerwy. Wychodziłam tylko wtedy, kiedy miałam dyżur.

Mam wrażenie, że byłam stygmatyzowana. Były takie sytuacje: wychodzę na przerwę, a w szkole jest cisza. Okazuje się, że wszystkie klasy poszły do kina. A mnie nikt nie powiedział. Często zdarzało się tak, że grupa nauczycieli na coś się umawia, a o mnie zapomnieli. Albo np. dowiaduję się, że zostałam wykluczona z grupy nauczycieli mojego przedmiotu, bo mam utworzyć jednoosobowy zespół. Z definicji zespół to nie jedna osoba. Byłam mocno zaskoczona, kiedy dyrektor przytaknął i zgodził się na coś takiego. Poczułam się jak dziecko gorszego Boga.

Nie wiem, czy to wynikało z mojej hiperaktywności i tego, że ich sprawozdania wypadały błado na tle mojego.

Gdy osiągnęłam jakiś sukces, szkoła się tym nie chwaliła. Miałam wrażenie, że jestem samotną wyspą. Jestem w jakiś sposób rozpoznawalna, i to raczej nie przysporzyło mi przyjaciół. I wsparcia. To jak z perfekcyjną panią domu: wszyscy chcą udowodnić, że wcale nie sprząta tak dobrze.

Najsmutniejsza historia wydarzyła się po tym, jak urodziłam dziecko. Koleżanka ze szkoły zadzwoniła i mówiła, że to najpiękniejszy czas, żebym go wykorzystała. Z dużą życzliwością nagle wsparła koleżankę po fachu. A potem się dowiedziałam. Mówiła o mnie, że jestem grubą świnia.

Pracowałam do dziewiątego miesiąca, bo nie chciałam zostawić swoich maturzystów. Prosiłam dyrektora, żeby nie zatrudniał nikogo na moje miejsce, tylko rozdał moje godziny koleżankom, żeby zarobiły sobie na nadgodzinach. A docierało do mnie, że niektóre z nich dyskredytowały mnie w oczach uczniów. Były pytania: „Pani was tego nie nauczyła?”, „Tego nie wiecie?”, „Tego nie zrobiliście?”. Takie podgryzanie.

Teraz sytuacja jest inna: część koleżanek odeszła na emeryturę, dyrektor się zmienił. I zmieniło się moje podejście do sprawy. Już wiele rzeczy wyparłam z pamięci, żeby nie oszaleć i móc pracować z tymi samymi osobami.

Jaka była przyczyna? To wynikało chyba z czystej życzliwości po polsku. Ze złośliwości, zazdrości. Przecież w szkole nikt nikomu niczego nie odbiera. Dostajemy godziny mniej więcej sprawiedliwie. Nie ma takiej potrzeby, żeby jeden nauczyciel drugiemu wchodził w kompetencje. To nie jest wyjść o złote runo. Może za bardzo drażniłam, za bardzo rzucałam się w oczy.

Przyrost moich sukcesów zawodowych był odwrotnie proporcjonalny do życzliwości grona pedagogicznego. Niektórzy mówili, że moje specjalistyczne klasy powinny być zlikwidowane, chociaż to moi uczniowie odnoszą sukcesy w olimpiadach, robią projekty międzynarodowe, wyjeżdżają na sponsorowane wyjazdy zagraniczne. To jakoś drażniło. Może nie lubimy, jak ktoś trochę wystaje ponad poziom.

Podczas egzaminów ustnych zarzucały mi złośliwość, brak obiektywizmu. Ciągle nie tak. Ale jak dochodziło do dzielenia obowiązkami, to koleżanki mówiły: „Niech młoda robi”. A nie byłam nieopieczonym pisklakiem, wtedy 10 lat w zawo-

dzie. Nie wiem, czy czuły się zagrożone, czy mnie nie lubiły.

Praca była z jednej strony dla mnie źródłem wielkiej satysfakcji, a z drugiej wielkiego stresu. Dobre relacje miałam z uczniami, panią z portierni, paniami z obsługi.

Z czasem zmieniłam podejście. Stałam się silniejsza, bo obudowałam się ludźmi bliskimi, którzy pomogli mi zbudować poczucie własnej wartości. Nadal jest nadgryzione, ale już mam dystans. Wiem teraz, że to, że mnie kąsały, wynikało z ich frustracji, kompleksów. Byłam dziewczynką do bicia. Ale to nie było moje. Doszłam do wniosku, że klientami, z którymi pracuję, są uczeń i rodzic. To są osoby, z którymi powinnam podtrzymywać dobre relacje.

Teraz przyszła nowa koleżanka. I jest podobnie. Nie ma łatwo. Jak to wygląda? Zostawianie karteczek na stole, że ma nie brać pisaków, że ma odkładać je na miejsce, że pokój nauczycielski to nie przestrzeń prywatna, tylko wspólna. Przytyki, sprawdzanie kompetencji, dowiadывanie się o jej umiejętnościach, komentowanie jej pracy.

Długość spódniczki

Anonimowa nauczycielka z 30-letnim stażem: – Gdy wchodziłam do zawodu, starsze koleżanki bardzo ingerowały w moje życie zawodowe, ale nie tylko, również osobiste. A jak człowiek już dojrzał i zapytał, dlaczego mi to robiły, usłyszałam: „Bo byłaś taka młoda, taka kolorowa i nie mogliśmy sobie z tym poradzić”. Pilnowały nawet długości moich spódniczek.

Gdy cokolwiek organizowałam, koleżanki utrudniały, jak mogły. **Aż trudno uwierzyć, że dojrzałe kobiety zeszły do poziomu piaskownicy**

Gdy cokolwiek organizowałam, to utrudniały, jak mogły. Aż trudno uwierzyć, że dojrzałe kobiety zeszły do poziomu piaskownicy. To były małe złośliwości. Nie chcę tego wspominać. Ale uważam, że teraz młodzi radzą sobie lepiej niż my i potrafią powiedzieć, co myślą. To jest w nich fajne.

Po dwóch stronach barykady

Weronika ma 24 lata, trzy lata pracuje w warszawskiej szkole podstawowej z oddziałami integracyjnymi. Jest polonistką. Już pracuje na dwa etaty, ma wychowawstwo i jest opiekunką szkolnego samorządu. Oprócz tego sporadycznie bierze zastępstwa na polskim w liceum. Bo odkład polonista zrezygnował z pracy (miał dwie szkoły i kursowanie między nimi stało się zbyt obciążające), jedna klasa została bez nauczyciela.

W jej szkole nie ma innej nauczycielki przed trzydziestką. – Na początku dogadanie się z innymi nauczycielami było trudniejsze niż dogadanie się z dziećmi. Ze względu na różnice pokoleniowe czasem trudno mi było się z nimi porozumieć. Mamy ok. 15 nauczycieli, którzy dawno są już na emeryturze – mówi i przyznaje, że trudno jej ze starszymi nawiązać relacje koleżeńskie.

– Są takie momenty, że czuję, że jesteśmy po dwóch stronach barykady. Mam pomysł, a inni nauczyciele mówią mi: „Nie warto”, „Już próbowaliśmy”, „Nie angażuj się tak”. Po trzech latach widzę to inaczej: że muszę czasem postawić na swoim, powiedzieć, że się z czymś nie zgadzam. Ale są też osoby, które wspierają mnie w moich planach – dodaje.

Ksiądz jest czymś synem

– Praca nauczyciela w małej miejscowości rządzi się swoimi prawami i ja się tych reguł uczę od 20 lat, od kiedy przyjechałam do naszego miasteczka za mężem. Do dziś nie jestem tu swoja, choć spędziłam tu całe moje dorosłe życie – nauczycielka chce zostać anonimowa, „żeby znowu się nie narażić”. – Podstawowa reguła jest taka, że mamy tu jedno liceum, więc muszę dbać o takie relacje, żebym mogła tu pracować do emerytury. Jeśli nie, pozostaloby mi przenieść się do technikum rolniczego, które znajduje się we wsi 20 kilometrów stąd lub ewentualnie do szkoły podstawowej – a ja bardzo lubię pracować z młodzieżą.

Co to znaczy budować relacje? Na przykład nie mówić głośno, co myślę o tym, że ksiądz ma zbyt daleko idącą władzę w szkole, tworzy z naszej placówki de facto placówkę wyznaniową. Ale: ksiądz jest czymś synem, ten ktoś jest blisko z dyrektorem, rozumiemy się? Tu jest ciasno. Jeśli ojciec danej nauczycielki jest ważną osobą w urzędzie gminy, jeśli jej mąż jest ważnym pracodawcą w okolicy, to muszę uważać, żeby nie skonfliktować się w taki sposób, że jedna z nas będzie musiała odejść ze szkoły. Bo będę to ja.

I proszę sobie wyobrazić, że coś się dzieje – np. uczennice w zaufaniu mówią mi, jak inna nauczycielka źle je potraktowała, np. wyzwała z powodu ubrania, co się zdarza. Z jednej strony chcę je wesprzeć, z drugiej – tutaj przełamywanie pewnych tabu bywa karane. A ja właśnie i tak czuję się na cenzurowanym – ze względu na moją aktywność, dużą liczbę

nagrań, żadnych dowodów. Koleżanki nawet nie próbują jej wesprzeć. Wszyscy się od niej odsunęli.

Jesteśmy środowiskiem, które uczy innych zasad, samo tych zasad nie przestrzega. 28 lat jestem w zawodzie i obserwuję, że nauczyciele częściej sobie przeszkożą, niż pomogą. Odwiedzałam szkoły w Finlandii, w Szwecji, byłam w szkole niemieckiej. Tam jest tak, że jak nauczyciel ma problem z danym uczniem, to grono pedagogiczne siada wspólnie i pyta: „Jak ci możemy pomóc? Co możemy zrobić, żeby sytuacja się wyprostowała?”. U nas nauczyciel zostaje sam, a koleżanki potrafią jeszcze powiedzieć: „No u mnie to uczeń funkcjonuje wspaniale, nie mam takich problemów”.

Z czego to wynika? Może z kompleksów? Niedowartościowania? Nie wiem, dlaczego się nie wspieramy. Rywalizacja? Pewnie też. Do tego przyzwyczaiły nas władze i dawne czasy, gdy brakowało pracy, a nauczyciele musieli podpisywać zgody na niższy wymiar godzin. Sama pamiętam te czasy.

Często też czytam wpisy nauczycieli przedmiotów maturalnych, którzy piszą, że na radach pedagogicznych są rozliczani za wyniki swoich uczniów. To śmieszne, bo klasy są różne. Są takie, do których przyjmuje się uczniów z bardzo wysoką średnią, i takie, do których trafili uczniowie, którzy w podstawówkach ledwo dawali radę. Porównywanie ich jest nieporozumieniem. Bo dużo większą robotę wykonał ten nauczyciel, którego uczniowie zaczęli od dwójek i trójek, a zdają maturę powyżej średniej, niż ten, którego dzie-

projektów, które realizuję z uczniami. To z jednej strony przynosi naszej placówce konkretne profity, również w postaci grantów, które udało mi się zdobyć. Ale z drugiej – wzbudza czasami w gronie nauczycielskim pewną zazdrość, nieufność.

Wszyscy się od niej odsunęli

Violetta Kalka, nauczycielka języka polskiego z Torunia, prowadząca grupy „Uwaga, mobber w szkole” i „Nauczyciel zmienia zawód”. – Większość spraw o mobbing dotyczy spraw na linii nauczyciel – dyrektor, ale mobbing poziomy też ma miejsce, co pokazują wpisy w mojej grupie. Gdy kogoś dotyka ten rodzaj przemocy, to koledzy z pokoju nauczycielskiego najczęściej się odsuwają. Jest ściana milczenia. Udawanie, że albo ktoś o niczym nie wie, albo nie chce o tym wiedzieć, nie chce o tym rozmawiać, koledzy nie wspierają.

Byłoby inaczej, gdyby nasze środowisko było zintegrowane, a tak niestety nie jest. Jak jest jakaś sprawa do załatwienia, to najczęściej pada hasło: „Ty idź, ciebie posłuchają”. Zawsze liczą na tych odważniejszych, na związkowców, bo mają rzekomą ochronę. Nie chcą się angażować osobiście, nie chcą stawać po jednej ze stron, chcą żyć spokojnie, bez awantur, bez niepotrzebnych napięć i najlepiej, jak sprawę ktoś za nich załatwi.

Ostatnio zgłosiła się na grupie nauczycielka, która ma sprawę dyscyplinarną. Jej uczennica miała próbę samobójczą i powiedziała, że przyczyną są relacje z trzema nauczycielami. Dwóch się jakoś wybroniło ze względu na swoje szerokie kontakty z urzędem miejskim, a ta nauczycielka została z tym sama. Nie ma żadnych

ci od początku były świetne. Oni tacy przyszl i tacy wyszli. Wciąż bada się wyniki zamiast przyrostu wiedzy: z czym uczeń przychodzi i z czym wychodzi.

Mobbing to takie zjawisko, które przeważnie dotyczy osób wyróżniających się, które coś osiągnęły, mają olimpijczyków, realizują jakieś projekty. Stają się wtedy zagrożeniem. Kilka dni temu otrzymałam informację, że dyrekcja jednej ze szkół wykorzystala pretekst, by taką kreatywną nauczycielkę podać do komisji dyscyplinarnej i po cichu się jej pozbyć.

Pisali do mnie jej zrozpaczeni koledzy, którzy chcą jej pomóc, bo nie zrobiła nic złego. Została poproszona przez koleżankę o zastąpienie jej na ostatnich pięciu minutach lekcji, bo ta musiała przejść do innej szkoły, i o dziwo ta, która opuściła miejsce pracy, nie poniosła żadnych konsekwencji, a ta, która ją zastąpiła, owszem. Czy to nie absurd?

Bywa tak, że nauczyciele, przychodząc do szkoły, swoje dyplomy chowają do szuflady, żeby nie pokazywać, że mają jakieś dodatkowe kwalifikacje, żeby nie stanowić zagrożenia dla swoich przełożonych. Najtrudniej jest w środowisku, które ma już pewne przyzwyczajenia. I nagle wchodzi ktoś, kto dużo rzeczy chce zrobić, bo jest młody, pełen pasji. A ci starsi nauczyciele już nie chcą, żeby ich motywować, chcą mieć święty spokój. I wtedy próbują tę nową osobę ustawić po swojemu.

Podoba mi się w młodych to, że jeśli już trafią do szkoły, to sobie nie pozwalają. Mają większą świadomość swoich praw. Jak im coś nie odpowiada, to odchodzą. Natomiast moje roczniki godziły się na takie traktowanie i nie potrafiły wyjść z tego schematu. ●

Bo cię kocham

Obejrzałam „Dojrzewanie”. Jak to jest, czuć się najmniej atrakcyjnym chłopakiem w szkole?

Aleksandra Szyłło

Jak to jest być kochającym, zaangażowanym rodzicem i dowiedzieć się, że twoje 13-letnie dziecko zadźgało nożem koleżankę ze szkoły? Nie uciekniemy od tego pytania przez cały serial „Dojrzewanie” będący obecnie hitem Netflixa.

Myślę, że wielu z nas szczerze współczuje ojcu i matce głównego bohatera, Jamiego. Widzimy, jak przez lata dokładali starań, żeby mieć dobrą rodzinę. Ciężką pracą zarabiali na przytulny dom wypełniony rodzinnymi zdjęciami.

Ona wracała w tygodniu wcześniej, gotowała, ogarniała. On poświęcał soboty, by próbować rozwijać syna sportowo – może futbol, może boks – bo przecież męskie sprawy, ojciec i syn. Wiemy, że nieraz zaciskali pasa, żeby dać dzieciom coś ekstra, np. zabrać je raz na wczasy na Teneryfę.

Ojciec Jamiego, sam bity przez ojca, postanowił, że nigdy nie zrobi tego własnym dzieciom, i dotrzymał słowa. Jamie mówi, że u nich w domu nie było przemocy – najgorsze, co zrobił ojciec, to raz w złości rozbil bożonarodzeniową ozdobę i mama wtedy kazała im, dzieciom, iść do swoich pokoi. Przyznajemy, że najlepszym może się zdarzyć, prawda?

Czasami chyba nawet czujemy w imieniu rodziców Jamiego złość: co jeszcze mieli zrobić, żeby gówniarz wyszedł na ludzi? W czym tkwi ta ich straszna wina, że akurat ich syn został mordercą? Jak to się stało, że ich starsza córka jest „normalna”, a syn zrobił coś takiego? Co takiego zrobili, że teraz sąsiedzi wypisują im sprayem na aucie „zwyról”?

I przede wszystkim czujemy strach. Bo rodzice Jamiego są... tacy jak my. Bardzo nas przypominają, prawda? O ile łatwiej byłoby oglądać ten film, gdyby ojciec Jamiego był kryminalistą, alkoholiczkiem, a mama prostytutką. Albo gdybyśmy wiedzieli, że po powrocie z eleganckiej pracy w korpo znęcali się nad dziećmi. Jak łatwo byłoby wtedy uznać ich za patologię, ukrytą bogatą patologię, i się z nimi nie identyfikować.

Z czasem poznajemy też jednak perspektywę dziecka, Jamiego. Jak to jest czuć się najmniej atrakcyjnym chłopakiem w szkole? Jak to jest być – jako najslabszy zawodnik – postawionym na bramce, gdy szukasz ratunku w oczach ojca, ale on na ciebie nie patrzy, bo przygniatają go wstyd i presja szyderczych komentarzy innych ojców – tych, których synowie są lepsi w piłkę? Czyli jacy? Bardziej męscy, rosnący na dumę tatusiów, zasługujący na zainteresowanie dziewczyn.

Jak to jest, kiedy po porażce na boisku ojciec prowadzi cię na boks, ale ty po dziesięciu minutach nie dajesz rady? Kiedy jesteś świetny w rysowaniu, ale twój tata, twój wzór, nie interesuje się tym kompletnie – jego głowa wypełniona jest raczej porażką z tą piłką i tym boksem... Że mówiąc



FOT. COURTESY OF BEN ACKER / NETFLIX

• Musimy zaakceptować fakt, że mogliśmy zrobić więcej - rodzice Jamiego z serialu „Dojrzewanie”

wprost, rośniesz na ciapę. Prze staje zabierać cię gdziekolwiek w soboty, skoro wspólna męska pasja nie wypaliła.

Jak to jest wreszcie usłyszeć od wyśmiewanej przez całą szkołę dziewczynki, że „nie jest aż tak zdesperowana, żeby się umówić z tobą”? Jak to jest być w wieku 13 lat zupełnie samemu z tymi wszystkimi myślami? Nie móc przed nimi uciec – bo poniżenie ze strony rówieśników jest z tobą zawsze i wszędzie. Tak jak zawsze i wszędzie jest z tobą twój telefon i portale społecznościowe, na których szkolni koledzy cię poniżają. Również w twoim pokoju, tuż przed snem i tuż po obudzeniu: kolejny wpis, lajki, emotki.

Możemy mieć wątpliwości, czy Jamie na zimno swój czyn zaplanował – czy zamierzał pozbawić życia rówieśniczkę, „tę sukę”, która „nie była aż tak zdesperowana, żeby się umówić z nim”, czyli go poniżyła tak, że przelała czarę goryczy. Może w swoim 13-letnim umyśle chciał ją „tylko” postraszyć tym nożem. Wiemy, że jest impulsywny i nie radzi sobie z emocjami. Prawdopodobnie konsekwencje docierają do niego z opóźnieniem: że pozbawił życia. Że zniszczył życie sobie i swoim najbliższym.

Tyle film. W prawdziwym życiu jako dziennikarka zajmująca się tematyką młodzieży, wychowania i edukacji stale mam do czynienia z „samotnością nastolatka, mimo że się dorosłym wydawało”.

„Czternastolatek nie żyje. M., uczeń pierwszej liceum, popełnił samobójstwo. Trzech innych uczniów podejmowało próby samobójcze w ciągu ostatnich dwóch lat, w tym jedna dziewczynka dwukrotnie. Teraz po tej tragedii połowa uczniów w tej klasie, to klasa z najlepszymi wynikami w całej szkole, przyznała, że jest na xanaxie. Jedną dziewczynkę rodzice zawieźli na odwyk” – to początek mojego reportażu z prestiżowej szkoły muzycznej w Warszawie z 2020 roku.

„Dominik zostawił mamie list, gdzie napisał: »Jestem zerem«. I przeprosił ją, że to nie jej wina.

Co takiego się dzieje, że mimo naszych starań nastolatki mogą być aż tak samotne

olicja zabrała telefon i komputer chłopca, to z komputera przecież był dostęp do tych wszystkich stron: „Powieś się, pedale”, które tworzyli dla niego koledzy” – to fragment mojego reportażu o samobójstwie 14-letniego Dominika w Bieżuniu, rok 2015.

Statystycznie rzecz ujmując, wielu rodziców ma wielkie szczęście. Znacznie częściej konsekwencja samotności dziecka to „tylko” wejście w uzależnienie – alkohol, leki uspokajające, psychotropy kupowane na czarnym rynku. Samookałeczenia. Kompulsywne ryzykowne zachowania. Coś, na zatrzymanie czego, wyleczenie jest jeszcze szansa.

Warto, abyśmy przy okazji popularności tak dobrego filmu, jakim jest „Dojrzewanie”, zastanowili się, co takiego się dzieje, że mimo naszych starań nastolatki mogą być aż tak samotne.

W brytyjskiej szkole Jamiego nauczyciel twierdzi, że jego uczniowie „są straszni”, i głównie puszczą im filmy na lekcjach, żeby nie musieć z nimi rozmawiać. Czy to nie jest trafna metafora filmowa? Jak jest u nas?

„Lawinowo urosła liczba tych, których kiedyś określaliśmy jako neurotycznych – czyli z zaburzeniami lękowo-depresyjnymi. Szczególnie wśród młodzieży po pandemii. Dlaczego? Powiedziałbym, że dorastanie nigdy nie było tak trudne jak dziś. Dzisiejsza młodzież musi się uczyć więcej – tego oczekują rodzice. W dodatku żyje w poczuciu – teoretycznie – nieograniczonych możliwości oraz słyszy o nieograniczonych obszarach, w których powinna się rozwijać. Widzę też, jak zmienia się rodzina. Po 1989 roku Polacy zbiorowo odczuli, że trzeba robić karierę i zarabiać coraz więcej. Standardem są rodzice nieobecni. Zbyt zmęczeni, żeby po powrocie

do domu zapytać o coś więcej niż tylko: »Jadłeś obiad?«, »Jak było w szkole?« – mówi w moim reportażu prof. Irena Namysłowska, współtwórczyni Kliniki Psychiatrii Dzieci i Młodzieży przy ul. Sobieskiego w Warszawie.

„Niestety wielu moich uczniów ma tak, że od lat w domu nikt z nimi nie rozmawia. Tylko: »Jakie oceny dostałeś?«, »Co było w szkole na obiad?« i »Siadaj do lekcji«. Czyli przesłuchanie. W ten sposób możemy przez lata de facto w ogóle nie rozmawiać ze swoim dzieckiem. W ogóle nie mamy kontaktu z tym, co ono myśli, czuje, o czym marzy. Im bardziej staje nam się obce, tym bardziej się boimy, nie ufamy mu, i tym większej siły chcemy użyć, by je kontrolować. Z dzieckiem nie ma co walczyć. Skończy 18 lat, zastrzeże w szkole oceny (ma do tego prawo) i tyle będziemy o nim wiedzieli” – mówi Łukasz Ługowski, współzałożyciel i wieloletni dyrektor Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii „Kąt” w Aninie w naszym wywiadzie z 2015 r.

Przemyślmy to. Gdy zadajemy to sakramentalne pytanie: „Jak było w szkole?”, to o co nam najbardziej chodzi? Czy chcemy i umiemy dać naszemu dziecku przestrzeń, żeby opowiedziało, jak się czuło dzisiaj w relacji z kolegami i nauczycielami? Jak się czuło na wagarach, jeśli to tam było? Czy jesteśmy gotowi na słuchanie o zmęczeniu, zniechęceniu, porażce? Czy wysłuchamy z uwagą, dlaczego pani od polskiego albo Kaśka z 3b „jest głupia”? A może nasze dziecko już wie, że chcemy usłyszeć o piątce i przygotowaniach do egzaminu, bo reszta tylko by nas zdenerwowała?

Mamy na sobie tę presję: rankingi, egzaminy. Judyta Watoła pisała ostatnio o pensjach lekarzy w Polsce: 50 tys., 100 tys., nawet 200 tys. miesięcznie. Czy to nasze dziecko nie mogłoby się postarać, by też mieć taką pensję? Po roku kupiłoby mieszkanie bez kredytu! Chodzi nam o jego szczęście, prawda? To może jednak lepiej je dociśniemy, a potem na

pewno będzie nam wdzięczne. Jeden rodzic chce, żeby dziecko zostało lekarzem. Inny, żeby – jak ojciec Jamiego – rosło na „prawdziwego mężczyznę”. Ustawiamy poprzeczki. Dla ich dobra. I nierzadko bez porozumienia z nimi.

I „zarabiamy na to wszystko”, chodzimy do ortodonta, organizujemy korepetycje, kupujemy rzeczy, ostrzegamy przed narkotykami. Co jeszcze moglibyśmy zrobić?

Co mamy robić, żebyśmy nigdy nie musieli powiedzieć jak matka Jamiego: „Musimy zaakceptować fakt, że mogliśmy zrobić więcej”.

Ja późno poznawałam zwrot „być w kontakcie”. Ze swoimi emocjami. Z bliską osobą, z dzieckiem. Na terapii. Poznawałam jego znaczenie, bo na pozór brzmi tak banalnie, że aż się chce krzyknąć: no przecież cały czas jesteśmy w kontakcie, mamy telefony, mieszkamy razem, jemy, ciągle się widzimy, o co chodzi?

O co chodzi? Najlepiej to chyba tłumaczy Ługowski: „Gdy mówię o budowaniu relacji z dzieckiem, to mam na myśli to, żeby od najmłodszych lat dziecka rodzic budował z nim wspólną przestrzeń. To jest praca i odpowiedzialność rodzica. Dziecko tego nie zrobi. To samo się nie zrobi. Jeżeli ja i syn lubimy robić razem coś fajnego, chociażby łowić ryby, to jest szansa, że pójdziemy razem nad rzekę również wtedy, gdy będzie mu szczególnie ciężko z jakiegoś powodu. Jest szansa, że to będzie dla niego jakaś alternatywa wobec pomysłów najgłupszych, proponowanych przez kolegę. Szansa, bo gwarancji nie ma”.

I dodaje: „Jeśli rodzic dowiaduje się, że jego nastoletnie dziecko wychodzi z domu, by bić Murzynów albo pedałów, albo wyjeżdża na dżihad, to ten rodzic nie może już zrobić nic. A co? Zamknie pani dziecko na klucz i będzie pilnowała non stop? Może pani oczywiście szantażować: „Synku, nie rób tego, bo mamusia się zabije”. Mam nadzieję, że słyszy pani moją gorzką ironię. Niestety, w skrajnej sytuacji jest to dość częsty rodzicielski zabieg. Ale tak naprawdę to już jest za późno”.

Najlepsze, co możemy wynieść z filmu „Dojrzewanie”, to skupić się na tym, żeby nie było za późno. I ku pocieszeniu przywołajmy inny wątek filmu: policjanta prowadzącego sprawę i jego syna, Adama. Ojciec tak jest zajęty pracą (skądinąd niezwykle społeczną, potrzebą, emocjonalnie wyczerpującą, morderstwo na trzynastolatce), że też niewiele wie, co się dzieje w życiu jego syna.

Adam też jest gnębiony w szkole. Dlatego unika jej, jak może, ciągle „boli go brzuch”. Tak się jednak to toczy, że w końcu rozmawiają. Ten ojciec bierze przerwę w pracy. W momencie, kiedy absolutnie nie powinien sobie zawodowo na to pozwolić. Jadą z Adamem na frytki, który młody wybiera. „Tato, dlaczego?” – pyta zdziwiony chłopak. „Bo cię kocham i chcę spędzić z tobą czas”.

Chodźmy dzisiaj wszyscy na frytki. ●

ZMIENIŁEM FARTUCH, NIE POGLĄDY

Są antyszczepionkowcy wśród lekarzy?
– Nie boję się tego przyznać, bo osobiście znam wielu z nich
– mówi dr Paweł Grzesiowski.



FOT. LUIS ALVAREZ/GETTY IMAGES

Z **DR. PAWŁEM GRZESIOWSKIM**,
PEDIATRĄ, OD 2024 R. GŁÓWNYM
INSPEKTOREM SANITARNYM
ROZMAWIA **AGNIESZKA URAZIŃSKA**

W Olsztynie leczony jest 30-latek, u którego lekarze podejrzewają błonicę, a który jest w bardzo ciężkim stanie. W połowie marca do szpitala we Wrocławiu trafił sześciolatek z tą chorobą. Wraca temat braku szczepień. Są powody, by bić na alarm?

– Jeśli pani pyta, czy rodzice mają teraz myśleć z przerażeniem: „moje dziecko umrze, bo nie zostało zaszczepione na błonicę czy krztusiec”, to mogą powiedzieć, że nie. Nie chcę generować przerażenia, bo na razie nie ma ku temu przesłanek. Nawet teraz, gdy przybywa dzieci, które z różnych powodów są nieszczepione, mamy wyszczepialność powyżej

90 proc. To sprawia, że Polska jest wciąż krajem bezpiecznym, o czym może świadczyć fakt, że ten sześciolatek zaraził się od chorego nie w Polsce, tylko w Afryce. Nawet ubiegłoroczna fala zachorowań na krztusiec – ponad 30 tys. przypadków – to w 38-milionowym kraju stanowi ułamek procentu. Nie da się porównać tego z zachorowalnością na sezonową gripę, którą zakaziły się w tym roku co najmniej 2 mln ludzi.

Chorych na odrę mieliśmy w ciągu roku prawie 200, więc to wciąż problem statystycznie marginalny, ale nie można go ignorować, bo jest to najbardziej zaraźliwa choroba i łatwo może dojść do ogniska epidemicznego. Powody do obaw są realne, szczególnie że niezaszczepionych dzieci przybywa. Jeśli sytuacja się nie zmieni, odporność populacyjna będzie spadać i choroby, które lekarze w ostatnich dekadach znali tylko z książek, powrócą i mo-

gą być coraz groźniejsze. W Teksasie, gdzie w niektórych regionach wyszczepialność na odrę sięga ledwie 80 proc., choruje w tej chwili ponad 320 osób, a jedno dziecko zmarło. 99,5 proc. chorych było niezaszczepionych. U nas bić na alarm jeszcze nie trzeba, ale na pewno trzeba zdecydowanych działań, bo właśnie próbujemy opłacać kolejne ognisko odrę, które wystąpiło w jednym z liceów na Mazowszu.

Kontrola kart szczepień dzieci we wszystkich punktach szczepień została zapowiedziana krótko po informacji o sześciolatku z błonicą.

– Kontrola była planowana od pół roku i nie jest reakcją na to zachorowanie. Owszem, takie sytuacje przemawiają do ludzkiej wyobraźni i wywołują dyskusję. W dyskursie publicznym powraca pomysł surowego karania za odmowę szczepienia albo odmawiania niezaszczepionym dzieciom

przyjęcia do żłobka, przedszkola czy szkoły. I dobrze. W Głównym Inspektoracie Sanitarnym planujemy nową strategię zwiększania zaufania do szczepień, której pierwszym etapem jest określenie rzeczywistej liczby niezaszczepionych dzieci i przyczyn odmów szczepień. Kontrola obejmie 7,5 mln kart szczepień. Miała się zacząć w lutym, ale powstrzymała nas wysoka fala grypy. Od 1 kwietnia inspektorzy sanitarni sprawdzą karty we wszystkich przychodniach w całym kraju.

Rozumiem, że znalazł pan złoty środek na antyszczepionkowców?

– To pewnie nie jest złoty środek, ale początek zmian, które, mam nadzieję, pozwolą uporządkować naszą wiedzę o tym, jak wiele dzieci w Polsce jest niezaszczepionych i dlaczego. Większość osób, które odmawiają szczepień, nie jest antyszczepionkowcami wierzącymi w spisek firm farmaceutycznych. To przede wszystkim rodzice zaniepokojeni informacjami o reakcjach poszczepiennych, którzy nie dotarli do lekarza, który rozwiałby ich wątpliwości. Albo stan zdrowia ich dzieci nie pozwalał na szczepienie w terminie i dzieci wypadły z kalendarza. Albo przeprowadzili się w inne miejsca, gdzie kontynuują szczepienia terminowo, ale w przychodniach pozostały ich puste karty. To wszystko trzeba uporządkować.

W głowie mi się nie mieści, że w czasach rozbudowanych systemów informatycznych informacja o szczepieniu nie jest w systemie, do sprawdzenia na jedno kliknięcie.

– To dlatego, że szczepienia były samograjem od dekad. To była jedna z najbardziej akceptowanych procedur medycznych w całej opiece zdrowotnej i papierowe karty wystarczały, bo były wypełnione od góry do dołu. Nastroje lękowe i antyszczepionkowe zaczęły narastać w ostatnim 20-leciu. Przespaliśmy ten moment. Dlatego teraz potrzeba zdecydowanych działań i sprawnego dostosowania systemu do zachodzących zmian społecznych.

Dotychczasowe pomysły nie zadziałały? Za odmowę obowiązkowego szczepienia są grzywny, one nie odstraszą nieprzekonanych?

– Statystycznie liczba odmów szczepień rośnie. Grzywna za odmowę, która może wynosić nawet kilka tysięcy złotych i może być nakładana wielokrotnie, to rozwiązanie sprzed 60 lat, kiedy ludzie grzywiąc się bali. Dziś walczą w sądach i trybunałach europejskich. To nie rozwiązało sytuacji z wielu innych powodów – na przykład dlatego, że rodzicom udawało się obejść karę, jeśli zdobyli zaświadczenia, że dziecko nie może być szczepione. Inna sprawa, że kary nie zlikwidują lęku ani nie zbudują zaufania.

Czyli w waszej kontroli nie chodzi o to, żeby sprawdzić, kto się uchyla, i porządnie ukarać?

– Kontrola nie przewiduje żadnych działań represyjnych. Chcemy sprawdzić, jak wygląda rzeczywistość. Uporządkujemy ją później, podczas przenoszenia danych z papierowych kart szczepień do systemu informatycznego. Cyfryzacja to przewrót kopernikański w systemie ochrony zdrowia. Pozwala na monitorowanie sytuacji w czasie rzeczywistym. I podejmowanie celowanych interwencji.

Dokumentacja kontroli jest gotowa. Za chwilę punkty szczepień dostaną informacje z Państwowego Inspektoratu Sanitarnego o terminach wizyt inspektorów. Punktów jest w kraju prawie 9 tys., więc to jest gigantyczna operacja, w którą zaangażowanych będzie około tysiąca inspektorów przez 3-4 miesiące. Po uzyskaniu danych będziemy podejmować dalsze kroki, które obejmą analizę sytuacji w poszczególnych punktach szczepień i regionach.

Czego się spodziewacie?

– Mamy w Polsce przychodnie, gdzie 99 proc. dzieci jest zaszczepionych, i takie, gdzie tylko 20 czy 25 proc. Mam świadomość, że problem leżeć może nie tylko po stronie rodziców, ale także punktów szczepień.

W kolejnym etapie planujemy organizację punktów informacyjno-edukacyjnych dla rodziców, ogólnopolski telefon zaufania o szczepieniach, gdzie każdy będzie mógł uzyskać fachową poradę na temat szczepień, rozwiać wszelkie wątpliwości i obawy. I będzie tam siedział nie urzędnik, tylko medyk, który ma kompetencje w tej dziedzinie.

Następnym elementem strategii jest elektroniczna karta szczepień. Ten cyfrowy system powinien być gotowy do końca roku. Chcemy także wprowadzić system przypominania rodzicom o planowanych szczepieniach, w pełni zautomatyzowany.

Są antyszczepionkowcy wśród lekarzy?
– Nie boję się tego przyznać, bo osobiście znam wielu z nich. Niestety, są w medycznym świecie osoby, które chętniej niż inne

punktach szczepień jest duże poruszenie, porządkowanie kart, docieranie do uchylających się rodzin. Tak to działa. Jak pojawia się gospodarz, to załoga lepiej pracuje. To zjawisko stare jak świat. System szczepień w Polsce od lat nie miał gospodarza. Chciałbym, żebyśmy jako inspekcja sanitarna wzięli to na siebie.

Łatwiej było panu krytykować antyszczepionkowców i system, gdy był pan po innej stronie i nie pełnił pan funkcji głównego inspektora sanitarnego?

– Ależ ja nie zmieniłem strony. Zamieniam codziennie fartuch na garnitur i urzędowy krawat, ale nadal jestem lekarzem. Urzędnikiem mogę przestać być w każdej chwili. Szybciej mnie zmieniają, niż ja zmienię poglądy.

Mam teraz większe możliwości i w ciągu pół roku udało się wprowadzić powszechne szczepienia przeciw HPV w szkołach, darmowe szczepienia przeciw krztuścowi i RSV dla kobiet w ciąży, przeciw półpaścowi i RSV dla seniorów, rozszerzony dostęp do recept refundowanych na

są przecież zakładami opieki zdrowotnej, i mobilny punkt szczepień. O innych pomysłach boję się na razie mówić, żeby nie zapeszyć.

Jest pan zwolennikiem, aby niezaszczepione dzieci nie były przyjmowane do przedszkoli i szkół?

– Gdyby to ode mnie zależało, taki system funkcjonowałby już od jutra – i w państwowym, i w prywatnych placówkach. Ostatni wyrok NSA potwierdza, że wymóg oświadczenia o poddaniu dziecka szczepieniom jako kryterium dostępu do publicznego żłobka lub przedszkola jest zgodny z prawem, w tym z konstytucją. Ale nie powinien być to jedyny mechanizm, potrzebujemy rozwiązań kompleksowych, uwzględniających różne sytuacje.

Założę się, że większość nieprzekonanych rodziców uznałoby to za karę.

– Nie chcemy karać takiej rodziny. Chodzi o ochronę i bezpieczeństwo innych dzieci, które nie powinny być narażone na obecność rówieśnika, który może do przed-

– Skoro rodzic decyduje się, by nie szczepić dziecka, to musi być przygotowany i na to, że będzie zapewniać mu na własny koszt opiekę w domu. Ten system może być skuteczny, jeśli będzie konsekwentny. Nie chcemy przymuszać nikogo do szczepienia, ale jeżeli decydujesz się na to, że nie szczepisz, to ponosisz pewne konsekwencje w postaci funkcjonowania w innym systemie. To nie powinna być forma łamania człowiekowi kręgosłupa.

Bywają rodziny, które mają na przykład jedno dziecko z autyzmem i są przekonani, że to przez szczepienie. Gdy rodzi się drugie, chcą go przed tym problemem uchronić. Nie można ich zmuszać, żeby je szczepili, skoro są przekonani, że zrobiliby mu krzywdę. To nieludzkie.

A co można?

– Należałoby przygotować dla tej rodziny indywidualny program edukacyjny. Objąć ich opieką psychologiczną, wyjaśnić, że autyzm nie ma nic wspólnego ze szczepieniem, że jest to problem genetyczny uwarunkowany. Przecież autyzm występuje na całym świecie, najwięcej dzieci z autyzmem rodzi się w Japonii – czy tam są inne szczepienia niż w Portugalii, gdzie rodzi się ich najmniej? Nie. I szczepimy dzieci w spektrum autyzmu, co nie wywołuje u nich pogorszenia. W przypadku, gdy dziecko doświadczyło reakcji poszczepiennej, które się przecież sporadycznie zdarzają, to taka rodzina powinna być objęta zupełnie innymi mechanizmami opieki.

Udało się panu przekonać kogoś do szczepień?

– Wiele razy. Trafiały do mnie rodziny tak nieufne, że pierwsze rozmowy nagrywały, żeby mnie łapać za słówka. A potem nie tylko zaszczepiły swoje dzieci, ale też zachęciły do szczepień innych. Ale najważniejsze to zacząć rozmawiać. W medycynie wiedza to 30 proc. sukcesu, reszta to umiejętności miękkie, które – przyznaję – nie wszyscy lekarze mają. Ale można to osiągnąć, jeśli poświęci się odpowiednią ilość czasu, żeby wysłuchać wątpliwości, rozwiać szum informacyjny, odwołać się do rzetelnych badań. Niedawno spotkałem lekarza, który opowiadał, że ma 99 proc. zaszczepionych w swoim punkcie, ale że rozmawia z rodzicami tak długo, jak tego potrzebuje. Czasem nawet godzinami. Nie wystarczy powiedzieć ludziom: „szczepcie się”, żeby posłuchali. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dr Grzesiowski: Od 1 kwietnia inspektorzy sanitarni sprawdzą karty szczepień (7,5 mln) we wszystkich przychodniach w kraju. To da nam wiedzę ile dzieci jest niezaszczepionych

akceptują odmowę szczepienia, są punkty, które nie próbują docierać do takich rodzin. Są też medycy, którzy, choć przekonani o skuteczności szczepień, zapominają o sobie. We Wrocławiu, gdy stwierdzono błonicę u dziecka, okazało się, że część opiekującego się nim personelu nie ma aktualnych szczepień.

Zauważyliśmy już, że na wieść o planowanej od kwietnia kontroli w niektórych

szczepionki w aptekach i u wszystkich lekarzy, rozszerzone uprawnienia do kwalifikacji i wykonania szczepień zalecanych dla farmaceutów i pielęgniarek oraz położnych, a także uprawnienie do kwalifikacji do szczepień przez pielęgniarki i położne dzieci powyżej 9 lat. Idziemy z panią ministrem jak burza, a to dopiero początek. Marzą mi się konsultacyjne punkty szczepień, także w stacjach sanitarnych, które

szkoła czy szkoły przynieść odrę, różyczkę czy krztusiec. Oczywiście nie idzie o to, aby takie dzieci pozbawić dostępu do edukacji. Powinna funkcjonować ustawa, która mówi o tym, że osoby nieszczepione mogą korzystać jedynie z domowej opieki – to może być np. szkoła lub przedszkole w chmurze.

Przedszkole w chmurze?

OGŁOSZENIE PŁATNE

Kraj/34369594

29 WIELKANOCNY FESTIWAL
LUDWIGA VAN BEETHOVENA
6–18 KWIETNIA 2025
WARSZAWA
BEETHOVEN.ORG.PL

Stowarzyszenie im. Ludwiga van Beethovena

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Narodowy Instytut Muzyki i Teatru (Definicja w Instytucie Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzi z Fundacji Promocji Kultury w ramach programu „Kultura” realizowanego przez Instytut Kultury i Teatru)

projekt współfinansuje miasto stołeczne Warszawa

PARTNER GŁÓWNY **MECENAS**

LOTTO **ORLEN**

PARTNER **G City** **T**

PATRON MEDIALNY **wyborcza.pl**

Lepiej nie drażnić wyborców Mentzena

To odważny ruch sztabu – zaprosić TV Republika i wPolsce24, żeby atakowały Trzaskowskiego bez przeszkód.

Dominika Wielowieyska

Na wtorkową konferencję prasową Rafała Trzaskowskiego w Warszawie tłumnie stawili się przedstawiciele TV Republika, TV wPolsce24, TV Trwam oraz tygodnik „Solidarność”. Przyszedł nawet sam Wojciech Sumliński, niegdyś dziennikarz „Gazety Polskiej”, słynny autor książki „Niebezpieczne związki Bronisława Komorowskiego”, gdzie znalazły się fragmenty żywcem przepisane z powieści Alistaira MacLeana oraz Raymonda Chandlera. Było więc jasne, że atrakcji nie zabraknie.

To był dobry strzał sztabu Trzaskowskiego, bo nic tak nie buduje polityka, jak umiejętność stawienia czoła bardzo niechętniej publiczności. Była to swego rodzaju powtórka z show z 2011 roku, kiedy Donald Tusk ruszył autokarem w Polskę. Stawał naprzeciwko wrogo nastawionych kiboli i odpowiadał na oskarżenia. Być może ten zryw Tuska zaważył na wyniku wyborów, które Platforma Obywatelska wygrała.

Wiece Trzaskowskiego stały się już nużące i każdy sztab w takiej sytuacji powinien wykazać się inwencją twórczą i zaryzykować. Ryzyko się opłaciło.

Owszem, pewne straty były. Przedstawiciel Kanalu Zero wypomnił Trzaskowskiemu jego dawną wypowiedź, że najgorsze, co mogło się przydarzyć Polsce, to prezydent i premier z jednej partii. Kandydat KO lawirował, że chodziło mu o uzależnienie prezydenta Andrzeja Dudy od PiS. Oceniał, że przez 10 lat prezydentury Duda sprzeciwił się woli Jarosława Kaczyńskiego może dwa razy.

To akurat nieprawda: od 2017 r. Duda rzeczywiście sumiennie wykonywał polecenia prezesa PiS, ale potem co jakiś czas się stawiał – choćby w sprawie dwóch ustaw sądowych; w sprawie ordynacji do Parlamentu Europejskiego; w sprawie lex TVN czy w sprawie szkolnego lex Czarnek.

Kolejny mały poślizg Trzaskowskiego: padło pytanie o kwotę wolną od podatku, której wprowadzenie również on obiecywał w kampanii z 2023 roku. – Jeżeli zostanę prezydentem, to będę rozliczał każdy rząd z tego, żeby wywiązał się ze swoich obietnic. Nie ja obiecywałem kwotę wolną – zasłonił się Trzaskowski. Chwilę później Adrian Borecki z TV Republika puścił mu nagranie z wystąpienia w Tarnowie. Prezydent Warszawy mówił na nim wyraźnie o wprowadzeniu kwoty wolnej.

Ale dwie sprawy w ciągu dwóch godzin kanonady – przedstawiciele Republiki i wPolsce24 byli wręcz uprzywilejowani względem innych mediów, za-

dawali po kilka pytań w kilku rundach – to niewielki urobek mediów sympatyzujących z PiS.

Trzaskowski bronił się sprawnie, czasami atakował. Zarzucił pravicowym stacjom, że nie transmitują jego konferencji na żywo. Z sali padły głosy oburzenia, że owszem, transmisja jest, ale towarzyszył temu śmiech reszty sali. Okazało się, że w Polsce24.pl transmisja polegała na tym, że w rogu ekranu był obrazek z konferencji bez głosu, a w studiu wypowiedzi Trzaskowskiego komentował jeden z braci Karnowskich i jego koledzy. Czasami jakiś fragment wypowiedzi kandydata był puszczony, ale był opatrzony paskiem „Trzaskowski kłamie”. Natomiast Republika nie transmitowała w ogóle tego wydarzenia. Na moje pytanie w tej sprawie przedstawiciel tej stacji Adrian Borecki stwierdził: „Nie transmitowaliśmy, bo by nam przecież oglądalność spadła”.

Na uwagę, że być może kandydat PiS jest niedoszacowany, bo w II turze Karol Nawrocki zbierze większość wyborców kandydata Konfederacji Sławomira Mentzena i zagrozić Trzaskowskiemu, sztab odpowiada, że badania są bardzo dobre, a demobilizacja elektoratu PiS znacząca.

Podobno widać to na przykładzie konkretnych województw. W województwie świętokrzyskim i na Podkarpaciu – czyli w macieczniejszych PiS – Nawrocki wypada słabo. Sztab Trzaskowskiego liczy, że w tym pierwszym regionie głosy się tak podzielią pomiędzy Nawrockiego a Mentzena, że PiS mógłby tu stracić palmę pierwszeństwa. Co byłoby ewenementem – w wyborach parlamentarnych w 2023 roku PiS w świętokrzyskim zdobył 47 proc. głosów, a KO – tylko 21 proc.

Kalkulacja sztabu Trzaskowskiego opiera się także na założeniu, że duża część wyborców Mentzena zostanie w domu. Koalicja rządząca robi wszystko, aby nie zmobilizować tej części elektoratu przeciwko sobie.

Przykład: na wtorkowej konferencji Trzaskowskiego spytano, czy podpisałby ustawę zawieszającą w określonych przypadkach prawo azylowe. Rządową ustawę podpisał prezydent Duda, choć Rzecznik Praw Obywatelskich twierdzi, że jest sprzeczna z konstytucją. – Podpisałbym. Sytuacja na granicy jest wyjątkowa, są też wyjątki w ustawie, ale jest ona potrzebna. UE mówi jasno, że granica wschodnia musi być zabezpieczona skutecznie – odparł Trzaskowski.

W sprawie imigracji kandydat KO jest jednoznaczny, mimo że ryzykuje niechęć części środowisk sobie przyjaznych. Chodzi o aktywistów, którzy protestowali przeciwko push-backom na granicy



• **Rafał Trzaskowski podczas konferencji prasowej na Placu Defilad w Warszawie, 1 kwietnia 2025 r.** FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

polsko-białoruskiej. Koalicja Obywatelska jednak wie, że w tej chwili zgoda na przyjmowanie imigrantów to prosta droga do przegrania wyborów i oddania Pałacu albo Mentzenowi, albo Nawrockiemu.

Ponieważ trudno zaatakować rząd w sprawie imigrantów na granicy polsko-białoruskiej – bo nawet PiS, sprawując władzę, nie zdecydował się na tak drastyczny krok, jak zawieszenie prawa do azylu – to opozycja postanowiła uderzyć od strony zachodniej.

I Konfederacja, i PiS biją na alarm, że Niemcy odsyłają nam tłumy imigrantów, które z Polski przedostały się do ich kraju. Pojawiają się żądania, by Polska też wprowadziła kontrolę na granicy z naszym zachodnim sąsiadem. Apeluje o to między innymi Mateusz Morawiecki. Sęk w tym, że jest niewiarygodny, bo Niemcy kontrolę wprowadzili wtedy, gdy był jeszcze szefem rządu PiS i sam mógł wprowadzić w życie swój postulat.

Co więcej, liczby rozbijają w pył narrację PiS i Konfederacji, a także prezydenta Dudy, który głosi, że Donald Tusk realizuje tajny plan z Berlina. Bo w 2023 r., kiedy rządził PiS, Niemcy w ramach readmisji odesłały nam około 970 imigrantów (Duda wtedy mil-

czał), a w 2024 – gdy rządziła Koalicja 15 Października – mniej niż 700 osób.

Nie ma więc fali wznoszącej. Poza tym były szef MSZ w rządzie PiS Jacek Czaputowicz zasugerował w TVN24, że przed 2023 r. PiS intencjonalnie przepuszczało ludzi, którzy szli do Niemiec szlakiem bałkańskim, zamiast zatrzymywać imigrantów i odstawiać ich do naszych południowych sąsiadów – i teraz mamy kłopoty z tego tytułu. Eks-minister przypomniał też politykę otwartych drzwi w drugiej połowie rządów PiS i aferę wizową z czasów jego następcy, kiedy przyjechały nas setki tysięcy obywateli państw Afryki i Azji. Wielu wędrowało na zachód.

Czaputowicz postanowił jeszcze dobić PiS artykułem w „Rzeczpospolitej”. „Rząd Beaty Szydło sumiennie realizował zobowiązania międzynarodowe. Polska przyjęła w latach 2015-17 aż 3,7 tys. cudzoziemców, głównie z Niemiec. Prezydent Andrzej Duda nie zarzucał wtedy rządowi realizowania tajnego planu Berlina”.

Ale gdy na konferencji PiS-owskie media podjęły sprawę granicy polsko-niemieckiej, Trzaskowski odpowiedział ogólnikowo, że nie ma problemu z napływem do Polski migrantów z tego kierunku. A jeśli problem by się pojawił, zachodnia granica również zostanie zabezpieczona. Odpowiedź bezpieczna, ale czy przekonująca? Była okazja do ciętej riposty, gdyby znał fakty i liczby, które przytacza Czaputowicz.

Kandydat KO starał się przedstawić jako osobę niezależną od rządu. Ale gdy Arkadiusz Gruszczyński z „Wyborczej” spytał go, czy jako prezydent podpisze wszystkie powołania na ambasadorów szefa dyplomacji Radosława Sikor-

skiego, Trzaskowski wykręcił się od odpowiedzi.

Wcześniej był pytany o ustawę kompetencyjną. Chodzi o to, że PiS pod koniec poprzedniej kadencji przegłosował ustawę dającą prezydentowi wpływ na obsadę części stanowisk unijnych. Czy Trzaskowski podpisałby nowelizację, która odbiera mu takie kompetencje? I znów kandydat zastósował unik.

Obie te sprawy pokazują zasadę starą jak III RP: lokator Pałacu Prezydenckiego nabiera pewności siebie – od razu albo po jakimś czasie – ma dość wydawania przez macierzysty obóz poleceń i żąda odeń szacunku i konsultacji z głową państwa. Trzaskowski taki właśnie sygnał wysłał na konferencji prasowej.

W kontekście powyborczych relacji „Dużego Pałacu” z rządem i partią znaczące było też to, co zdarzyło się wokół „marszu patriotów”, który – na wzór marszów 4 czerwca i Miliona Serc, w 2023 r. mobilizujących wyborców anty-PiS – miał przejść przez stolicę w maju, na ostatniej prostej przed I turą. Tusk ogłosił go bez konsultacji ze sztabem własnego kandydata. I sztab przekonał Tuska, aby się wycofał. Marsz przeniesiono na czas między I a II turą wyborów, a dokładnie na 25 maja. Bo Trzaskowski liczy, że wtedy uda mu się ściągnąć więcej ludzi – także zwolenników Lewicy i Trzeciej Drogi, których kandydaci już wypadną z gry – a polaryzacja będzie wtedy największa.

KO pomaga... sam Jarosław Kaczyński. Prezes PiS stara się, jak może, podgrzewa atmosferę, bo polaryzacja ma uratować słabe notowania Karola Nawrockiego i zapobiec sytuacji, w której to Mentzen znalazłby się w II turze.

W środę Kaczyński zaatakował w Sejmie posła KO Romana Giertycha, nazywając go sadystą. Przypomniał śmierć Barbary Skrzypek, bo media coraz mniej się tym interesują, choć sprawa przyjaciółki prezesa miała stać się nowym mitem smoleńskim, dającym paliwo kampanii. Skrytykował areszt dla współpracownicy Morawieckiego, argumentując, że kobieta ma chorego syna. Wyciągnął sprawę Ryszarda Cyby, który kilkanaście lat temu zabił ważnego działacza PiS, a teraz opuścił zakład karny ze względu na związaną z wiekiem fatalną kondycję neurologiczną.

Giertych odpowiedział żartobliwie, ale otaczający go przy mównicy posłowie PiS skandowali „morderca”. Starcie wyglądało efektownie, więc niesie się w mediach i umacnia dwubiegunowość sceny politycznej, a to z kolei osłabia mniejszych graczy.

Kaczyński po konfrontacji wracał do ław poselskich szeroko uśmiechnięty. Akcja się udała. Trzaskowskiemu to nie zaszkodzi, ale kandydatowi Konfederacji – owszem. ●

Kaczyński po konfrontacji z Giertychem wracał do ław poselskich szeroko uśmiechnięty. Akcja przeciwko rywalowi Nawrockiego się udała

Chat SJM

„Jadę dalej, nie ma jeńców, czeka wyrok na twą głowę./ W tej Brukseli full zboczeńców, Sylwii Spurek gwałcą krowę” – rapował Mentzen w 2020 roku.



Michał Rusinek

Chyba każdy już miał do czynienia z takim czy innym chatbotem i wie, że są to narzędzia przydatne, ale nie powinniśmy obdarzać ich bezgranicznym zaufaniem. Często bowiem, pytane o coś, generują odpowiedzi spójne, logiczne i nieskazitelne językowo, ale całkowicie nieprawdziwe. Innym razem, w połowie odpowiedzi zawieszają się nagle, albo, zaskoczone niespodziewanym pytaniem, potrafią z rozbijającą szczerością odpowiedzieć, że nie mają nic do powiedzenia.

Przysłuchując się wypowiedziom kandydata Konfederacji na urząd prezydenta Sławomira Jerzego Mentzena można powziąć podejrzenia, że nie tyle został on wygenerowany przez sztuczną inteligencję, ile po prostu jest rodzimym modelem chatbota – powiedzmy: chatem SJM. Na niektóre prompty potrafi odpowiadać składnie i generować nieźle skonstruowane odpowiedzi, w dodatku po polsku, choć sprawia on wrażenie, jakby został wytrenowany na materiale rosyjskojęzycznym. Często kłamie. Zdarza mu się zawieszać w połowie przemówień, kiedy brak mu dostępu do danych, a także nie odpowiadać w ogóle, z równie rozbijającą szczerością tłumacząc się, że nie wie, co powiedzieć.

Jego żywiołem jest internet. Najlepiej funkcjonuje w mediach społecznościowych popularnych wśród młodzieży i tam wydaje się o wiele prawdziwszy niż w rzeczywistości. Powszechne powątpiewanie w realność Sławomira Mentzena zmusiło go do poddania się niedawno testowi na człowieczeństwo, przypominającego ten, któremu poddawano replikantów w „Łowcy androidów”. Obecnie jest to tak zwany test jajeczniczy, który w pierwszym podejściu Sławomir Mentzen oblał. W drugim podejściu się zrehabilitował, ale wątpliwości pozostały: nie można bowiem wykluczyć, że poszerzono chatowsy SJM zakres wiedzy o przepisach kulinarnych.

Z moich doświadczeń z generatywną sztuczną inteligencją wynika, że wciąż nie radzi sobie ona z tworzeniem skomplikowanych formalnie tekstów literackich. Co jakiś czas proszę ją, by napisała sonet, ale to, co generuje, nie ma zbyt wiele wspólnego z kunsztownym 14-wersowym utworem lirycznym, złożonym z dwóch tetrastychów (o rymach okalających) i dwóch tercyn. Przysnam, że oddycham z pewną ulgą. A teraz kusi mnie, żeby zamiast poddawać Mentzena testowi jajeczniczy – poddać go testowi sonetu. Wśród jego ustnych i pisemnych wypowiedzi nie udało mi się znaleźć tego akurat gatunku, znalazłem jednak inny utwór liryczny, napisany i wykonany przez autora pięć lat temu w ramach lańcuszka #hot16challenge. Z braku sonetu – potraktujmy go jako test.

Pobieżna lektura może uspić naszą czujność, jak spokojne odpowiedzi panującego

nad emocjami replikanta. Autor wykazuje się sporą świadomością formy. Liczba sylab w wersach jest nieco nierówna, ale rymy są parzyste i w miarę dokładne. Zdarzają się także rymy wewnętrzne, jak w wersie: „Żeby tylko głosy kupić, polskie firmy chcą udupić”. Mamy tu więc język potoczny, a zaraz potem swojskie inwektywy: „So-cjaliści, komuniści jakie to są brudne świnie!/ Jakie bzdury wygadują o podatkach, mej dziedzinie”.

Pojawiają się złośliwe odniesienia do polityków partii wówczas rządzącej: „Jarek mały”, „mściwe zero” – jeszcze pamiętamy, że chodziło o Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobrę, a dalej do nieco już zapomnianego ministra Łukasza

Szumowskiego: „Szumi dalej nie rozum, to jest moja ósma mila, a do tego jest uchodźcą, bo uchodzi za debila”. Doceniśmy tu rym wewnętrzny, odniesienie do Eminema oraz pozorną figurę etymologiczną. I jedźmy dalej: „Jadę dalej, nie ma jeńców, czeka wyrok na twą głowę./ W tej Brukseli full zboczeńców, Sylwii Spurek gwałcą krowę”. Wreszcie mamy więc polityczkę spoza rządzącej wtedy koalicji, europarlamentarzystkę, zajmującą się prawami kobiet, osób LGBT oraz zwierząt – do czego subtelnie nawiązuje w tym dystychu podmiot liryczny. Dalej znajdujemy wers, w którym pojawia się coś w rodzaju manifestu politycznego: „Ej lewacy, socjaliści, ja mam dla was pięć pomysłów”. Jest to aluzja do tzw. piątki Mentzena, którą sformułował rok wcześniej. Przypomnijmy (bo warto): „Nie chcemy Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej”. Swoją drogą, w razie gdyby Mentzen przeszedł do drugiej tury wyborów prezydenckich, jeden element tej piątki może przekreślić szanse, by nawet obecny prezydent Stanów Zjednoczonych poparł jego kandydaturę.

Ale wróćmy do literatury. W ostatniej części utworu mamy do czynienia z pogroźkami wobec przeciwników politycznych, konsultowanymi jednak z prawnikami: „Ktoś zawiśnie zamiast liści, ale weźmy to w cudzysłów”. Łatwo tu zauważyć intertekstualne nawiązanie do popularnej zwłaszcza wśród działaczy ONR-u i Młodzieży Wszechpolskiej wesołej przyspiewki: „A na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści”, złagodzone bezpiecznym cudzysłowem. W zakończeniu mamy do czynienia z przewidzeniem ruchu przeciwnika. „Zgłaszasz mowę nienawiści? Prawdy nigdy nie rozbroisz./ prawdy nigdy nie zatrzymasz, prawda zawsze się obroni”. Autor pozostawia nas więc z literackim nawiązaniem do słów św. Augustyna, Jana Pawła II i Georga Washingtona – którzy prawdopodobnie przewracają się w grobach.

No dobrze, ale czy Sławomir Mentzen przeszedł test człowieczeństwa? Jeśli sami nie jesteśmy w stanie tego rozstrzygnąć, zapytajmy niepodważalnie sztuczną inteligencję. Okazuje się, że i ona ma wątpliwości: formalne cechy tekstu (nierówna liczba sylab w wersie) oraz „specyficzny humor” wskazują na człowieka. Jeden z chatów zauważa jednak, że sztuczna inteligencja wiedzę o kontekście kulturowym „mogłaby zdobyć z danych treningowych lub wyszukiwania” oraz że „może naśladować emocje czy sarkazm”. Wniosek jest taki, że „AI mogłaby stworzyć podobny utwór, chociaż wymagałaby szczegółowych instrukcji”. Bez względu na to, czy utwór ten stworzył Sławomir Jerzy Mentzen czy chat SJM – dobrze wiemy, skąd te instrukcje płyną. I to nas wszystkich powinno o wiele bardziej niepokoić niż wynik testu na człowieczeństwo. ●

Wzorowa „struktura” Bosaka

Krzysztof Bosak to rewizor wolności: wydaje przepustki, ale karze, gdy przekracza się dopuszczalną gęstość odmienności.



Marcin Matczak

I wyszło szydło z worka. Na platformie „X” lider Konfederacji ogłosił Plan Wolności im. Krzysztofa Bosaka. „Jako naród, jako społeczeństwo i jako państwo musimy określić sobie cel: jakiej struktury narodowościowej i religijnej chcemy w Polsce”.

To jest właśnie „wolność” Konfederacji. Jak w komunizmie, ustalą odgórnie, w ramach planu centralnego, kto ma prawo być Polakiem (struktura narodowościowa), w co mamy wierzyć (struktura religijna) i ilu ma być ludzi w każdej grupie.

Pan Bosak z panem Mentzenem wydadał dekret, który ustali liczbę i typ dopuszczalnych ras i religii – żeby zadbać o czystość polskiej „struktury”. A jak się coś nie będzie zgadzać, to się dotnie, prawda?

Nie, nie – Bosak odpowiada. Jemu chodzi o prawdziwą wolność, nie swawolę. Pi-sze: „Jeśli zabezpieczenie wolności Polaków w Polsce wymaga limitowania imigracji muzułmańskiej do Polski, to należy ją limitować.” My zadbajmy o swoją wolność, a „o inne narody niech się zatroszczą ich elity i ich państwa”.

Przejdźmy przez to myślenie, zaczynając od końca. My się zatroszczymy o siebie, inni niech się troszczą o siebie. Cudowny, Trumpowski egoizm. Konfederaci lubią powtarzać, że feminizm się kończy, jak trzeba wnieść lodówkę na trzecie piętro. Ich egoizm się kończy, jak konfederata zostaje emigrantem. Według zasady wzajemności Polakowi za granicą też powiedzą, żeby się nim zajął pan Bosak – nasza elita i nasze państwo. Ale wtedy uderzymy w bęben narodowej krzywdy, jak Rokita kiedyś pokrzy-czy my „Niemcy (albo Anglicy, albo Hindusi) – mnie biją!” i jakoś to będzie.

Dalej – Bosak chce bronić wolności, z góry ją ograniczając. To jak cenzura prewencyjna: bo ktoś może powiedzieć coś złego, należy go zawczasu zakneblować.

Jak w „Raporcie mniejszości” należy założyć, że wyrządzenie zła przez tych, którzy do nas przyjadą, jest pewne, więc naiwnością byłoby czekać. Czy wyrządzenie zła przez Polaków, którzy jechali milionami do Anglii, też było pewne? Nie! My mamy niewinność zapisaną w genach.

A może by tak sprawdzać indywidualnie, a nie „zapewniać odpowiednią strukturę” hurtowo, traktując ludzi jak kartofle? No bo jak Bosak określi tę strukturę, która zapewni Polakom wolność? Z sufitu ją weźmie? Ilu wpuści muzułmanów? Żadnego, jednego, czy stu?

Myślenie „strukturą” to odpowiedzialność zbiorowa: należysz do grupy, która nie pasuje do struktury – wypad! A odpowiedzialność zbiorowa to krótkoterminowy plaster i długoterminowa rana. „Lepiej dmuchać na zimne”, nawet kosztem indywidualnej sprawiedliwości. To kuszenie logiką bezpieczeństwa, które rozpoznał Hayek: jeśli wolność ustępuje przed strachem, przestaje być wolnością. Pisał też w „Dro-

dze do zniewolenia”, że prowadzi do niego odgórne planowanie – narzucenie światu porządku dekretem i siłą.

A odpowiedzialność zbiorowa zawsze się mści. Ogranicza prawa nie tylko „ich”, ale w końcu i „naszych”. Raporty Rady Europy i badania RPO wskazują, że agresja wobec muzułmanów „obcych” wzmacza agresję wobec muzułmanów „swoich”. Bo czy Polak wyznający islam będzie pasować do struktury Bosaka? Może to farbowany lis?

Wreszcie pisze Bosak, że pozytywne „indywidualne doświadczenie” dotyczące migrantów „nie może być tu decydujące”. Nagle cały konfederacki indywidualizm wziął w łeb! Państwo ma szanować twoje indywidualne odczucia wtedy, gdy nie chcesz się szczepić. Ale, gdy uważasz, że nie każdy muzułmanin jest gwałcicielem i obcinaczem głów, to jesteś infantylny i pan Bosak musi ci wjechać na chatę z reglamentacją. To nawet logiczne – dla konfederatów innowierca jest gorszy niż śmiertelny wirus, zwłaszcza że według nich wirus nie istnieje, a innowierca jak najbardziej.

Zastanawiam się, jak Konfederacja zrealizuje inne postulaty? Czy ustali „strukturę antyżydowską”? Albo „antygejowską”? Ma pan, Panie Marszałku, jakąś wizję? Podpowiem – może by tak skopiować z Australii czy Kanady punktowe systemy kontroli migracji. Tylko że one nie planują „struktury”. One oceniają ludzi indywidualnie, przyznając punkty za wiek, wykształcenie, zawód (z listy pożądaných), stan zdrowia czy niekaralność. Nie oceniają narodowości, wyznania czy orientacji seksualnej. Więc to do kitu z punktu widzenia Pana planu.

No, chyba że te kanadyjskie wymysły pan zmodyfikuje. Pięć punktów ujemnych za islam, dziesięć za to, z kim się śpi. Może jakieś punkty dodatnie za katolicyzm? Ale w której wersji? Konfederackiej, w której kara śmierci jest cacy, czy zgodnej z katechizmem? Czy papież Franciszek dostanie plusa, skoro ten konfederacki katolicyzm potępia i karze śmierci się sprzeciwia?

Konfederaci mówią między wierszami – kto ma wiedzieć, ten wie. Zewnętrznie – niewinny slogan. Wewnątrz czytelne przesłanie. Jak z „obroną cywilizacji łacińskiej”. Na wierzchu: troska o dziedzictwo kulturowe. Dla swoich: sprzeciw wobec migracji i LGBT. Nieladnie przecież mówić: „Albo Polska będzie biała, albo jej w ogóle nie będzie”. Lepiej: „trzeba ustalić strukturę narodowościową”. „Struktura” brzmi niewinnie – rzeczownik na tyle abstrakcyjny, że spokojnie przykryje nienawiść rasową.

Bosak to rewizor wolności: wydaje przepustki, ale karze, gdy przekracza się dopuszczalną gęstość odmienności. On nie cenzuruje, on prewencyjnie chroni wolność przed tym, co może się wydarzyć, gdy zaufamy ludziom, nie planom. Wolność w jego wydaniu to polityczny projekt do zatwierdzenia przez komitet do spraw zgodności tożsamościowej.

Zastanawiam się, ile punktów według „struktury” Bosaka dostałby Janusz Waluś, gdyby był migrantem? Ten rasista i morderca czarnoskórego polityka z RPA, którego Braun witał na lotnisku. Czy zabicie komunisty dałoby mu minus, czy plus? Czy pasowałby do „struktury”?

Wydaje mi się, że pasowałby wspaniale. Ta Polska z wizji Konfederacji cała powinna być złożona tylko z Walusiów – aryjskich, niebieskookich blondynów, którzy nienawidzą czarnych i są gotowi zastrzelić każdego komunistę. To byłaby dopiero wzorowa „struktura” im. Krzysztofa Bosaka. ●

ŚWIAT

M ŚWIETNIE CZUJE MASZYNY

Gorzej z ludźmi.

Elon Musk
to pokłady miłości własnej
i dobrych chęci



Artur Włodarski

Wależę do oszukanych. Tych, którzy mu uwierzyli, a teraz z niedowierzaniem patrzają, co wyprawia. Takich jak ja są miliony. Uwiódł nas wizjami, a teraz zraża potokami kłamstw, umizgami do faszystów, słabością do dyktatorów i nieliczeniem się z nikim i z niczym.

Co Elon Musk ma w głowie? Odpowiedź to klucz do wszystkiego, co nas szokuje i niepokoi. Bo mowa o najpotężniejszym człowieku na planecie. Od 100 lat kimś takim był prezydent USA. Teraz jest figurą na szachownicy Muska. Ten ostatni gra czarnymi. Kto jest królem białych? Xi Jinping, przywódca Chin. My jesteśmy pionkami.

W jego płatach czołowych prawie nie ma miejsca na przypadek, wahanie czy wyrzuty sumienia. W kłuczowych kwestiach Musk jest niczym sztuczna inteligencja – do bólu logiczny. Przy czym logika jest jego, a ból będzie nasz.

Jako jego były fan piszę to z wściekłością. Musk dokonał tyle, że starczyłoby na kilka życiorysów: elektryczne auta o sportowych osiągnięciach, rakiety wielokrotnego użytku, sieć satelitów telekomunikacyjnych, sztuczna inteligencja Grok... Jeszcze trzy lata temu wydawało się, że uczyni Ziemię lepszym miejscem.

Tworząc motto Tesli, obiecywał „uwolnienie ludzkości od paliw kopalnych”. Czyli? Mniej spalin i hałasu w miastach. Plus coś najważniejszego: świat bez wo-

jen. Koniec odwiecznych konfliktów o paliwa kopalne. Każda energetyczna alternatywa to mniejsze uzależnienie od garstki państw, które mają za co narzucać swój porządek. Bo czym byłaby Rosja bez ropy i gazu? Bezzębnym niedźwiedziem. Przerośniętą Mongolią.

Lecz tego motta już nie ma. Gdy Musk postawił na naftowego prezydenta, złagodził je na „przyspieszanie globalnego procesu przechodzenia na zrównoważone źródła energii”.

Nie ma też dawnego Muska. Przez dwie dekady był skupiony na swych spółkach, technikaliach i produkcji. Polityka? W 2015 r. powiedział: „Poświęcam jej tak mało uwagi, jak to tylko możliwe”. Rok później przed wyborami prezydenckimi wsparł finansowo Hillary Clinton. Donald Trump? Nie cierpiał go. – To niewłaściwy facet – mówił CNBC.

I nagle, w 2024 r., rzuca się w politykę i wspiera Trumpa. Cichą sympatię do Demokratów zamienia w jawną wrogość. Chodzi w czapeczce MAGA, prowadzi kampanię Trumpowi, jest jego największym darczyńcą, a teraz... prawą ręką? Kimś więcej. To główny propagandzista. Mózg nowej administracji, nadający kierunek i impet jej poczynaniom. Kula burząca nie tylko instytucje federalne, ale też wizerunek Stanów przez zrywanie jednych sojuszy i zawieranie innych.

To niebywała wolta. Zwłaszcza że wykonał ją CEO pięciu firm z różnych branż chępiący się pracą po 17 godzin na dobę. Jaka logika za tym stoi?

Odpowiedź powinna być łatwa. Poświęcono mu już trzy biografie. Poza tym Musk to nie Howard Hughes, zmarły pół wieku temu konstruktor, filantrop i miliarder stroniący od ludzi i tygodniami niewycho-

dzący z apartamentu. Jak żaden zapracowany biznesmen, Musk, gdy nie śpi, tweetuje – średnio co 15 minut. To daje wgląd w jego myśli.

Pozornie. Bo te tweety mają urabiać opinię publiczną. Są projekcją tego, co Musk chce, żebyś myślał, że myśli. Choć wie, że wypisuje bzdury.

Na przykład, że „Kamala Harris jest jawną komunistką”, że „pożary w Kalifornii pochłonęły tyle ofiar, bo szefem straży pożarnej LA była wspierająca różnorodność kobieta”, oraz że „Zelenski to wróg pokoju, którego nie obchodzi ani Ukraina, ani jej obywatele”. Celowo rozpowszechnia kłamstwa.

Od dwóch lat jego głównym paliwem są negatywne, wysokooktanowe emocje. Na ich fali dowiódł Trumpa do zwycięstwa i stał się jego „first buddy”, najlepszym kumpsem. Teraz na platformie X rozgrzesza siebie i rząd z kontrowersyjnych decyzji. Jak?

Ktoś rzuca: „Czas, by Stany opuściły NATO i ONZ”. Musk odpisuje: „Racja”. Algorytmy X natychmiast to eksponują. Parę milionów odsłon później taki pozornie niewinny tweet staje się vox populi, a potem police verso – decyzją zmieniającą losy ludzi, państw i równowagę sił w Europie. Niczym cesarz w Kolozeum Musk na X lubi obracać kciuk, udając, że taka jest wola ludu. – Miliarder z platformą medialną steruje rządem atomowego mocarstwa. Wszyscy jesteśmy królikami doświadczalnymi – mówi Lindsay Owens, amerykańska socjolożka ekonomiczna.

Ale X to też stetoskop pozwalający wsłuchiwać się w Muska i poznać go, jakim jest.

Słowo „dziwny” byłoby tu eufemizmem. Jeśli myślisz, że życie bez stresu, spokojny sen i wolny czas to marzenie każdego, nie zrozumiesz Muska. Mierząc go zwykłą miarką, uznasz, że to świr. Błąd. Musk to cięż-

kostrawny miks wyjątkowej psychiki, poglądów i finansowych możliwości.

Jest genialny. Współpracownicy potwierdzają jego łatwość przyswajania informacji. Bywa, że osacza jakiegoś inżyniera w fabryce, wypytuje go o nuanse techniczne i choć nic nie zapisuje, to wszystko pamięta. „Do słownie wgrywa sobie czyjąś wiedzę” – pisze Ashlee Vance w biografii Muska. Umysł ścisły. W SpaceX jest głównym inżynierem. Ekspertem od napędów rakietowych i materiałoznawstwa. Ma też świetną wyobraźnię przestrzenną i zmysł konstruktorski. Bogatą wiedzę i błyskotliwą inteligencję. Od razu dostrzega clou problemu. Świetnie czuje maszyny. Gorzej z ludźmi.

– Mam OCD [zaburzenia obsesyjno-kompulsyjne]. Tym, co mnie napędza, jest wygrywanie. Na dużą skalę. Nie wiem, czemu to zawdzięczam – przyznał ćwierć wieku temu współnikowi z X.com. Potem ogłosił, że ma aspergera. Nie zdziwiło to zapewne jego partnerek – aktorka Talulah, piosenkarka Grimes, celebrytka i aktorka Amber Heard oraz menedżerka z branży nowych technologii i inwestorka Shivon Zilis są zgodne, że Musk jest bardzo emocjonalny, a zarazem ślepy na emocje innych.

Gdy w 2020 r. Grimes rodziła X (tym razem chodzi o dziecko), Musk robił jej zdjęcia podczas cesarskiego cięcia i rozsyłał znajomym, nie widząc w tym nic niestosownego. Wszyscy myśleli, że żartuje, gdy zdradził pełne imię dziecka: X Æ A-12. Mieli rację. Chłopiec zwie się po prostu X Æ A-Xii. To ten, z którym Musk najczęściej się pokazuje.

Dzieci wiele o nim mówią. Ma ich 14. Ostatni – Lycurgus – urodził się 28 lutego. A ciąg dalszy nastąpi, bo Musk „walczy z depopulacją”. Szósty z kolei X rozpoczął serię imion, których nie ma w kalendarzach. Jak Techno Mechanicus czy Exa Dark Sideræl (od operacji zmiennoprzecinkowych na sekundę).

I kolejna znacząca rzecz - proporcja: 11 synów i tylko 3 córki. Co w tym niezwykłego? Ano to, że cała piątka Muskowych dzieci z in vitro to chłopcy. W USA można dokonywać selekcji zarodków, na przykład pod kątem płci. A Musk uważa, że tylko „high T alpha males” - czyli samce alfa z wysokim poziomem testosteronu - oraz osoby neurotypowe są zdolne do kwestionowania zastanych prawd i krytycznego filtrowania wiadomości. Dlatego najlepszym ustrojem byłaby „republika mężczyzn o wysokim statusie”

Bilans poprawiła Jenna Vivian Wilson, która urodziła się jako Xavier Alexander Musk, ale przeszła korektę płci i zmieniła nazwisko. Teraz wspomina, że ojciec chciał, by Xavier zachowywał się bardziej po męsku i mówił niższym głosem. Bo nie mógł znieść, że jako chłopiec była „zniewieściała i queerowa”.

Musk nigdy jej nie wybaczył tranzyjii. Nazwał ją komunistką i stwierdził, że „została zabita przez wirusa przebudzonego umysłu” – chodzi mu o kulturę woke, czyli nurt naprawy krzywd oraz przyjmowania i promowania perspektywy grup wykluczonych – którym „zaraziła ją” ekskluzywna szkoła w Santa Monica, a który „opanował całą Kalifornię”. Musk uznał jej mieszkańców za komunistów, przeprowadził się do Teksasu, a woke zwalcza do dziś.

Vivian mieszka w Tokio i odcięła od ojca. Nie chce być kojarzona z kimś, kto „tworzy kreskówkowo zły rząd megamiliarderów stanowiących 1 proc. najbogatszych i dbających tylko o swoje interesy.”

Nie tylko jego byłe twierdzą, że ma wiele osobowości, które przełączają się bez ostrzeżenia. Najgorszy – według Grimes – jest w trybie demona, który czyni go cynicznym, bezdusznym i odpychającym.

Zdaniem kilku współpracowników „Elon jest wysoko funkcjonującym socjopatą i podręcznikowym narcyzem”. Choćby te tweety – 100 na dobę. – Już pomijając, jak to rozprasza i ile czasu zabiera, nikt nie ma tylu ciekawych rzeczy do powiedzenia światu, by tweetować więcej niż pięć razy dziennie. Musk zamieszcza ich 20 razy tyle. Tak czynią osoby uzależnione i narcystyczne – mówi BBC były menedżer ds. produktów w Twitterze.

Narcyzm to cień Muska. Biograf Walter Isaacson potwierdza to, pisząc: „W wieku 28 lat Musk był już startupowym celebrytą. Lubi stać w świetle reflektorów”. Najlepiej sam. Dlatego wygrzył z Tesli jej założyciela Martina Eberharda. Dlatego odszedł z OpenAI, gdzie nie mógł być nr 1. Dlatego sprawił, że Vivek Ramaswamy opuścił DOGE, Departament ds. Efektywności Rządu, którym obaj mieli rządzić.

Musk musi dominować i jest konfrontacyjny. Na krytykę, której nie znosi, reaguje agresją. Tym zra-

• **Elon Musk w kapeluszu w kształcie sera na wiecu wyborczym sędziego Barda Schimela w Green Bay (31.03.br.) To republikański kandydat do Sądu Najwyższego Wisconsin. Musk wydał na jego kampanię 20 mln dol., Nie pomogło. Schimel przegrał wybory. Ser na głowie to nawiązanie do słowa „Cheesehead”. Tak się w USA mówi o ludziach z Wisconsin i fanach drużyny futbolowej Green Bay Packers. Po wiecu Musk podpisał ser i rzucił w tłum**

FOT. REUTERS/VINCENT ALBAN

ża i odstrasza. Np. Susan Sandberg, która uczyniła Facebook dochodowym – w 2016 r., gdy Elon był jeszcze w wersji „soft”, nie zgodziła się zostać dyrektorem operacyjnym Tesli. A były dyrektor wykonawczy tejże stwierdził: – Elon jest jak Słońce – im bliżej podejdziesz, tym mocniej się sparzysz. To wyjaśnia rotację wśród bezpośrednich podwładnych – w zeszłym roku z Tesli odeszło ich ośmiu, w tym już dwóch.

Musk nie cierpi dzielić się władzą. Duet z Trumpem, też samcem alfa i narcyzem, sporo go kosztuje. Również dosłownie – na kampanię MAGA wydał 290 mln dol.

Nie wiem, która wersja Muska udzieliła wywiadu Fox News 19 marca, ale był to festiwal megalomanii. „First buddy” jest zszokowany - do tego stopnia, że nazwał ich „obłąkanymi” - istnieniem ludzi, którzy bojkotują Teslę. – Przecież nigdy nie zrobiłem nic złego – tłumaczy ktoś, kto według słynnego historyka Timothy’ego Snydera „szerzy dezinformację bardziej niż ktokolwiek w historii” i kto pół roku temu zagrzewał Brytyjczyków do wojny domowej.

Jako narcyz niezdolny do samokrytyki, Musk od razu znalazł winnych bojkotu Tesli: to demokraci i „oszuści”, których wyrzucił z urzędów federalnych.

Ale jedno się nie zgadza: typowy narcyz unika ryzyka. Musk? Uwielbia stawiać wszystko na jedną kartę. W 2008 r., gdy jego spółki były bliskie bankructwa, wahał się, którą poświęcić: Teslę czy SpaceX? Postanowił uratować obie. Wpompował w nie wszystkie swoje pieniądze, choć szanse powodzenia oceniał na... 10 proc. – Nie znam nikogo tak odpornego na ryzyko – mówił 20 lat temu jego bliski kumpel, wpływowy inwestor i utopijny libertarianin Peter Thiel.

• Thiel nie do końca rozgrzył przyjaciela. Musk szuka ryzyka – wiednie, gdy wszystko idzie gładko, a rozkwita, gdy wybucha kryzys. Dlatego sam kryzysy wywołuje. Np. ustalając szalenie krótkie deadline’y, zmusza siebie i podwładnych do pracy dzień i noc całymi tygodniami. Odcięty od biznesu i internetu latałby w wind-suicie, ocierając się o skały z prędkością 200 km/h.

W jego płatach czołowych prawie nie ma miejsca na przypadek, wahanie czy wyrzuty sumienia. W kluczowych kwestiach Musk jest niczym sztuczna inteligencja – do bólu logiczny

Tym, co godzi narcyzm z ryzykiem, jest ciemna triada (nazwa pewnie spodobałaby się Muskowi). To nie tytuł tandetnego horroru, lecz combo: narcyzm, makiawelizm i psychopatia. Nieobce kreaturom takim jak Hitler, Stalin, Mussolini, Pol Pot, Saddam Husajn czy Kaddafi. Narcyzm pozwalał im tworzyć wizję, makiawelizm – dopinać swego, a psychopatia – kusić los i stawiać wszystko na szali. Ofiary? Dziesiątki milionów ludzi.

Złe dzieciństwo – wspólny mianownik większości tyranów – to dobry trop. Rozwód i przemoc. Musk doświadczał jej w domu (maltretowany psychicznie przez ojca) i w szkole (bity przez rówieśników). Przemoc kwitła w jego rodzinnym RPA lat 70. i 80. targanym zamieszkami na tle rasowym. Z czasów apartheidu została Muskowi niechęć do czarnych (prawie nieobecnych w jego firmach) i czarno-biały podział świata. Musk dzieli ludzi na tych, którzy się z nim zgadzają, i na resztę, która jest przeciwko niemu.

Ciemna triada wnosi w pakiecie nieustępliwość, mściwość, przebiegłość i dwulicowość. Musk lubi mieć wrogów i odgrywać się na nich. Najlepiej na X, w swym cyfrowym królestwie, gdzie może ich oblewać pomyjami. Każdy może zostać nazwany komunistą lub zdrajcą. Z upodobaniem stosuje strategię odwracania pojęć, nazywając Zelenskiego „dyktatorem” czy oskarżając Brukselę o „niszczenie demokracji”. Uwielbia prowokować i być w centrum skandalu. Gdyby producentka Barbara Broccoli zaproponowała mu rolę złooczyńcy w „Bondzie”, pewnie by się zgodził.

• To, co pogrąża Muska na X, procentuje w grach, jego drugiej pasji, przez którą zarywa noce i przesuw

biznesowe spotkania. A jednocześnie w grach dobrze uwidacznia się jego splot pasji, miłości własnej i niezdolności do pogodzenia się z przegraną.

Sam ma jedną na koncie: „Blastar” z 1984 r. - niezłe napisana, jak na 12-latkę, dziejąca się w świecie pełnym groźnych maszyn i bomb wodorowych. Lata później wkręcił się w „Overwatch” – grę typu first-person shooter. Potem była „Elden Ring”, w którą grał całą noc po zakupie Twittera. Po niej „Diablo IV” i w końcu wydana cztery miesiące temu „Path of Exile 2”, w której chciał zabłysnąć, a się skompromitował.

Gra jest szalenie trudna, co oznacza, że trzeba setek, jak nie tysięcy godzin, by przebić się do ścisłej czołówki. Musk obwieścił, że jest w topowej dwudziestce. Gracze zaczęli zastanawiać się: jak to możliwe, że zabiegany szef tak licznych firm, nieustannie występujący publicznie, któremu właśnie doszły nowe rządowe obowiązki - budowa departamentu DOGE - wygospodarował czas, by w grze obecnej na rynku od niecałego miesiąca dojść do topowego levelu?

Musk zdemaskował się podczas streamu z „PoE2”, gdzie grał 97-punktową - czyli bardzo zaawansowaną - postacią jak nowicjusz. Wytrwani gracze, jak Zack „Asmongold” Hoyt, od razu pojęli, że żądny podziwu miliarder potajemnie wynajął innych graczy, by podbili mu konto - to tzw. account boosting. To tak, jakby ktoś wykonał trudną arię w Royal Opera House, ale z playbacku i to nagranego przez kogoś innego.

Gdy Hoyt zaproponował Muskowi, by zagrał publicznie i ukrócił oskarżenia o oszustwo, ten upublicznił ich korespondencję, nazwał krytyka „marionetką”, a siebie „żywym bogiem gier wideo”, który „już do- wiodł swej klasy”.

Ale jest gra, w której Musk naprawdę wymia- ta: „Battle of Polytopia” - gra strategiczna, która „śni mu się po nocach” i która pogłębiła jego skłonność do konfliktów. Wybiera się w niej jedno z 16 plemion i walczy z pozostałymi, rozwijając technologię, pozyskując zasoby, tocząc bitwy i budując imperia

Dla Muska to coś więcej niż relaks. Gdy Grimes, którą namówił na grę, zmiotła go kulą ognia, wpadł w furję. A słysząc, że „przecież nic się nie stało”, ryk-

• nął: „Stało się, kurwa! Dla mnie to poważna sprawa”. Osiągnął w grze taką biegłość, że pokonał jej twórcę Felixa Ekenstama. – Wojna to mój żywioł – przyznał Isaacsonowi.

• Powtarza, że „kocham ludzkość”. Czy zatem możemy spać spokojnie? Nie, bo Musk to longtermista. Myśli w kategoriach setek tysięcy lat – ponoć tyle ma przed sobą ludzkość. Tak wyliczył – na zasadzie analogii do innych gatunków – William MacAskill, szkocki filozof (rocznik 1987) modny ostatnio w Dolinie Krzemowej.

MacAskill zainspirował się Irokezami, którzy podejmując decyzje, wybiegają w przyszłość o siedem pokoleń. Longtermiści, w tym Musk, Thiel i J.D. Vance (człowiek Thiela), uważają, że skoro przyszłych pokoleń będzie znacznie więcej, ich dobro jest ważniejsze niż nasze. Nawet gdyby część z nas miała przyplacić to życiem, powinniśmy robić wszystko, by zasiedlić inne planety. Inaczej nie przetrwamy. Choć Curtis Yarvin, ulubiony ideolog Muska, sugeruje, że jego parcie na Marsa ma drugie dno: – Marsjańskie kolonie będą należeć do spółki zależnej SpaceX. Musk liczy, że urządzi tam świat po swojemu, a budując bazy, zbije fortunę. Niemniej SpaceX to najważniejsza spółka Muska. Powodem, dla którego ma ich więcej, jest techniczny solucjonizm. Co to? Liczący prawie 100 lat pogląd, że każdy problem społeczny czy polityczny da się rozwiązać technologią. Tesla to remedium na zmianę klimatu, SpaceX – ziemską apokalipsę, a Neuralink i xAI – nieposłuszną sztuczną inteligencję. Musk na ich czele jawi się jako technologiczny Prometeusz.

W każdej dziedzinie stara się być very first-principles thinker, czyli zaczyna rozgrzyzanie zagadnienia

od podstaw. Podchodzi do problemu, jakby startował od zera i niczego nie bierze za pewnik. Historia, rutyna? Lepiej wymyślać wszystko od nowa. Skoro udało się z autami na prąd i raketami wielokrotnego użytku, to z urzędami federalnymi też powinno się udać.

Do tego, by dowodząc DOGE, wydrenować je kadrowo i finansowo (jak Twittera), zainspirował go Yarvin, kalifornijski bloger, który – choć dziwnie to brzmi – ma ogromny wpływ na politykę Waszyngtonu. Jest twórcą nurtu myślowego zwanego ciemnym Oświeceniem, w którym wszystko, począwszy od nazwy, powinno budzić zachwyt Muskusa.

Zdaniem Yarovina demokrację trzeba zastąpić dyktaturą. Wiedząc, że słowo „dyktatura” jeży włos u znających historię, zastąpił je „monarchią”. Ameryka powinna być technomonarchią rządzoną jednoosobowo przez CEO-monarchę, czyli kogoś w rodzaju szefa big techu. „Bo każdy szef z listy »Fortune 500« będzie bardziej efektywny niż dowolny polityk”. Musk oczywiście wziął to do siebie. Próbuje zarządzać Ameryką jak start-upem.

Nic dziwnego, że tezy Dark Enlightenment traktuje jak własne. Nie przeszkadza mu, że Yarvin, uważa białych za bardziej inteligentnych od czarnych, a podbój Europy przez hitlerowskie Niemcy – za samoobronę. Już w 2012 r. ogłosił RAGE (Retire All Government Employees), czyli „konieczność wycofania ze służby wszystkich urzędników i restartu amerykańskiego rządu”.

Brzmi znajomo? W pakiecie jest też ograniczanie praw obywatelskich i... cezarizm. Czyli coś między dyktaturą a tyranią. W 2021 r. Yarvin wymyślił, że Trump mógłby zdobyć władzę w drodze prawomocnych wyborów, po czym sprawować ją niezgodnie z prawem – „wystarczy, że ogłosi stan wyjątkowy”. Wtedy Trump-Cezar szybko rozprawiłby się z uniwersytetami, intelektualnymi elitami, mediami głównego nurtu i organizacjami, które szerzą polityczną poprawność i walczą o prawa mniejszości.

Mógłby ignorować wyroki sądu i zmusić Kongres do posłuszeństwa. „Jego legitymacją byłoby nie prawo, lecz konieczność. Ameryka potrzebuje twardego resetu”.

Przez swój radykalizm 52-letni Yarvin długo był lekceważony. Aż zaczął go wspierać miliarder Peter Thiel. Współzałożyciel PayPal w 2009 r. przekreślił demokrację jako krępującą wolność (bogatej) jednostki. To on zainwestował w J.D. Vance’a jako początkującego polityka, obrócił z lewa na prawo i uczynił republikańskim senatorem, a w efekcie wiceprezydentem. Po czym dostrzegł równie radykalnego Yarovina i wypromował go na luminarza idei zastąpienia demokracji dyktaturą, co Trump, Musk i Vance od dwóch miesięcy wdrażają w życie.

Popularność blogera wystrzeliła jak rakiety SpaceX. A znaczenie wzrosło jeszcze bardziej, gdy Yarvin oszłomił Michaela Antona, byłego szefa kuchni, a potem dyrektora planowania polityki w gabinecie Trumpa. Wraz z Vance’em zaprosili „neofeudalistę” na inaugurację Trumpa. Był tam nieformalnym gościem honorowym.

Prócz Waszyngtonu Yarvina cytuje też Dolina Krzemowa z Markiem Andreessem na czele, Thielem, no i szefem DOGE, który obraca jego słowa w czyn tak, jak lubi – szybko i brutalnie.

– Pojawili się nagle i niewiele mówiąc, zaczęli łupić dane – mówił dziennikarzom urzędnik Departamentu Edukacji.

Buszująca w rządowych serwerach banda 19-24 latków – trzon grupy uderzeniowej DOGE – to żołnierze Muska, który jako specjalny pracownik rządowy – SGE, od Special Government Employee – nie bierze jeńców: niepokornych urzędników zwalnia z miejsca, pozostałym daje czas do września. Docelowo? „Etaty i budżety ścięte do zera, a za miast ludzi – boty”.

Czystki, cięcia i łamanie reguł to jego żywioł. Idzie na całość, bo wie, że lepszej okazji

nie będzie. Nawiązując do głośnej komedii z 1984 r. (w Polsce znanej jako „Zemsta frajerów”), to zemsta nerdów na systemie. – Musimy usuwać agencje w całości, wyrwać je z korzeniami. Jeśli coś zostanie, chwast odrósł – wyjaśnia. Cieszy się, że agencję pomocowo-rozwojową USAID, wspierającą biednych, głodnych i chorych, wrzucił „do młynka na odpady”.

– Już w listopadzie mówił, że chce od podstaw stworzyć rząd federalny – usunąć wszystko, co zbędne, i zacząć od nowa – ale nikt nie brał tego dosłownie. Ani nie doceniał jego talentu do destrukcji – przyznaje zaprzyjaźniony z Muskiem Joe Lonsdale z Palantira, firmy opracowującej cyfrowe bronie dla Pentagonu i tajnych służb.

„First buddy” może więcej niż prezydent, bo nie jest skrzepowany procedurami. Kongresmenka Susie Lee wylicza: – Ktoś, kogo nie było na żadnej karcie do głosowania, w miesiąc zinfiltrował dane milionów podatników, zamroził już podpisane inwestycje federalne i zwolnił tysiące urzędników.

Po co? – By osłabić rząd, który kontroluje prywatny biznes. I by prywatny biznes mógł przejąć część kompetencji rządu – tłumaczy Tim Kramer, pisarz i były oficer.

„Mogę się zgodzić, ale nie muszę. Nie po to jestem bogaty, by ustępować”. To, co rzekł miliarder Bob Axelrod w serialu „Billions”, jak ułal pasuje do Muska. Nie musi ustępo-

„Demokracja”, „regulacja” i „biurokracja” to dla Muska słowa bliskoznaczne. Jego zdaniem ludzie marnują życie, rozwiązując błahе bieżące problemy

wać ani się tłumaczyć. Jest majętny, więc ma rację.

Najbogatszy człowiek świata uosabia amerykańską mentalność, która głosi, że „skoro jesteś majętny, to na to zasłużyłeś, a jeśli jesteś biedny, to tym bardziej na to zasłużyłeś”. Bogactwo jest nagrodą za sukces, ale też potwierdzeniem słuszności światopoglądu. Musk wierzy więc, że jego fortuna czyni go ekspertem w każdej kwestii. Polityka, demografia, prawo, tożsamość płciowa, procedury w pandemii – wszystko komentuje tonem oznajmująco-rozstrzygającym.

Tkwi przez to w pudle rezonansowym własnych opinii, w których się utwierdza, i pochlebstw otoczenia, które nie śmie go krytykować. To bariera niemal tak szczelna jak jego 20-osobowa ochrona sprawdzająca budynki pod kątem dróg ucieczki i każde pomieszczenie, do którego ma wejść.

Kule krytyki dopadają go w mediach.

Ignoruje wszystkie poza tymi wystrzelonymi na X. Odpowiada kpina, atakiem lub emotikonem kupy. By podkreślić, że przed nikim nie musi się tłumaczyć, w 2020 r. pozbawił Teslę działu prasowego, czyniąc z niej jedyną taką firmę w branży. Tak ukroił niewygodne pytania mediów, które „powinno się zastąpić dziennikarstwem obywatelskim”.

Jako właściciel platformy medialnej czuje się superobywatelem, cyfrowym demiurgiem kształtującym poglądy mas, który mówi, kogo mają wspierać, a kogo nienawidzić. Zasmakował zwłaszcza w tym ostatnim.

Traktując kłamstwo jako rutynowe narzędzia politycznych rozgrywek, „absolutysta wolności słowa” przesuwając okno Overtona, czyli to, co społecznie akceptowalne. Jak nazwanie „idiotą” kanclerza Niemiec, „zdrajcą” senatora Demokratów, „całkowicie upo-

śledzonym” duńskiego astronauty czy skarcenie słowami: „Milcz, mały człowieku”, szefa polskiego MSZ.

Martin Brundle, brytyjski kierowca wyścigowy, nazwał Muska „globalnie wtrącającym się dupkiem”, co można uznać za trafną syntezę różnych osobowości 54-letniego fana „Polytopii”.

Cena? Spora, ale do przełknięcia. Ponad 500 mld dol. – tyle Tesla straciła na wartości od zaprzysiężenia Trumpa do połowy marca. Umizgi Muska do faszystów, obrażanie głów państwa i jego zabawy w geopolitykę uczyniły z Tesli toksyczną markę. To pierwszy taki przypadek w motoryzacji. Sprzedaż aut spadła i pociągnęła za sobą akcje. Bojkot konsumencki przybrał formę ruchu Tesla Takedown (Rozbicie Tesli), którego nazwa jest zarazem celem.

Lecz nawet gdyby Musk do reszty zraził klientów i doprowadził Teslę do bankructwa, pozostanie krezusem. Ma dość udziałów w SpaceX, xAI i sieci Starlink.

Ta ostatnia to system nerwowy centrów dowodzenia. Musk może wpływać nią na przebieg wojen. To jakby „Polytopia” w realu. I coś, co upodabnia go do jego historycznego idola. Któż to, Churchill? Patton? Nie, Sulla, o którym Musk „myśli każdego dnia”.

Lucius Cornelius Sulla, 138-78 r. p.n.e., to rzymski konsul i wojownik symbolizujący nie tylko skuteczność – wygrywał bitwy w wielkim stylu – ale i bezwzględność wobec wrogów. Na przykład po odbiciu Rzymu

kości. Pielęgnuje demokrację, boi się dyktatury. Nim zmądrzeje, miną wieki. Ale trafiła się okazja – Trump nie ma poglądów, umie wciskać kit i można go kupić. Na przykład finansując mu kampanię wyborczą. Inwestycja, do której Musk i jego „krzemowi” kumple dorzucili agendę złożoną z postulatów Yarovina: izolacjonizm – wycofanie się ze zobowiązań i organizacji międzynarodowych, podniesienie cel; scalanie gospodarki; przekręcenie śruby imigrantom; ukręcenie łba biurokratom, regulatorom oraz ośrodkom akademickim i niepokornym mediom.

Bo przecież władza należy się nie wszystkim, lecz tym, którzy wiedzą, jak i do czego jej użyć. Spójrzmy na Chinę. Powiedziały „nie” demokracji i od 30 lat rosną w siłę. Są liderami w 37 z 43 zaawansowanych technologii. Xi Jinping, który rządzi już 13. rok, podkreśla: „Przywództwo przemysłowe Chin jest efektem długofalowej strategii i żelaznej konsekwencji”.

Musk nie krytykuje dyktatorów. Szanuje ich, bo sam aspiruje do tej roli. Już dwa lata temu stwierdził, że „Ukraina nie ma szans, bo hej, to Rosja! Ona nie przegrywa wojen”. Jednak wizytując Chiny, jest uległy i układowy. Tesla produkuje tam co drugie auto i sprzedaje co trzecie. Bez Chin byłaby pod kreską. Dlatego Musk mówi to, co Xi chce usłyszeć. Na przykład, że „Chiny mają takie samo prawo do Tajwanu jak USA do Hawajów”.

A Stany? Z ich rozlazłą demokracją i czteroletnimi kadencjami? Przodują w ledwie siedmiu technologiach, jak: szczepionki, komputery kwantowe i rakiety kosmiczne. Jakim cudem dały się przegonić?

Pekin już w latach 70. przewidział, co w XXI wieku zastąpi ropę: minerały, jak kobalt, grafit, lit, nikiel, miedź i pierwiastki ziem rzadkich (REE), jak neodym, praeodym, dysproz, cerb czy terb. Są warunkiem postępu technologicznego i transformacji energetycznej. Bez nich nie byłoby: aut elektrycznych, paneli fotowoltaicznych, turbin wiatrowych, chipów, laptopów, magnesów, smartfonów, dronów, satelitów, laserów, światłowodów, katalizatorów, sztucznej inteligencji, blockchainu, IoT, czyli internetu rzeczy, twardych dysków, centrów danych i systemów uzbrojenia.

Biedna i miejscami jeszcze głodująca Chińska Republika Ludowa uznała, że surowce krytyczne będą silnikiem jej gospodarki. Zmniejszyłyby uzależnienie od ropy, którą Pekin musi importować. A kontrolując ich wydobycie i przetwórstwo, Chiny miałyby w garści kraje pierwszego świata. Gdy te wzięły się do ratowania klimatu, odkryły, że zielone technologie wymagają rzadkich metali i minerałów, których złoza występują w niewielu miejscach na świecie. I że te najlepsze są już zaklepane przez Chiny.

Choćby w Kongu, skąd pochodzą trzy czwarte kobaltu, który trafia do baterii Li-ion, amunicji i stopów lotniczych. W 2008 r. Pekin podpisał z Kinsząsą kontrakt wart 6 mld dol. i stał się właścicielem 15 z 19 najlepszych złóż i 5 z 10 największych kopali kobaltu i miedzi. Chińczycy sami go oczyszczają – ich rafinerie pokrywają 60-90 proc. globalnej podaży kobaltu. I praktycznie zmonopolizowali (95 proc.) rafinację kobaltu klasy akumulatorowej. Co oznacza, że nie da się wyprodukować auta na prąd bez udziału Chin.

Mając własne złoza oraz kompletne łańcuchy dostaw, chińskie firmy mogą produkować taniej. – O prawie jedną trzecią w przypadku aut – ocenia szef Forda Jim Farley.

Musk wie, że Tesla nie ma szans z BYD – najgroźniejszym z chińskich smoków, jeszcze bardziej zintegrowanym pionowem niż ona (ma swoje kopalnie, fabryki akumulatorów i statki, którymi rozwozi samochody). Już dwa lata temu optował za wysokimi cłami, bo „bez nich tańsi i przerażająco skuteczni Chińczycy zniszczą większość firm motoryzacyjnych na świecie”.

Państwo Środka w 2023 r. ograniczyło eksport antymonu, galu i germanu do Sta-

nów. A co, jeśli definitywnie odetnie dostawy strategicznych surowców? Doszłoby do dramatycznego wzrostu kosztów produkcji w co najmniej pięciu branżach. Cios dla USA, które z aż dziewięcioma minerałami krytycznymi są uzależnione od Chin.

Co Musk wie o surowcach? Dużo. Tesla i SpaceX konsumują ich tony. A auta na prąd to ich jeżdżące magazyny. Każdy akumulator trakcyjny zawiera ponad 100 kg litu, niklu, kobaltu, manganu, grafitu i miedzi. A silnik z magnesami trwałymi – terb i dysproz.

Sprawa wydaje się przegrana. Ale nie dla Elona. Spojrzał na kulę ziemską jak na planszą w „Polytopii”. I dostrzegł szansę. A ściślej złoża, które jeszcze nie wpadły w łapy Chin. Gdzie? W Kanadzie i Ukrainie, na Syberii i Grenlandii. Więc? Nie ma na co czekać. Trzeba je przejąć.

Jak przekonał Trumpa? Obaj lubią wzniosłe słowa i wyzwania, więc może tak: „Wiem, co zrobić, by twoją głowę wykuto w Mount Rushmore. Jak zapewnić Stanom Zjednoczonym przewagę technologiczną nad Chinami i pozycję mocarstwa numer 1. Ale to wymaga twojej współpracy i serii odważnych kroków. Idziesz?”.

„Traktuj go poważnie, ale nie dosłownie”. Taki wniosek z pierwszej kadencji Trumpa pozwolił gładko przelknąć komentatorom to, co powiedział u progu drugiej.

Zapowiedź, że „USA rozszerzą swoje terytorium”, trąciła rokiem 1898 i aneksją Hawajów. Traktowana dosłownie oznaczałaby, że USA żegnają się z ideą samostanowienia narodów, której były współautorem. Ale może Trumpowi chodziło o bazy na Marsie, o którym wspomniał dwa zdania dalej? Nie. Chodziło mu o Grenlandię, Kanałę i Panamę.

• **Grenlandia to przykryty coraz cieńsza warstwa lodu magazyn** 36,1 mln ton pierwiastków ziem rzadkich, czyli jednej trzeciej światowych złóż. – Potrzebujemy Grenlandii dla bezpieczeństwa narodowego. Tak czy siak, zdobędziemy ją – powtarza Trump.

• **Kanada**, z której 47. prezydent chce zrobić 51. stan, jest skarbcem kryjącym: złoto, miedź, nikiel, platynę, diamenty, bituminy, cynk, uran, potaż, grafit, lit oraz 15,2 mln ton pierwiastków ziem rzadkich.

• **Kanał Panamski to morska droga na skróty**, z której korzysta 40 proc. amerykańskich kontenerów. Trump twierdzi, że rządzią nią Chińczycy. – Ten kanał jest nam potrzebny. Odzyskamy go – zapewniał przed Kongresem.

Takie imperialne deklaracje przystają bardziej do dyktatury niż demokracji. Państwa zbójckiego, a nie „światowego policjanta”. Ale Yarvin przekonał Muska i Vance’a, a ci Trumpa, że demokracje są słabe, zaś dyktatury silne. A Musk przekonał Trumpa i Vance’a, że stawka jest wysoka, a czasu niewiele. I że w wyścigu z Chinami liczą się nie sojusze, ale wynik.

• Wiedzieć, że Musk regularnie rozmawia w Putinem, była szokiem. Drugim – uległość całej trójki wobec agresora, której rewersem była pogarda dla Zełenskiego. Lecz kiedy spojrzeć na to przez pryzmat surowców, wszystko staje się jasne.

Podczas awantury w Białym Domu Trump i Vance dostali piany w chwili, gdy już było wiadomo, że prezydent Ukrainy nie zrobi jedynej rzeczy, jakiej od niego oczekiwali: podpisania umowy o wydobywaniu minerałów. Trzy dni później Zełenski rozświetlił Trumpa, mówiąc, że „do pokoju jeszcze daleka droga”. Skąd ta wściekłość? Stąd, że przemysł wydobywczy ma długie terminy realizacji – rozruch kopalni trwa 7-12 lat.

Ukraina to surowcowa bonanza. Kryje złoża: miedzi, ołowiu, cynku, srebra, niklu, kobaltu, tytanu i manganu. Do tego 19 mln ton potwierdzonych rezerw grafitu i 5 proc. światowych zasobów metali ziem rzadkich. Spośród tysięcy złóż eksploatuje się co siódme. Wiele już zajęła Rosja – Kijów wycenia utracone złoża na 350 mld dol.

Europa liczy, że Ukraina i Grenlandia zwiększą jej szansę w technologicznym wy-



FOT. KAYLA BARTKOWSKI/GETTY IMAGES

• **Musk-Trump. Męski uścisk dłoni na męskich zawodach zapasniczych. Mistrzostwa w wrestlingu (NCAA Division I Men's Wrestling) w Filadelfii (22.03.2025)**

ścigu, w którym paliwem są minerały. Jednak w Monachium Vance w zasadzie zerwał sojusz transatlantycki. Dlaczego? Z punktu widzenia Muska i spółki Europa reprezentuje wszystko, co najgorsze: demokrację z jej hasłami równości, prawami mniejszości, solidarności społecznej. Oraz przepisy i regulacje, w tym sankcje za szerzenie mowy nienawiści i dezinformacji, które mogą uderzać w amerykańskie big techy, a które Vance nazwał „zamazaniem wolności słowa”.

Ale konfrontacyjny Musk i transakcyjny Trump widzą też w Europie konkurenta do cennych minerałów, którymi USA nie chce się dzielić. Co mogą zrobić? Postarać się, by Europa miała większe zmartwienia: zerwać sojusz, wycofać wojska, a na koniec zdetonować ją od środka, wspierając antyunijne partie, jak jawnie prorosyjską AfD.

• No właśnie, to kolejny szok. Trump i Vance nie powiedzieli złego słowa na Rosję i Putina. Podobnie Musk, który krytykuje Zełenskiego i rozmawia z Putinem. O czym? „O geopolityce, Ukrainie i starlinkach” – pisze „Wall Street Journal”. „O kosmosie i nowych technologiach” – mówi rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow.

Jednym z tematów musiały być surowce. Sugerują to rosyjskie media. Putin wręcz zachęca w nich Amerykanów do współpracy. Oto, jak cytuje go agencja Interfax. „Mamy znacznie więcej metali ziem rzadkich niż Ukraina. Między innymi: w Murmańsku, na Kaukazie, na Dalekim Wschodzie, w obwodzie irkuckim, w Jakucji i w Tuwie. Prawie 30 mln ton. Rosja gotowa jest zaprosić do współpracy przy ich wydobywaniu zagranicznych partnerów państwowych i prywatnych, w tym amerykańskich”.

Ten sam kraj, który walcząc z Ukrainą, toczył wojnę zastępczą z NATO, którego Ameryka jest filarem, teraz widzi w niej partnera biznesowego. Z wzajemnością. Trump zwie Putina „geniuszem wojny” i uważa, że „rozmowy z nim są mądre”. Jak twierdzi politolog Kevin Phillips, autor „American Dynasty”, „to coś więcej niż profesjonalna uprzejmość między dwoma grzechotnikami”. Tak bliskie kontakty z Rosją kluczowych osób w państwie powinny zaalarmować służby, ale Tulsi Gabbard, była żołnierka odpowiedzialna za wszystkie 18 agencji wywiadowczych, od lat nie ukrywa, że rozumie stanowisko Kremla.

Jednak surowce ważą więcej niż sympatie. Białe Dom chce, by ukraińskimi złożami jak najszybciej zajęły się amerykańskie firmy. Rosyjskie pociski nie mogą latać im nad głową. By zmusić Putina do rozejmu, Trump tupnął nogą i zagroził, że pozbawi Rosję zysków z ropy i gazu. Putin mógł jednak powiedzieć: „Pozwólcie nam zająć Ukrainę, a dostaniecie ich złoża na lepszych warunkach. Plus dostęp do naszych”.

Wszyscy są zdeorientowani. Nawet część Republikanów. Senator Lisa Murkowski przyznała: – Doszło do tego, że walczyliśmy z Kanadą, a układamy się z Rosją. To mnie przerasta.

• Angażując się w MAGA, Musk uruchomił kaskadę zdarzeń nieprawdopodobnych: DOGE, Grenlandia, Kanada, Ukraina, Rosja, Meksyk, Gaza, odwracanie sojuszy, nakładanie cel i ich odwoływanie... wszystko naraz. Jakby od inauguracji minęły nie dwa miesiące, ale dwa lata. Nie tylko media, ale nawet eksperci i ludzie z Waszyngtonu się gubią.

I o to chodzi. O sianie zamętu i działanie przez zaskoczenie. Nie dając czasu na reakcję, można zdobyć więcej władzy. To pełnoskalowa wersja wziętej z „Gry o tron” drabiny chaosu – strategii, którą Musk wypróbował, przejmując Twittera. Czasem, gdy wszyscy patrzą na wszystko, nie widzą zbyt wiele. Paradoksalnie, skupiając się na surowcach, łatwiej pojąć sens całości.

A przecież... Musk już raz się odsłonił. Rok 2019, Boliwia. Za jej sterami – Evo Morales: prezydent w swetrze, który przez 13 lat zindustrializował kraj, a wpięty znacjonalizował sektor ropy i gazu. Gdy to samo chciał zrobić z największym na świecie złożem litu (jezioro Salar de Uyuni), został obalony. Był przewrót wojskowy, a potem azyl w Meksyku. Gdy się wydało, że stała za tym administracja Trumpa, Musk zamieścił wpis: „Zrobimy zamach, gdzie chcemy, i obalimy, kogo chcemy”. Final? Nowy rząd dopuścił Teslę do boliwijskich rezerw litu. A minister spraw zagranicznych Boliwii wysłał Muskowi list: „Każdą współpraca z Tobą zostanie przyjęta z wdzięcznością”.

Musk oczekuje tego samego od Kijowa. Stąd „zaskakujący” – zdaniem mediów – wpis z 4 marca. „Zełenski powinien oddać władzę i przenieść się do neutralnego kraju, gdzie będzie mógł liczyć na amnestię” – za-tweetował, myśląc amnestią z azylem.

• Musk i Trump to fatalny zbieg okoliczności. Są jak tlen i wodór – groźniejsi razem niż osobno. Jakież analogie? William Randolph Hearst (1863-1951), magnat prasowy (28 gazet, 20 mln czytelników), który wyniósł na prezydenta Franklina D. Roosevelta, ale po dwóch latach odwrócił się od niego.

Fiona Hill, była dyrektor ds. rosyjskich za pierwszej kadencji Trumpa, porównuje sytuację w USA do rozkwitu oligarchów w Rosji po upadku ZSRR. – To wrogie przejęcie Stanów przez oligarchów. Potężniejszych, bo cyfrowych.

Od reelekcji Trumpa świat skręca na prawo, a demokracja słabnie. To proces, którego Elon Musk – człowiek demolka – jest katalizatorem, a chce być beneficjentem.

Makiaweliczny plan Muska, by użyć prezydenta do realizacji własnych celów, naznaczony pokręconą psychiką jednego, podłany narcyzmem ich obu i doprawiony bezdusznym cynizmem Vance’a, nie ogranicza się do demolowania USA. Musk gra o wyższą stawkę. Zachęcony sukcesem w Stanach bierze się do Europy. Chce wyrzucić tę kolebkę demokracji, która śmie mu grozić karą za szerzenie dezinformacji. 13 marca udostępnił wpis, że „Stalin, Mao i Hitler nie zabili milionów ludzi. Zrobili to pracownicy ich sektora publicznego”. Nazajutrz zamieścił unijną flagę z dorysowanym sierpem i młotem.

Regularnie wybiela faszystów. Codziennie szkaluje Brukselę, Berlin, ale i Londyn. Bardziej bezczelnie, niż Kreml. Ten ostatni uderza od dołu – zatrudnia farmy botów, które z pozycji Kowalskiego podkopują zaufanie do państwa, prawa, rządu i UE. Musk uderza od góry – ośmiesza i obraża niewygodnych polityków, zarzucając im np. udział w aferze pedofilskiej (ostatnio brytyjskiego premiera Keira Starmera). I bije w jedną instytucję mogącą mu zaszkodzić – Unię. Putin nie mógł zyskać lepszego sojusznika, Europa – gorszego wroga.

Gdy w 2017 r. „The Washington Post” zaczął zamieszczać hasło „Demokracja umiera w ciemności”, wielu miało ubaw. Magazyn „Slate” porównał je z tytułami 15 heavymetalowych płyt i uznał, że brzmi najgroźniej. Jego autor Bob Woodward, który opisał aferę Watergate, sądził, że do najgroźniejszych zamachów na demokrację dochodzi bez świadków i pod osłoną nocy. To już nieaktualne. Gdy Zełenski opuszczał Białe Dobre pełen dziennikarzy i kamer, była 13.42. Wciąż świeciło słońce. Ten zamach na demokrację nie był skrytobójczy.

Do 28 lutego świat dzielił się na dobrych i złych. Teraz na silnych i słabych. Ameryka uznała, że woli być silna niż dobra.

• 2,5 roku temu świat podziwiał Muska, gdy jego SpaceX urządziła kosmiczny balet synchroniczny godny filmu s.f.: miękkie lądowanie dwóch boosterów raketowych Falcon Heavy. Dziś ten sam człowiek wywraca świat, fundując Stanom i Europie twardy reset. W lutym Oprah Winfrey nie wytrzymuje i pisze: „Nie chcę oddychać tym samym powietrzem co Elon Musk”. Z najbardziej podziwianej osoby na świecie Musk zmienia się w najbardziej zniechęconą.

Małe szanse, by 20 maja, po upływie przepisowych 130 dni, przez które może być SGE, Musk porzucił politykę. Ani by wzo-rem Sulli w 58. wiośnie życia oddał władzę, osiadł na wsi i zaczął spisywać wspomnienia. Ma za dużo zabawek – platformę X, satelity Starlink, roboty Optimus, rakiety SpaceX i chatbota Grok, którymi może zmieniać bieg wydarzeń.

Timothy Snyder uważa, że dziś Musk jest dużo groźniejszy niż Trump. W „Die Welt” historyk opisał cele miliardera: „Zniszczyć niewygodnych polityków, niepokorne państwa, a przede wszystkim Unię, bo tylko ona ma szansę ograniczyć wpływy oligarchów”. Oby nie zdążył i nie wymienił Trumpa na Vance’a, by dokończyć dzieła. Ani nie skorzystał z rad Yarvina.

Nie chcę świata według Muska. Wolę taki, jaki był. ●

PANNA MARIA *ocaliła* WAŁĘSĘ

W kraju szaleli Przemysław Czarnek z jego podręcznikiem do HiT-u oraz forsujący prawicową ofensywę kulturową Piotr Gliński. Ale nie sięgali wszędzie.

Aleksander Gurgul

Donald Trump i jego urzędnicy prowadzą kulturowo-historyczno-geograficzną ofensywę. Zmienił nazwę Zatoki Meksykańskiej na Amerykańską. Przemianowali na powrót górę Denali, ważną dla rdzennych mieszkańców Alaski, na McKinley. Mimo, że prezydent William McKinley w zasadzie nie miał nic wspólnego z tym stanem.

Prezydent chce też odzyskać kontrolę na Kanałem Panamskim, a jeśli chodzi o Grenlandię, to mówi, że i tak „ją dostanie”.

Kiedy czytam o tych decyzjach lidera światowego supermocarstwa, przypominam sobie, jak na naszym, rodzimym podwórku prawicowi autokraci kijem zawracali rękę historii. A minister edukacji Przemysław Czarnek lansował podręcznik do historii i teraźniejszości (HiT-u), gdzie najważniejszymi opozycjonistami w czasach komunistycznych byli: Jan Olszewski, Antoni Macierewicz oraz bracia Lech i Jarosław Kaczyńscy.

I wracam wtedy myślami do wioski Panna Maria w Teksasie, którą odwiedziliśmy z kolegą fotoreporterem Jakubem Włodkiem jesienią 2022 r.

Witajcie w Pannie Marii

Przed cmentarzem w Pannie Marii, przy bramie łopotały flagi: polska i amerykańska. Było upalnie, z zarośli dobiegało brzęczenie owadów, ale też charakterystyczny odgłos grzechotki. Danny, ogrodnik, który właśnie kosił spieczoną słońcem trawę między nagrobkami, powiedział, żeby uważać, bo tego dnia kosiarką spalinową najechał już na kilka grzechotników, które wylegiwały się pod ogrodzeniem i na rozgrzanych kamieniach.

Na nagrobki z nazwiskami Moczygemba, Dupnik, Kolodziej, Pawelek, Urbanczyk, Pollok, Janysek, Kruć, Opiela czy Zaiontz z drzew sypały się żółędzie. Nagrobek Josefa Morawieckiego przystrojony był tabliczką za zasługi w armii Konfederacji.

Teksas w lutym 1861 r. wystąpił z Unii, by kilka tygodni później przystąpić do wojny secesyjnej po stronie Południa. Dla świeżo przybyłych imigrantów z ziem polskich, decyzja o tym, czy wstąpić do armii była jak test lojalności wobec nowej ojczyzny.

W Centrum Dziedzictwa Polskiego przeczytałem później, że część Polaków, którzy zostali w 1863 r. pojmami pod Arkanzas Post przez wojska Północy, zamieniła szare mundury na niebieskie.

Czarnek i Gliński a sprawa teksańska

Wspomniane Centrum Dziedzictwa Polskiego, zostało otwarte w 2021 r.. To istny kolos, wybudowany praktycznie w szczerym polu. Gmach ma powierzchnię ponad 1,5 tys. m kw. Inwestycja kosztowała ok. 14 mln dol.

Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych w 2020 r. dołożyło do niej ok. 82 tys. dol. z grantu, który rozdziela na różne działania wśród organizacji polonijnych.

Za te pieniądze kupiono i zamontowano żyrandol w sali wystaw tymczasowych oraz kilkadziesiąt foteli do sali projekcyjno-widowskiej a także zaaranżowano miejsca dla osób z niepełnosprawnościami.

„Ręcznie wykonany został medalion z lustrzyko z potrójną pieczęcią w posadzce w środku holu (lobby), w którym zainstalowano recepcję. Średnica mozaiki z logo wynosi 2,74 m i zawiera logo polskiego orła, pieczęć amerykańską i pieczęć stanu Teksas” – napisało mi tamtej jesieni MSZ. „Konstruowanie i instalacja wystawy w tym Centrum nie były przedmiotem dofinansowania dotacją celową przez MSZ” – dodał resort.

Mimo zapewnień MSZ, to właśnie tej wystawy byłem ciekawy. Wszak polską kulturą ręcznie sterował wtedy Piotr Gliński, a to, co zrobił w gdańskim Muzeum II Wojny Światowej, dobrze pokazuje, jaki był stosunek PiS-u do historii i pracy historyków.

Okazało się, że do Teksasu Czarnek i Gliński nie sięgali. Bo bohaterem ekspozycji o odrodzeniu się w Polsce demokracji, był Lech Wałęsa, a nie polityczni kowadły i zarazem mocodawcy obu polityków.

Nasza дума i ich patriotyzm

Tekszańscy Polacy, czy raczej ich potomkowie na wystawie umieścili dwie notatki o Wałęsie. W pierwszej przeczytałem, że jest on „najbardziej prominentnym antykomunistą w czasach strajków w Stoczni Gdańskiej w 1980 r.”

Wałęsa jest tam opisany jako lider ludzi pracujących i współzałożyciel Solidarności. Twórcy przypominają, że był internowany w czasie stanu wojennego, a w 1983 r. otrzy-



▲ Główny holl i recepcję w Centrum Dziedzictwa Polskiego w Pannie Marii, zdobi okazały mural ze swojsko-polskimi elementami. Jest na nim wszystko, co może się kojarzyć z krajem przodków

▲ Centrum zostało otwarte w 2021 r. To ogromny gmach (1,5 tys. m kw), który kosztował tutejszą społeczność ok. 14 mln dol. Polski MSZ dorzucił cegiełkę - 82 tys. dol. na wyposażenie

▼ Panna Maria w Teksasie, to najstarsza polska osada w USA. Założyli ją w 1854 roku emigranci z Górnego Śląska (wtedy zabór pruski), których sprowadził tu ksiądz Leopold Moczygemba

► Fragment wystawy w Centrum Dziedzictwa poświęcony odrodzeniu się w Polsce demokracji. Jej bohaterem jest Lech Wałęsa, a powtarzającym się motywem okładka tygodnika Time z jego wizerunkiem.





FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCIA WYBORCZA.PL (4)

Z Górnego Śląska za chlebem do Teksasu

Założyciel Panny Marii franciszkanin Leopold Moczygemba pochodził z Płużnicy Wielkiej na Górnym Śląsku. Miał 30 lat, kiedy w 1851 roku przełożeni zakonu wysłali go do Teksasu. Spodobało mu się tutaj i postanowił ściągnąć ziomków z Płużnicy i okolic. Bo bieda w zaborze pruskim była straszna, a tu patrzył jak osadnicy niemieccy i angielscy, nieźle sobie radzą. Zaczął pisać listy, żeby przyjeżdżali za ocean, bo tu bogactwo wszędzie. I tak kilkuset rodaków, w tym jego czterech braci, sprzedało wszystko i popłynęło do Ameryki. Po trzech miesiącach znaleźli się w Zatoce Meksykańskiej.

Niestety w porcie ksiądz na nich nie czekał, więc sami powędrowali do Teksasu, ładując dobytek na wynajęte wozy. Droga była mordercza wielu zmarło, inni zrezygnowali lub zostali wśród niemieckich osad-

ników. Bo choć uciekali od Niemców w zaborze pruskim, to przynajmniej mogli się tu z nimi dogadać po niemiecku.

Grupa, która przeżyła i dotarła do San Antonio w Teksasie odnalazła księdza Moczygembę. On zabrał ich do miejsca, gdzie za kościelne pieniądze kupił ziemię. Tylko, że nic tu nie było. Płasko i prawie pustynia.

Podobno ksiądz nie spodziewał się, że jego listy wywołają na Śląsku teksańską gorączkę, rodacy tak szybko przyjadą i nie zdążył niczego przygotować. Ale Ślązacy się nie poddali. Wykopali ziemianki, postawili szałas i namioty. W wigilię Bożego Narodzenia 1854 r. ksiądz odprawił pod wielkim dębem pierwszą mszę.

Nie było łatwo tu żyć, ale postawili kościół, szkołę i drewniane domy. Uczyli się uprawiać bawełnę i kukurydzę. Wydawało się, że znaleźli

nowy dom. Ale po dwóch latach straszliwe susze zniszczyły plony. Osadę wciąż najeżdżali Indianie i uzbrojone bandy. Część mieszkańców ją opuściła. Reszta głodowała i przeklinała los czyli księdza, który ich tu sprowadził. Podobno w gniewie postanowili powiesić go na dębie, pod którym odprawił pierwszą mszę, ale pomogli mu bracia i ksiądz uciekł w nocy z osady.

Losy osady toczyły się z różnym szczęściem. Dzisiaj to kościół, sklep i dąb, na którym prawie zawisł „ojciec założyciel” oraz Centrum Dziedzictwa Polskiego. Mieszkańców jest ok. 100 i żyją głównie na farmach w okolicy. Niczym nie różnią się od innych teksańczyków z wyjątkiem języka - między sobą nadal mówią śląską gwara z połowy XIX w. ●

ZAG
Na podst. tekstów z dodatku „Ale Historia”.



mał Pokojową Nagrodę Nobla. W 1989 r. uczestniczył w rozmowach przy Okrągłym Stole, przy którym zasiadli także rządzący wówczas jeszcze komuniści. I był to moment, w którym zaczęła się polska transformacja do demokracji.

W drugiej adnotacji jest zdjęcie Wałęsy już jako „pierwszego od 45 lat” demokratycznie wybranego prezydenta RP. Zostało zrobione 22 grudnia 1990 r. na Zamku Królewskim w Warszawie, kiedy Ryszard Kaczorowski [ostatni prezydent RP na uchodźstwie] przekazał mu insygnia władzy prezydenckiej. No i jest tam jeszcze słynna okładka magazynu „Time” z Wałęsą.

Twórcy wystawy opowiadającej historię naszego kraju po rozpadzie ZSRR, na tabliczce z adnotacją „Poland Today” dodali informację, że „po przyjęciu Polski do NATO w 1999 r. i do Unii Europejskiej w 2004 r. Polska dołączyła do rodziny wolnych, demokratycznych państw”.

Jak jeszcze nasz kraj widzą historycy, którzy pracowali nad wystawą w teksańskim Centrum?

„Ten kod kulturowy umożliwił wolnym nagle ludziom energiczne rozpoczęcie procesu przezwycięzania lat niesprawiedliwości obywatelskiej i społecznej. (...) Początkowo odbudowa była powolna, ale dzięki zapalowi obywateli Polska zaczęła konkurować ze światowymi gigantami handlowymi.

Jeden kraj, Stany Zjednoczone, odegrał kluczową rolę w jej odbudowie i pozostaje narodem, w którym Polska cieszy się stale kwitującymi relacjami.

Te szczególne więzi z USA, które rozpoczęły się od Kościuszki i Pułaskiego, są kontynuowane przez miliony Amerykanów polskiego pochodzenia, którzy z łatwością łączą tradycyjną polską dumę z amerykańskim patriotyzmem” – napisali na tej samej tabliczce.

I dodali: „Polska dołączyła do grona najszybciej rozwijających się gospodarek świata, jednocześnie inwestując w opiekę zdrowotną, edukację, roboty publiczne, nauki humanistyczne i solidarność z mniej szczęśliwymi.

Inteligentni, pracowici, pełni wiary, odważni i przedsiębiorczy ludzie są zdecydowani, aby chronić polskie tradycje, wolność, dobrobyt i bezpieczeństwo, zapewniając jednocześnie świetlaną przyszłość”.

Tekskańska ropa napędza polskie dziedzictwo

Skąd polscy Tekszańczycy mieli tak dużo pieniędzy, że na tym pustkowiu mogli sobie pozwolić na budowę tego gmazyska?

Jennalee, uprzejma recepcjonistka Centrum wyjaśniła, że wielu rodzinom w tym rejonie, także tym z polskimi korzeniami, które podarowały pieniądze na

budowę Centrum, zyski przynosi przemysł naftowy. Ropę w rejonie Panna Maria udaje się wydobywać przede wszystkim z łupków, dzięki metodzie szczelinowania (ang. fracking). – Mamy tu wiele zamożnych rodzin – skwitowała.

Ale boom na ropę w rejonie osady to historia najnowsza, zaczęło się jakąś dekadę temu. Jak mówili nam Joyce i Carolyn, wolontariuszki-emerytki ze Stowarzyszenia Historycznego w Panna Maria, wszystkie najważniejsze firmy wydobywcze takie jak Chevron wydzierzały od farmerów ziemię i pompowały w jej ropę.

– Kiedyś byliśmy „land rich, cash poor” – mówiły, co znaczy, że potomkowie polskich imigrantów mieli dużo ziemi, ale nie czerpali z niej wielu profitów.

To wszystko zmieniła ropa naftowa.

Wolność słowa na zawsze?

Stowarzyszenie Historyczne jako organizacja non-profit funkcjonuje od 1966 roku. Mieści się na przeciwko Centrum Dziedzictwa Polskiego i kościoła.

Czy to nie dziwne, że w tak niewielkiej społeczności (mieszka tu obecnie kilkadziesiąt osób) działają dwie organizacje non-profit, z których jedna dodatkowo dysponuje olbrzymim gmachem?

Wolontariuszki nie powiedziały tego wprost, ale dało się wyczuć, że Centrum stało się dla ich organizacji (starszej!) do pewnego stopnia konkurencją.

Kotara zapewniał nas także, że zarząd i specjalnie powołana komisja dołożyła wszelkich starań, aby wystawa w Centrum (ta, na której bohaterem jest Wałęsa) zawierała poprawne informacje.

Bez kurateli ówczesnej władzy i podległych jej resortów, sączących propagandę do głów obywateli i obywateli, się dało. Dlatego, wyjeżdżając z Panny Marii w kierunku San Antonio, myślałem, jak ważną rolę odgrywa wolność słowa. I jak jedną decyzją można zmienić narrację. W muzeum, ale nie tylko.

Stanami Zjednoczonymi od ponad roku rządził wówczas Joe Biden. Wielu Demokratów zapewne miało nadzieję, że po jego inauguracji 20 stycznia 2021 r. praworządność i wolność słowa zostały w USA przywrócone raz na zawsze.

Wielu demokratów w Polsce dziś pewnie myśli podobnie. ●

UE kontra reszta świata

NASZ LOS NIE MOŻE ZALEŻEĆ
OD WYBORCÓW Z WISCONSIN

– Bo oni są daleko i mają nas gdzieś. Albo z tego kryzysu wyłoni się silna Europa, albo zdechniemy pod butem autokratów. Może tak być, że skończymy jako szmata do podłogi dla imperiów.

Marta K. Kielczewska Paryż

Jak ocenia pan poczynania prezydenta Trumpa zmierzające do zakończenia wojny w Ukrainie?

RAPHAËL GLUCKSMANN, SOCIALDEMOKRATYCZNY EURODEPUTOWANY, PRZEWODNICZĄCY KOMISJI DS. OBCYCH WPŁYWÓW W PARLAMENCIE EUROPEJSKIM: Zamiar Putina zniszczenia Ukrainy pozostaje niezmienny.

Każdy osiągnięty rozejm to dobra nowina, bo oznacza mniej zabitych Ukraińców. Ale rozejm to nie pokój. A administracja amerykańska już przed rozpoczęciem negocjacji poświęciła integralność terytorialną Ukrainy, jej wejście do NATO, do pewnego stopnia przystała na warunki Kremla zmiany rządów w Ukrainie, wielokrotnie atakując prezydenta Zełenskigo, którego Trump nazwał „dyktatorem”.

Wygląda na to, że Waszyngton jest gotów ustąpić wobec silnego agresora i wywierać stałą presję na napadniętego. Czego nie mogą zaakceptować Europejczycy. Musimy wymóc gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy. Niestety, daleko nam do tego.

Europa pracuje nad tym.

– Pomysł francusko-brytyjski jest bardzo dobry: nasza obecność w Ukrainie jest konieczna, patrolowanie przez nasze samoloty nieba nad Ukrainą – niezbędne. To jedyny sposób, by ewentualny rozejm był nie tylko przerwą w rosyjskiej zaborczej wojnie, która skierowana jest nie tylko przeciwko Ukrainie, ale i nam wszystkim.

Jeśli przystaniemy na pokój na warunkach rysowanych przez Trumpa, tylko przyspieszymy moment, w którym jakiś kraj Unii Europejskiej stanie w ogniu wojny. Służby wywiadowcze nie tylko Estonii czy Polski, ale także Danii i Niemiec są bowiem zgodne: jeśli Putin otrzyma na drodze politycznej i dyplomatycznej to, czego nie udało mu się zdobyć w terenie militarnie, w końcu skieruje siły przeciw państwu należącemu do Unii i NATO. I to nie w odległej przyszłości, a za dwa-trzy lata. Strategia Trumpa drastycznie zagraża naszemu bezpieczeństwu.

Co możemy zrobić?

– Natychmiast, już teraz, trzeba dać Ukrainie wsparcie, jakiego potrzebuje. Postawić się Putinowi. I błyskawicznie zbudować własną obronę, siły odstraszania.

To oznacza rewolucję: od 80 lat bezpieczeństwo Europy zależy od Stanów Zjednoczonych, na które scedowaliśmy naszą militarną suwerenność. A dziś zostaliśmy sami i potrzebujemy nowej doktryny obronnej.

Dlatego Parlament Europejski dzień i noc pracuje obecnie nad stworzeniem nowych instrumentów, które pozwolą krajom europejskim stać się niezależnymi.

Wiele krajów w Europie nie jest gotowych pożegnać się z parasolem amerykańskim.



• Emmanuel Macron i Wołodymyr Zełenski w Paryżu 27 marca 2025 r.
REUTERS/SARAH MEYSSONNIER

– Przecież to Amerykanie zwijają parasol i mówią „au revoir” Polakom, Niemcom czy Włochom, a nie odwrotnie!

Dlatego przyszły kanclerz Niemiec – kraju, w którym nowoczesna demokracja jest od początku związana ze Stanami Zjednoczonymi – stwierdził: „Nigdy nie myślałem, że to powiem, ale będziemy musieli obejść się bez Ameryki”.

I Friedrich Merz rozważa rozciągnięcie francusko-brytyjskiego parasola nuklearnego na swój kraj – co stanowi historyczny przełom. We Francji jeszcze nie do końca jesteśmy tego świadomi. To prawdziwy przewrót mentalny, geopolityczne przeobrażenie dla całej Europy.

Podobny proces musi dokonać się na całym kontynencie. Nasze bezpieczeństwo nie może zależeć od wyborców z Wisconsin, Michigan czy Florydy – są daleko i mają nas w nosie.

We Francji też trzeba zmienić sposób myślenia?

– Dlaczego Polak czy Estończyk miałby bardziej ufać Paryżowi i Berlinowi niż Waszyngtonowi? Historia ostatnich 20 lat jest tu znacząca. Jasne, że trudno jest nam ufać, kiedy prezydent Francji jedzie do Moskwy bez uzgodnienia tego z sojusznikami albo kiedy Rada 2+2 ministrów obrony spotyka się w Petersburgu podczas inwazji na Krym.

Gdy Nicolas Sarkozy zdecydował się na sprzedaż Putinowi okrętów klasy Mistral, minister obrony Litwy, jednego z krajów bałtyckich będącego od 2017 r. w stanie wojny hybrydowej z Kremlm, spotkała się ze swoim francuskim odpowiednikiem Hervé Morinem w Paryżu. Na pytanie: „Zdajecie sobie sprawę, że sprzedajecie narzędzie inwazji Rosji, która najechała na Gruzję? Które może być użyte przeciwko Ukrainie, a nawet kiedyś przeciwko nam na Litwie?”, padła odpowiedź: „Cierpieć na bóle fantomowe, mamy specjalistów, którzy mogą was z tego wyleczyć”. To uzmysławia poziom lekceważenia Paryża i Berlina dla obaw Tallina czy Rygi.

To się później nie zmieniło?

– Trzeba by to jeszcze udowodnić. A tymczasem wystarczy spojrzeć na liczby. Czy

wielkość pomocy Włoch czy Francji dla Ukrainy świadczy o zmianie postrzegania zagrożenia egzystencjalnego? W słowach, owszem. Emmanuel Macron nie szczędzi właściwych słów, ale Francja (po Włoszech) to kraj, który pomógł Kijowowi najmniej, w porównaniu np. z pomocą udzieloną przez Polaków.

Przed Europą Zachodnią jeszcze dużo pracy, by przekonać kraje Europy Środkowej, że poważnie podchodzi do kwestii bezpieczeństwa. Musimy udowodnić, że nie powtórzymy historii z lat 1938-39. Że nie wypniemy się na naszych sojuszników ze wschodniej części kontynentu.

Tu nie chodzi o wielką Francję z bronią nuklearną i silnym przemysłem zbrojeniowym, ale o Europę jako całość. O to, by polskie bezpieczeństwo narodowe stało się francuskim. A do tego trzeba rewolucji mentalnej.

Czy zdążymy w dwa lata przygotować się na odparcie ataku Rosji?

– Po niesławnym starciu w Gabinetecie Owalnym dyskusje w Parlamencie Europejskim radykalnie się zmieniły. Europejczycy zaczęli postrzegać zupełnie inaczej relacje ze Stanami Zjednoczonymi, z Rosją i te wewnątrz europejskie.

W PE odpowiadam za przyznawanie funduszy europejskich na obronę. Wcześniej były wydawane dowolnie, teraz trzeba za nie kupować sprzęt europejski. Własnymi pieniędzmi państwa nadal mogą dysponować, jak chcą. Jeśli Polska decyduje się kupować broń w Korei, ma do tego prawo.

Ale Unia nie będzie inwestować pieniędzy w zakup sprzętu, którego nie będzie mogła użyć bez zgody Waszyngtonu. Po co nam myśliwce F-35, skoro jest ryzyko, że nie będziemy mogli ich użyć w wojnie z Rosją?

I nie chodzi tylko o kłótnię z prezydentem Zełenskim w Gabinetecie Owalnym. Doszło do tego, że Stany Zjednoczone zagłosowały z Rosją, Białorusią i Koreą Północną w ONZ przeciwko tekstowi europejsko-ukraińskiemu! Czy możemy im ufać, że pozwolą nam się bronić w sytuacji zawarcia porozumienia rosyjsko-amerykańskiego?

Czemu Europa tak długo zwlekała z przygotowaniem się na tę zmianę? Wojna trwa już trzy lata, a powrót Trumpa do władzy można było przewidzieć.

– Od 20 lat bezskutecznie próbuję namawiać Europejczyków do przygotowania się na konflikt z Putinem.

Całą moją kampanię do europarlamentu zbudowałem na ostrzeżeniu: uwaga, 5 listopada wygra Trump, a Trump 2.0 to nie będzie powtórka z Trumpa z pierwszej kadencji.

Ale mechanizm wyparcia działa bez zarzutu – bowiem zmiany, których musimy dokonać, są tak oszalamiające, że europejskie elity chowały głowę w piasek. Dopuszczyły do inwazji Gruzji w 2008 r., nie reagując, a nawet obwiniając za nią Gruzinów. Nie zareagowały na aneksję Krymu, choć wtedy pierwszy raz od 1945 r. złamano jedyne tabu, które utrzymuje pokój w Europie: zakaz aneksji terytorium przez sąsiada. Czyli przyczyna wszystkich wojen w Europie została niejako zatwierdzona poprzez podjęcie absurdałnie dziurawych sankcji, kontynuowanie handlu z Putinem, płaszczenie się przed nim.

Myślę jednak, że scena w Białym Domu naruszyła ten mechanizm wyparcia. Bo tak naprawdę wszyscy zostali spoliczkowani. Nie tylko Zełenski.

Czemu wcześniej nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy? Oto jest pytanie. Stawiał je już mój ulubiony pisarz Romain Gary. Zastanawiał się, dlaczego elity francuskie nie wyemigrowały do Londynu z generałem de Gaulle'em w 1940 r. I doszedł do wniosku, że to nie dlatego, że były zasadniczo antysemickie czy profaszystowskie. Odpowiedź była przynębiająco banalna: zbyt lubili swoje meble.

I ten właśnie duch komfortu dominował w polityce europejskiej przez ostatnie 20 lat. Kiedy rosyjscy opozycjoniści, jak Anatolij Trocki, ostrzegali w Brukseli: uważajcie, ten reżim będzie oparty na wojnie przeciwko wam, Europejczycy przywódcy go nie słuchali. Kiedy Micheil Saakaszwili ostrzegał, że w inwazji na Gruzję celem jesteśmy my, miano go za szaleńca.

Kiedy Bałtowie czy Polacy ostrzegali, że najazd na Ukrainę czy bomby na Syrię to jest problem naszego własnego bezpieczeństwa, kładliśmy to na karb dziedzictwa komunizmu, wyjaśnialiśmy ich rzekome obsesje, odwołując się do psychoanalizy.

Nawet po 22 lutym natomiast dyskutowaliśmy, czy dostarczyć Ukraińcom czołgi i przez sześć miesięcy debatowaliśmy nad raketami. Rok zajęło nam dostarczenie im samolotów.

Po inwazji na Ukrainę była mowa o gospodarce wojennej we Francji. Nie poszły za tym czyny.

– Nie. Bo przyzwyczailiśmy się do życia w świecie, w którym słowa nic nie znaczą. Nasi przywódcy są komikami, którzy robią swoje przedstawienie, swój show, nagrywają filmiki wideo i nic nie robią. Tymczasem świat wokół jest tragedią, nie komedią.

Mogli sobie pozwolić na bycie komikami, póki nasze bezpieczeństwo było gwarantowane przez Amerykanów, więc wszelkie dyskusje nie miały tak naprawdę zasadniczego znaczenia. Naprzeciw balistycznych pocisków średniego zasięgu SS20 stały amerykańskie Pershingi. Odpowiedzialność za decyzję leżała po stronie Waszyngtonu.

Teraz, kiedy Amerykanie odchodzą, musimy na nowo zadać sobie pytania, któ-

re od 80 lat zadajemy sobie w Europie Środkowej, ale nie w Zachodniej – na temat wojny, życia i śmierci.

Jak tłumaczyć ostentacyjną dla wielu Europejczyków putinizację administracji Trumpa?

– W pierwszej kadencji Trump był sfrustrowany, gdyż jego ówczesne otoczenie składało się z ludzi racjonalnych, co zapewniło ciągłość struktur państwa. Nowa administracja składa się już z samych ideologów i fanatyków, nie z polityków.

A sam Trump zawsze był pod urokiem Putina, ich relacja sięga zresztą 1987 r., kiedy jego hotel Taj Mahal bankrutuje, a z tarapatów wybawiają go szemrani biznesmeni z Azerbejdżanu powiązani z KGB.

Trumpa fascynują siła i pieniądze, a Putin przeciwstawia na brutalną siłę i łatwy pieniądz. To znacznie atrakcyjniejsze dla Trumpa niż Ursula von der Leyen stojąca na straży unijnych norm.

Skąd ta jego wrogość wobec Zelenińskiego?

– Jako „trouble maker” Zelenski przeszkadza wielkim podzielić świat między sobą. Mówi im: „Jesteśmy narodem. Może mniejszym od waszego, ale także silnym. Mamy swoją tożsamość”.

Trump nie wymaga od Putina niczego, a od Zelenińskiego wszystkiego. Dlaczego? Bo ludzie w nowej administracji USA to pseudosilacze. Prężą mięśnie, a naprzeciw Putina są jak mały piesek.

Co stoi na przeszkodzie, by Europa – prawie pół miliarda ludzi żyjących w najzamożniejszych krajach świata – stała się prawdziwie silna?

– Brak woli politycznej, które ma podłoże moralne i mentalne. Tymczasem wystarczy zainwestować w naszą własną obronę, stworzyć wspólne instrumenty, zreformować sposób podejmowania decyzji.

Musimy przyjąć u siebie amerykańskich badaczy, którzy chcą wyjechać ze swojego kraju. Stwórzmy europejskie centrum przyjmujące naukowców, a staniemy się numerem jeden w dziedzinie sztucznej inteligencji, przodującym we wszystkich badaniach. Jesteśmy kontynentem ludzi wysoce wykształconych. Mamy gospodarki, które sprawnie działają. Nasze rynki są wiodące. Przestańmy powtarzać, że jesteśmy do niczego.

Tyle że w kwestii obronności perspektywa czasu jest długa. Trudno się uniezależnić od Amerykanów z dnia na dzień.

– To oczywiste, że mamy przed sobą długą i trudną drogę. Ale albo z tego kryzysu wyłoni się silna Europa, albo zdechniemy pod butem autokratów. Może tak być, że skończymy jako szmata do podłogi dla imperiów.

Wola zniszczenia Europy nie pochodzi już tylko z Moskwy. Trump stwierdził, że Unia powstała po to, by nabić Stany w butelkę.

– To stało się jasne od przemówienia wiceprezydenta J.D. Vance’a w Monachium.

Według tych Amerykanów na Zachodzie toczy się wojna domowa. Elon Musk zaraz po zwycięstwie Trumpa napisał, że jeśli pozwolimy wirusowi *woke* panoszyć się w Europie, dotrze do Stanów i je zniszczy. To dlatego chcą, by wszędzie zwyciężyła skrajna prawica. W planie jest rozmontowanie projektu europejskiego z udziałem krajów, które zechcą być orędownikiem ich interesów. A to spowodowałoby na nas do statusu wasali i sług, których los leży w obcych rękach.

Nie przeszkadza mi, jeśli ludzie jako jednostki zachowują się bez godności. Ale nie mamy prawa grać z bezpieczeństwem współobywateli. A złożenie bezpieczeństwa w ręce państwa, które udowodnia, że nic sobie z nas nie robi, to brak realizmu politycznego.

Nie chodzi o konfrontację ze Stanami. Chodzi o odpowiedź na agresję. Dlatego sprawa cel wymaga ostrej reakcji, bo inaczej będziemy obrywać po głowie przez następne cztery lata. I musimy zapewnić sobie

samodzielność w kwestii bezpieczeństwa, by nasza relacja ze Stanami stała się równorzędna, jak relacja dwojga dorosłych.

Prezydent Macron jest krytykowany za postawę prowojenną. Zarzuca mu się, że rozkręca spiralę wojenną, mówiąc o wysłaniu wojsk do Ukrainy.

– Tylko Putin dąży do wojny. Nikt inny. To on rozpętuje wszystkie wojny w Europie.

Russkij mir nie zakłada dla siebie granic. Sami Rosjanie mówią: Rosja nie zaczyna się w Cieśninie Beringa i nie kończy na granicy z Finlandią. Mówi to wprost Putin. Mówi to wiceprzewodniczący Dumy Piotr Tołstoj, gdy przyznaje, że ideologią jego państwa jest wojna. I nie chodzi o Donbas czy o Osetię Południową, ale o wojnę przeciwko nam, Europie.

A do tego dopuszczają ci wszyscy pseudopacyfiści, którzy opowiadają się za uległością wobec Putina, tyrana, który dąży do poszerzenia władzy. Albo nie rozumieją tego zagrożenia ze strony tak wrogięgo naszym wartościom i interesom życiowym mocarstwa, albo rozumieją – i wybierają uległość. Nie wiem, co gorsze.

Macron mówi jedynie, że jeśli zawieszenie broni ma nie być etapem większej wojny, który pozwoli Rosji набrać sił i wzmocnić ofensywę przeciwko Ukrainie, europejska obecność w Ukrainie będzie konieczna. Nie żeby walczyć z Rosjanami, lecz by ich odstraszyć, jeśli chcieliby ponownie zaatakować. Odstraszanie to najlepsza strategia.

Wobec tyranii jedynym sposobem zagwarantowania pokoju jest bycie silnym. Rachuba, że ugodowość, ustepliwość wobec żądań tyrana spowoduje, że on też będzie miły dla nas i odstąpi od wojny, to po pierwsze nieznajomość historii Europy. Już to zrobiliśmy i nie zadziało. A po drugie to kompletna nieznajomość natury reżimu Putina.

To kwestia jego osoby czy całego reżimu?

– Nie chodzi o samego Putina, tylko o imperializm, o system, który dominuje nad społeczeństwem. Nie oszukujmy się: reżim w Rosji ma się dobrze. A każda słabość Zachodu, jak ta manifestowana przez Trumpa, tylko go wzmacnia.

Nieudany blitzkrieg na Kijów w społeczeństwie rosyjskim zasiał wątpliwości: mieliśmy zdobyć Kijów w trzy dni, a na froncie katastrofa.

Putin postawił wówczas na wojnę na wyniszczenie, zakładając, że słabym punktem będzie nie ukraiński front, a zachodnie zaplecze. I poniekąd miał rację. Może teraz powiedzieć: nie udało nam się zająć Kijowa, ale zdobyliśmy Waszyngton!

Pewna słabość jest nieodłączną częścią naszych deliberatywnych demokracji, naszych społeczeństw. To ona daje Putinowi polityczne zwycięstwo i wzmacnia go. Ten reżim szybko nie upadnie. Długo będzie zagrażał Europejczykom.

Ursula van der Leyen stwierdziła niedawno, że musimy się przygotować na najgorsze. Czyli na co? Rosyjskie czołgi na ulicach Paryża?

– Najgorszy scenariusz to wojna na terenie tylko jednego z krajów UE i NATO.

Czyli raczej wojna we wschodniej części Europy. Ale czy Francuzi są gotowi umierać za Rygę czy Warszawę?

– Jeśli nie, to sprawa jasna: Unia przestaje istnieć. Koniec. Projekt europejski upada.

Są tacy, także we Francji, którzy tego pragną.

– Zawsze tacy byli. To ci sami, którzy chcą położyć kres demokracji liberalnej. Np. czemu nie w Polsce, bo przecież można by ją podzielić między kilka krajów? Już kiedyś to zrobiono. Więc jeśli chcemy pokoju na kontynencie, musimy jasno dać znać, że Warszawa nie jest daleko. Że Warszawa to my. Wszyscy jesteśmy Polakami, wszyscy jesteśmy Europejczykami. A naszej wspólnej przestrzeni trzeba bronić wspólnie. Tylko tak narodzi się Europa. Wspólne zagro-

żenie wiszące nad nami wszystkimi może zrodzić europejską świadomość.

Od 24 lutego 2022 powtarzam, że wojna w Ukrainie będzie albo kolebką Europy, jej prawdziwej potęgi, albo jej trumną. Nie ma nic pomiędzy. Nie będzie „business as usual”, jakby nigdy nic. Nie będzie tak, że Orban rozmawia z Meloni, ta z Macronem, ten z Scholzem, a na koniec coś się daje ustalić. Albo tworzymy Europę, albo zostanie rozmontowana.

Badania opinii publicznej ukazują, że z wyjątkiem Włoch przeważająca większość Europejczyków, średnio 70 proc., opowiada się za stanowczą postawą wobec Rosji, za wysłaniem wojsk do Ukrainy w przypadku rozejmu, za parasolem francusko-brytyjskim nad resztą Europy i za stworzeniem solidnej obrony europejskiej. Poza wyborcami niemieckiej AfD wszędzie Putin jest postrzegany jako zagrożenie, a Ukraina jako nasza linia obrony.

Niedawną scenę w Gabinetie Owalnym można uznać za powtórkę z 24 lutego. Ponownie uzmysłowiliśmy sobie, że nasza pierwsza reakcja była prawidłowa. Trzy lata temu od Rygi po Lizbonę ludzie nie mieli wątpliwości – czuli się celem ataku.

To, co się dzieje, jest śmiertelnie poważne. Choć, jak zawsze, łatwo przechodzimy nad tym do porządku dziennego, zajmują nas inne problemy, inne tematy. Ukraina stała się newsem z siódmych stron gazet – ale teraz znowu powróciła na pierwsze i znów przeżywamy szok.

Trzeba, by politycy i media podtrzymały to poczucie. By uzmysłowiły hierarchię zagrożeń. Nie tylko powtarzając: „Jesteśmy z Ukrainą”, bo to w tym momencie ciekawi, a zaraz potem przerzucając uwagę na coś innego. Musi być jasne: mówienie o innych sprawach nie oznacza, że zagrożenie minęło i zrobiliśmy już, co do nas należało.

Czy udzielanie skutecznej pomocy Ukrainie bez wsparcia Ameryki jest możliwe?

– Stan naszych armii to bardzo utrudnia. Ale musimy spróbować. Obecna administracja amerykańska nie jest bowiem naszym sojusznikiem.

Pomoc Ukrainie pozwoli nam kupić sobie czas. Putinowi będzie trudniej iść do przodu, jeśli Europejczycy będą w jakiś sposób obecni w Ukrainie. Nie będzie mógł udawać, że to nie konfrontacja z Zachodem.

Przestać pomagać Ukraińcom to narzucić im przegraną. A skutkiem, jaki to przyniesie narodowi, który od trzech lat mężnie walczy, może być tylko totalna demoralizacja.

Są tacy co twierdzą, że Putin nie zdoła zaatakować innego kraju, skoro ma trudności z podbiciem Ukrainy. Ale najazd na Ukrainę jest o wiele trudniejszy niż atak na Łotwę! Ukraina to 300 tys. zaprawionych w bojach żołnierzy, olbrzymi kraj o silnym przemysle.

Kiedy Niemcy najechali na Francję, komu udało się przedrzeć przez naszą linię obrony? Czechosłowackim czołgom, które Hitler przejął, gdy Europa oddała mu Sudety i Pragę. Wzmocnił niemiecki przemysł dzięki naszemu tchórzostwu, co pozwoliło mu wygrać we Francji.

Sytuacja się powtarza.

– Bezpieczeństwo Europy zależy od tego, by Ukraina nie upadła.

Dla europejskiej obrony zasadnicze znaczenie ma odstraszanie nuklearne. Ale jeśli do władzy we Francji dojdzie w 2027 r. skrajna prawica która jest przeciwna dzieleniu się francuską bronią atomową, cały system upadnie.

– To dlatego naszym głównym problemem jest wewnętrzna słabość naszych demokracji. To dlatego odstraszanie musi być francusko-brytyjskie i skrajna prawica nie może dojść w obu krajach do władzy jednocześnie.

Od tej pory każde wybory, zwłaszcza we Francji – jedynej potęgde nuklearnej w UE – staną się referendum na temat dalszych losów demokracji i Europy.

Jest pan w tej kwestii optymistą?

– Myślę, że zwolenników demokracji i Europy jest więcej niż nam się wydaje.

Widać to było w ostatnich wyborach: Francuzi nie chcą, żeby ich kraj stał się proputinowski. Jestem przekonany, że jakaś mocna idea prodemokratyczna zabierze energię skrajnie prawicowemu Zjednoczeniu Narodowemu, które żeruje na poczuciu niemocy kraju zdeklasowanego, będącego w rozsypce.

Tymczasem nasi przywódcy od dawna nie zaoferowali Francji żadnego projektu – a jesteśmy krajem epickim. To znaczy trzeba nam opowieści o własnej wielkości.

Możemy opowiedzieć historię o kraju, który jest liderem, lokomotywą europejskiej potęgi. Ponieważ ma środki obrony, zawsze chciał Europy geopolitycznej, a nie tylko gospodarczej czy handlowej, i ponieważ w rzeczywistości Francja ma coś do powiedzenia światu.

Jak sądzę, nadszedł czas, aby sprowadzić z powrotem do domu Statuę Wolności, którą podarowaliśmy Amerykanom. Myślę, że opowieść o kraju, który przyjmuje uciekających amerykańskich naukowców, który bierze na siebie obronę wolnego świata i wolnej Europy jest historią, którą Francuzi chcą usłyszeć.

Musimy sobie jasno powiedzieć, że pomagamy Ukraińcom nie dlatego, że stawiają opór i są bohaterscy. Chodzi o nas samych: kim chcemy być? Czy chcemy mieszkać na kontynencie, na którym panuje pokój, czy nie?

Myślę, że nasze społeczeństwa są silniejsze i bardziej odporne niż nam się wydaje. Ale nasi przywódcy tak długo podkreślali naszą niemoc, a nie dumę z tego, kim jesteśmy, że naszymi umysłami i sercami zawładnęli demagodzy.

Tak jak skrajna prawica, musimy odwołać się do pasji. Na Majdanie młodzi ludzie umierali od kul snajperów z flagą Europy w dłoni. Nie z flagą rosyjską. Nie ma na naszych ulicach młodzieży skandującej: „Chcemy do Rosji!”. Młodzi w Tbilisi manifestują codziennie, bo chcą być z nami, być jak my, być częścią naszej przygody. To co stworzyliśmy w Europie, jest wielkie. Tyle że zarządzali i opowiadali o tym ministrowie finansów i gospodarki. Koniec z tym. Potrzebujemy ludzi z wizją.

Sam fakt, że Putin i Trump są wrogo nastawieni do Unii Europejskiej oznacza, że Europa ma wartość i znaczenie. Inaczej nie mieliby takiej obsesji na punkcie jej zniszczenia.

Tak, ale są przekonani o naszej politycznej słabości. Dlatego nas atakują. Widzą naszą siłę i wartość tego, co stworzyliśmy, ale sądzą, że nie stać nas na reakcję. Ponieważ – owszem, jesteśmy silni – ale jak Maria-Antonina.

Czy Europejczycy są gotowi umierać z europejską flagą w ręku?

– Nie prosimy ich, żeby umierali, a żeby budowali. Jedynymi, którzy umierają, są na razie Ukraińcy.

Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by nikt nie musiał umierać z flagą w ręku.

Musimy wzmocnić nasze demokracje. Na razie jeszcze nasz los jest w naszych rękach. Mamy wolną prasę. Żyjemy w wolnych krajach. Możemy wprowadzić potrzebne korekty.

Jeśli jesteś Rosjaninem kochającym wolność, nie masz ruchu, żadnej opcji. Młodym Polakom, Włochom czy Niemcom nic nie stoi na przeszkodzie, by się zaangażowali na rzecz tego, co mogą stracić. By nigdy nie znaleźć się w sytuacji, gdy będą musieli wybierać. Nikt nie wie, jak się zachowa, gdy mu przyjdzie wziąć broń do ręki. Deklarować jest łatwo, ale nie wiadomo, czy w chwili próby starczy każdemu z nas odwagi. Więc trzeba teraz uczynić wszystko, by nie stanąć przed tym dylematem. ● Wywiad przeprowadzono wraz z Martiną Meister z „Die Welt” i Anaïs Ginori z „La Repubblica” w ramach współpracy „Wyborczej” z wiodącymi europejskimi dziennikami (LENA).

MÓJ SASIAD DYWERSANT

Mieszkający w Polsce Białorusini i Ukraińcy to wielka i naturalna baza werbunkowa. Ale dla wielu Polaków Rosja też może być atrakcyjna.

ZE **ZBIGNIEWEM PARAFIANOWICZEM***,
DZIENNIKARZEM, KTÓRY ZAJMUJE SIĘ
OBRONNOŚCIĄ I TEMATYKA WSCHODNIĄ
ROZMAWIA **PIOTR GŁUCHOWSKI**

W październiku 2024 r. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego poinformowała, że „rozpracowano siatkę szpiegowsko-dywersyjną Federacji Rosyjskiej”. Wśród 16 schwytanych było 12 obywateli Ukrainy, trzech Białorusinów i tylko jeden Rosjanin.

– Mieszkający w Polsce Białorusini i Ukraińcy to, niestety, wielka i naturalna baza werbunkowa Moskwy. Niemal wszyscy mówią po rosyjsku, a ich aktywność nie przyciąga takiej uwagi polskich służb jak obywateli Federacji. Ale werbowane są też osoby z polskimi paszportami...

Czyli po prostu Polacy.

– 11 marca 2024 r. rosyjski opozycjonista korzystający ze schronienia na Litwie Leonid Wolkow publicznie oskarżył Kreml o zamordowanie w kolonii karnej Aleksieja Nawalnego. Dzień później został napadnięty w Wilnie przed swoim lokum. Kibic warszawskiej Legii Maksymilian K. – zawodnik MMA zwany „Kruszynką” – bił go po głowie tłuczkiem do mięsa tak mocno, że zrobił Wolkowowi dosłownie kotlet z twarzy.

W tej sprawie są jednak wątpliwości co do źródła zlecenia. Istnieje podejrzenie, że za zamachem krył się Anatolij B., przez lata prawnik i prawa ręka nieżyjącego już oligarchy Borysa Bierezwowskiego, jednego z patronów kariery Władimira Putina, który się jednak z władcą Kremla poróżnił. Mogło chodzić o porachunki w środowisku rosyjskiej opozycji.

– Ja wiem – i jest to informacja dotąd niepublikowana – że Maksymiliana K. zwerbował inny Polak, obecnie siedzący w celi na Białolecie emigrant z byłego ZSRR.

Ale weźmy kolejny przykład. W 2023 roku doszło do podobnej akcji w Argentynie. Grzegorz D. z Bydgoszczy zastraszał Maksyma Mironowa, rosyjskiego opozycjonistę zajmującego się demaskowaniem metod obchodzenia sankcji przez Kreml. Następnie zaatakował jego żonę, krzycząc: „Trzymaj się z dala od Rosji”. To dzięki ujęciu bydgoszczanina, który najpewniej zaczął sypać, polskie służby dotarły do zlecniodawców ataku na Wolkowa.

Kto konkretnie nasyla na nas szpiegów i dywersantów?



• Agenci ABW podczas zatrzymania w Złotorii Białorusina, który szpiegował dla rosyjskiego GRU na Dolnym Śląsku (sierpień 2023)

– Przede wszystkim rosyjski wywiad wojskowy GUGSz, Głównoje Uprawlenije Generalnowo Sztaba, czyli dawne GRU. To, które opisywał w „Akwarium” Wiktor Suworow.

Oni tego Polaka z korzeniami na Łotwie zwerbowali na bazie idei wielkoruskiej. Są trzy główne modele werbunkowe – kompromaty, czyli szantaż, pieniądze i ideologia. Ten trzeci model uważa się w służbach za najbardziej skuteczny.

Moim zdaniem idea „wielkiej Rosji”, „trzeciego Rzymu”, „zbierania ziem ruskich”, pansławizm i tak dalej to bardzo silny fundament dla kogoś, kto ma prorosyjski sentyment lub związki rodzinne na Wschodzie.

Sympatia dla Ukrainy już się w Polsce kończy. A dla Polaków, którzy mają korzenie w byłym ZSRR, Rosja może być atrakcyjna. Zadaniem oficera wywiadu jest namierzyć taką osobę.

Oczywiście przed werbunkiem GUGSz sprawdzi tło. Uwarunkowania rodzinne. Miejsce pochodzenia. Jeśli to na przykład

Ryga czy Mińsk, znaczy, że są wspólne tematy do omawiania. A że taka osoba jest w Polsce zakorzeniona od pokoleń? Tym lepiej. Bo nie wzbudzi podejrzeń.

Większość sabotażystów na usługach Rosji robi to jednak nie z sentymentu, ale dla pieniędzy...

– Oczywiście. Weźmy grupę, która na zlecenie wywiadu wojskowego Federacji obserwowała szlaki kolejowo-drogowe w Polsce południowo-wschodniej. Montowali kamery przy magistralach, prowadzili obserwację portu lotniczego w Rzeszowie-Jasionce i tamtejszego dworca PKP.

Bo tamtędy płynie sprzęt dla Ukrainy.

– Członkowie tej grupy nie tylko szpiegowali, ale próbowali też rozkręcić tory. Nie udało się, ale zdołali porobić na Podkarpaciu jakieś zdjęcia, nagrywali filmy. Każdy miał za zadanie nadesłać dwa-trzy obrazy. Udowodnić przydatność. Tak działali afgańscy talibo-

wie, którzy musieli dokumentować zdjęciami podłożenie improwizowanego ładunku wybuchowego, aby dostać za to wynagrodzenie od szefów.

Zdjęcia z Polski otrzymywał nieustalony z nazwiska Andriej, który zwerbował „fotografów” przez internet. Przekazywał to dalej, a dopiero ktoś w GUGSz układał puzzle. I poznawał skalę oraz konkretne drogi, jakimi idzie pomoc dla walczących Ukraińców.

Tak swoją drogą działa opozycja białoruska skupiona wokół organizacji Bielaruski Hajun. Oni z kolei dokumentują trasy przemieszczania się rosyjskich kolumn.

ABW wpadła na trop grupy – nazwijmy ją „rzeszowską” – dzięki agenturze i śledzeniu kont na Telegramie. Natomiast dowody winy pochodziły z rozliczeń finansowych. Udało się wykazać, że dostawali dużą liczbę niewielkich przelewów z podejrzanych kont. Po kilkaset złotych jednorazowo.

Nie z Rosji, bo to by było zbyt oczywiste. Kontrwywiad ABW miał jednak jakąś

wiedzę na temat właścicieli tych numerów bankowych i udało się dojść do kłębka tropem pieniędzy.

Litwini uważają, że właśnie ludzie werbowani w ten sposób podpalili halę przy Marywilskiej. Polska jeszcze tych informacji nie potwierdziła.

Mówimy o pożarze stołecznego centrum handlowego, które poszło z dymem 12 maja zeszłego roku. Dlaczego wspomina pan Litwinów?

– Bo 9 maja, trzy dni przed pożarem w Warszawie, podpalono sklep Ikei w Wilnie. Zrobił to na zlecenie rosyjskiego wywiadu niepełnoletni Ukraińiec. Litewskie służby są zdania, że za zleceniem obu podpaleni stoi ta sama grupa.

Ona ma na sumieniu również najgrubszą dotąd sprawę – próbę strącenia nad Polską samolotu cargo.

Co o niej wiemy?

– Samozapalająca się przesyłka miała być nadana w Polsce na samolot lecący prawdopodobnie do USA lub Kanady. Na wspólnej konferencji z prezydentem Wołodymyrem Zelenskim premier Donald Tusk stwierdził, że „Rosja planowała akty terroru powietrznego nie tylko wobec Polski, ale i linii lotniczych na całym świecie”.

Z tego, co wiem od ludzi służb, sprawcy korzystali przy tej operacji z osłony konsultatu Rosji w Poznaniu. Dlatego jesienią zeszłego roku polskie władze go zamknęły. Moskiewskim dyplomatom i szpiegom nakazano wyjazd w komplecie, a budynek przejął wielkopolski urząd wojewódzki.

Jak nasz kontrwywiad dowiedział się o „próbie samolotowej”?

– Do czasu, nim prezydent Donald Trump to przerwał, istniał format współpracy wywiadowczej Europa – USA dotyczący zagrożeń hybrydowych i dywersji. Właśnie Amerykanie poinformowali nasze służby o „ognistych” przesyłkach.

Na kanałach „Muzykanci Wagnera” czy „Kamanda Prigożyna” ludzie ze służb i prywatnych firm wojskowych atrakcyjnie opisują działania w Donbasie, w Afryce, w Syrii. Obserwują wchodzących na czat i werbownik nawiązuje z nimi kontakt

Potwierdza to zresztą tekst, który ukazał się dwa miesiące temu w „New York Timesie”. Dziennik pisze, że Joe Biden naciśkał na Putina w tej kwestii. Ujawnił mu informacje amerykańskich służb na temat planowanych ataków i wywierał presję, aby ich zaniechać. Wyprzedzające ujawnienie wiedzy wywiadowczej określa się w USA jako *strategic declassification*. Chodzi o to, by uświadomić przeciwnikowi, że mamy wiedzę na temat jego planów. Tak samo postępowano przed wybuchem pełnoskalowej wojny w Ukrainie. Amerykanie ujawnili komplet własnej wiedzy o planach Kremla. Jednak Putin i tak zdecydował o ataku.

Co ciekawe, patent z podpaleniami sklepów czy centrów handlowych zastosowali Ukraińcy. Ich sabotażyści po lutym 2022 roku wzniecali pożary głęboko na terenie Rosji. Teraz już tego nie robią – uderzają dro-

Także śmiertelne przesyłki były już wcześniej stosowane przez stronę ukraińską. W ten sposób został zlikwidowany na przykład antyukraiński bloger Władlen Tatarski, prawdziwe nazwisko Maksim Fomin, doniecki kryminalista, który jeszcze przed pełnoskalową wojną wstąpił do samozwańczych ługańskich sił zbrojnych i walczył po stronie separatystów, a po 24 lutym zajął się relacjonowaniem inwazji w internecie. Miał ponad pół miliona followersów. Na spotkaniu z czytelnikami w kawiarni Street Bar w Sankt Petersburgu elegancka, sympatyczna kobieta wręczyła blogerowi prezent: figurę żołnierza. Wewnątrz był ładunek. Można w sieci zobaczyć nagranie, jak to eksplodowało.

Rosjanie kopiują tego typu rozwiązania jeden od jednego, przenosząc je do Europy.

Jak się organizuje prorosyjskie grupy dywersyjne?

– Obowiązuje zasada grona. Każdy sabotażysta jak winny owoc połączony ze zleceniodawcami osobną gałązką. Wzajemnie znają się tylko ci, którzy muszą, np. żeby przeprowadzić jakieś działania w dwie lub więcej osób. Poza tym kontakty są utrzymywane on-line, a nie bezpośrednio.

Bo Rosjanom nie jest w Polsce łatwo osobiście werbować – kontrwywiad zna tych, którzy operują w naszym kraju, i nieustannie ich obserwuje. Przykład: dziesięć lat temu Eduard Szyszmakow – attaché wojskowej ambasady Rosji w Warszawie – został wydalony w związku z infiltrowaniem polskiego Ministerstwa Obrony Narodowej. Miał uczestniczyć w prowadzeniu agentów – zatrudnionego w MON podpułkownika Zbigniewa J. oraz ministerialnego prawnika Stanisława S. Werbował także na bazie ideologicznej innych sympatyków Rosji i ZSRR.

Kiedy uznano go w Polsce za persona non grata, wyjechał, by dwa lata później wypłynąć na Bałkanach pod nazwiskiem Szyrokow. W Serbii organizował grupę, która miała przeprowadzić zamach stanu w Czarno-

górze. Rosjanie przekazali zwerbowanym dywersantom 30 tys. euro na zakup 50 karabinów. Zamachowcy zamierzali zastrzelić premiera Milo Dukanovicia przed parlamentem podczas wiecu opozycyjnego i prorosyjskiego Frontu Demokratycznego. Chodziło o wywołanie zamieszek i zamknięcie Czarnogórcom drogi do członkostwa w NATO.

Co się nie udało. Kraj przystąpił do Sojuszu w czerwcu 2017 r.

– A tamtejsze służby zdemaskowały Szyszmakowa/Szyrokowa dzięki informacjom z Polski, Ukrainy i Wielkiej Brytanii. Zrobił błąd, bo wyjechał na Bałkany z paszportem, w którym miał tę samą, co w Polsce, datę i miejsce urodzenia. I to samo imię. Tylko nazwisko było inne oraz status paszportu. W Polsce przebywał na dyplomatycznym, w Serbii i Czarnogórze posługiwał się zwykłym.

Jak Rosja werbuje dywersantów?

– Głównie przez portale społecznościowe i czaty na komunikatorach. Choćby na rosyjskojęzycznym Telegramie. Są tam prokremłowskie kanały dotyczące wojny: „Muzykanci Wagnera”, „Kamanda Prigożyna” i tak dalej. Na tych kanałach siedzą ludzie ze służb albo prywatnych firm wojskowych i atrakcyjnie opisują działania wojenne, dajmy na to: w Donbasie, Afryce czy wcześniej w Syrii. Obserwują wchodzących na czat i jeśli werbownik widzi, że ma do czynienia z kimś, komu np. polityka Zelenskiego się nie podoba, nawiązuje kontakt.

W którymś momencie oficer wywiadu lub współpracownik proponuje pieniądze za wykonanie drobnego zadania. Tak to się zaczyna. Za tymi podpaleniami nie stoją fałceci o kondycji Jasona Bourne’a czy Jamesa Bondy. To często sfrustrowani życiem na obczyźnie, źle zarabiający młodzi ludzie.

Używa się również kriminternu, czyli rosyjskiej siatki przestępczej działającej w Europie, a sympatyzującej ze swoim państwem. Ten fenomen opisał brytyjski historyk i badacz przestępczości międzynarodowej Mark Galeotti.

GUGSż łowi w międzynarodówce oszustów?

– Mielśmy przed kilkoma laty na What’sAppie wysyp ofert od ludzi proponujących atrakcyjne cenowo towary. Taka osoba pisała do klientów: mam telewizor o jedną trzecią tańszy... Wyłudzała zaliczkę i nie dostarczała towaru. Właśnie tych ludzi się werbuje. Do nich piszą rosyjscy rekruterzy, oferując „robotę” za lepsze pieniądze. Tego, kto sam wkroczył na ścieżkę oszustwa, łatwiej pozyskać.

W Polsce żyje półtoramilionowa diaspora ukraińska. Po 2020 roku i brutalnie stłumionych protestach przeciwko sfałszowanemu wyborom prezydenckim do naszego kraju uciekła też masa Białorusinów. Wystarczy, że 2 proc. ludzi z tych grup będzie nieuczciwych i już mamy ogromną bazę potencjalnych realizatorów zleceń Putina i Łukaszenki.

Akcje prowadzone rękoma zwerbowanych w sieci to jedno. Ale Główny Zarząd Wywiadowczy wysyła również kadrowych oficerów, by siali chaos w Europie.

– W ramach GUGSż działa jednostka 29155, którą dowodzi generał Andriej Awerianow. To struktura stworzona do prowadzenia dywersji w państwach Unii Europejskiej i NATO. Działają co najmniej od dekady. Ich akcją – prowadzoną przez oficerów kadrowych – było otrucie nowiczkami w Anglii byłego agenta GRU, który szpiegował dla Brytyjczyków, czyli Siergieja Skripala, i jego córki.

Większą i zakończoną sukcesem operacją sabotażową jednostki 29155 było wysadzenie w 2014 r. składu amunicji NATO w czeskich Vrbeticach. Brało w tym udział co najmniej sześciu oficerów, a akcję nadzorował osobiście Awerianow, który przyjechał do Czech pod fałszywym nazwiskiem i wyjechał do Rosji zaraz po wybuchu.

Ta jednostka działa również w Afryce subsaharyjskiej i na południowym Kaukazie. Między innymi testowała broń soniczną – atak falami dźwiękowymi o bardzo wysokim natężeniu – wobec akredytowanych tam dyplomatów USA.

Ludzie Awerianowa już od dawna są na wojnie z NATO.

– Jednostka 29155 kryje się też za próbą otrucia Emiliana Gebrewa, bułgarskiego handlarza bronią, który zaopatrywał Ukraińców, a poza tym konkurował na międzynarodowych rynkach z handlarzami Putina. W 2015 r. ktoś wkrał się do jego garażu i posmarował klamkę auta trującą substancją. Podczas biznesowego spotkania Gebrew zaczął wymiotować i mieć halucynacje. Ledwo go odratowano.

Dopiero po latach połączono to z jednostką Awerianowa. Okazało się, że z atakiem i na Skripala, i na Gebrewa jest powiązany oficer wywiadu wojskowego posługujący się paszportem na nazwisko Siergiej

Sabotaże i wyspy dywersantów na usługach Moskwy

• W kwietniu 2022 r. Służba Kontrwywiadu Wojskowego zatrzymała Białorusina Andreja Raczkiewicza.

Skazany pod koniec marca na cztery lata szpieg był wieloletnim pracownikiem mińskiego GRU działającym „na kierunku polskim”. Razem ze współpracownikami, także Białorusinem, **obserwował 31. Bazę Lotnictwa Taktycznego w poznańskich Krzesinach** oraz stację kolejową na poznańskim Franowie. Wtedy właśnie przez Poznań przechodziły transporty z pierwszą pomocą wojskową dla Ukrainy.

• W sierpniu 2023 r. w Złotoryi na Dolnym Śląsku grupa realizacyjna ABW zatrzymała Białorusina **Michaiła A., który pracował u miejscowego rolnika.** Białoruski robotnik był członkiem siatki sabotażowo-dywersyjnej, która **„rozpoznawała i monitorowała transporty z pomocą dla Ukrainy**, planowała wykolejanie pociągów, napady na ludzi i podpalanie posesji”.

Michaił A. został zwerbowany za pośrednictwem komunikatora Telegram. Zaczęło się od prostych, nisko płatnych zadań w rodzaju rozwieszenie prorosyjskich i antyukraińskich plakatów. Następnie, jak podaje prokuratura, Białorusin i inni rekruci z tej siatki „otrzymali zadanie przeszukania polskich portów morskich, umieszczenia kamer wzdłuż torów kolejowych i ukrycia urządzeń śledzących w ładunkach wojskowych”. ABW zdążyła ich wytąpać. Funkcjonariusze znaleźli kamery i nadajniki GPS, które miały być montowane na transportach z pomocą militarną dla Ukrainy. „Grupie zlecano także działania propagandowe w celu zdestabilizowania relacji polsko-ukraińskich, podsycania i rozbudzania w Polsce nastrojów wrogich wobec państw Sojuszu Północnoatlantyckiego oraz atakowania polityki rządu RP wobec Ukrainy”. Aresztowano 16 osób. To największa z rozbitych do tej pory siatek działających w Polsce.



• W styczniu 2024 r. funkcjonariusze ABW we Wrocławiu dowiedzieli się tzw. drogą operacyjną, że do miasta przyjechał mieszkający w Niemczech prorosyjski obywatel Ukrainy, który **ma zamiar podpalić centrum farb przy ulicy Kwidzyńskiej.**

Serhija S. zatrzymano na dworcu autobusowym. W bagażu miał podpałkę do grilla, rosyjski podręcznik do pirotechniki i broszurę przygotowaną przez moskiewski wywiad dla Ukraińców, którzy chcą wspierać inwazję.

W jego telefonie odkryto m.in. film instruujący, jak ukryć zapalnik bomby w batoniku. W śledztwie **Serhij S. wyznał, że został zwerbowany na Telegramie** przez osobę posługującą się nickiem „Lucky Strike”.

Werbownik zaoferował mu 4 tys. dolarów w dwóch ratach. Ukraińiec czeka na proces, bo wrocławski sąd odrzucił jego wniosek o dobrowolne poddanie się karze trzech lat więzienia. Grozi mu cztery razy tyle.

• **W kwietniu 2024 r.** ABW dzięki informacjom od Służby Bezpieczeństwa Ukrainy zatrzymała obywatela polskiego, który podejrzany jest o „przygotowania do działań na rzecz rosyjskiego wywiadu wojskowego”.

Paweł K. zbierał informacje o lotnisku w Jasionce oraz miał pomóc w **planowaniu zamachu na prezydenta Zełenskigo**.



• **W maju 2024 r. ktoś podpalił centrum handlowe Marywilka 44** na Białołęce w Warszawie. Polskie służby zatrzymały obywatela Ukrainy Oleksandra H. Postawiono mu zarzuty szpiegostwa i dywersji na rzecz Federacji Rosyjskiej. – Badamy, czy mógł stać za podpaleniami lub próbami podpalen innych supermarketów – podał w marcu rzecznik Prokuratury Krajowej Przemysław Nowak.

• **W sierpniu 2024 r.** katowicka prokuratura postawiła zarzut zamiaru „sprowadzenia bezpośredniego niebezpieczeństwa zdarzenia zagrażającego życiu i zdrowiu wielu osób **w postaci eksplozji materiałów wybuchowych**” **Igorowi R., byłemu współpracownikowi Nawalnego**. Rosjanin mógł zostać zwerbowany w 2020 r. po tym, gdy zatrzymano go na Białorusi, gdzie był niezależnym obserwatorem wyborów prezydenckich. Wypuszczony z mińskiego aresztu przeniósł się do Polski, dostał status uchodźcy i stypendium na Uniwersytecie Śląskim. W lipcu zeszłego roku **miał odebrać śledzoną przez polskie służby paczkę, w której prawdopodobnie ukryto materiały wybuchowe**. Został aresztowany. Jego żona twierdzi, że padł ofiarą rosyjskiej prowokacji.



• **Jesienią 2024 r.** warszawski sąd aresztował **cztery osoby podejrzane o „inicjowanie pożarów za pomocą paczek kurierskich z samozapłonem”**. Przesyłki nadano kilka miesięcy wcześniej w Wilnie. Zawierały poduszki do masażu, kosmetyki i erotyczne gadżety. W poduszkach ukryto zapalniki czasowe, w kosmetykach – łatwopalne substancje. Jeden ładunek zapalił się 20 lipca na lotnisku w niemieckim Lipsku. Inny dzień później w naczepie ciężarówki w bazie DPD w podstołecznym Jabłonie. Trzeci pożar wybuchł 22 lipca w bazie DHL w Birmingham. Czwartą paczkę przechwyciły polskie służby. W polskim areszcie siedzi deportowany z Bośni i Hercegowiny Rosjanin, który miał organizować akcję.

• **W listopadzie 2024 r.** ABW zatrzymało w Warszawie „obywatela Białorusi **podejrzanego o usiłowanie dokonania podpalenia obiektu w Gdańsku**”. Chodzi najpewniej o market budowlany. Zarzut - „udział w zorganizowanej grupie przestępczej o charakterze międzynarodowym”. ●

Fiedotow. Ten człowiek przebywał w Anglii podczas trucia podwójnego agenta i jego córki, a Bułgarię odwiedził właśnie wtedy, gdy miała miejsce próba uśmiercenia handlarza.

Fiedotowowi w podróżach do Sofii towarzyszyli dwaj inni oficerowie GRU posługujący się nazwiskami Georgij Gorszkow i Siergiej Pawłow. Zdaniem śledczych z Wielkiej Brytanii cała trójka należy do komanda zabójców z jednostki 29155.

Rosjanie podtruwają też swoich, którym przypominają, że mają ich na krótkiej smyczy. Podczas rozmów pokojowych w Turcji wiosną 2022 r. pośrednikiem między stroną ukraińską a rosyjską był oligarcha Roman Abramowicz. Członkowie ukraińskiej delegacji – w tym obecny minister obrony Rustem Umierow, który mi opowiedział, co się zdarzyło – zostali podtruci jeszcze w drodze do Turcji. Ale nie tylko oni, Abramowicz też. A żył w symbiozie z Kreml, służył Putinowi swoim majątkiem osobiście, choćby jako gubernator Czukotki.

I uwaga: lecieli z podrzeszowskiej Jasionki. Abramowicz po wyładowaniu w Ankarze trafił do szpitala.

Dlaczego o sprawach, o których mówimy, jest cicho? Niby wszyscy wiemy, że po kraju grasują dywersanci, ale w kampanii wyborczej i na czołówkach mediów królują inne tematy. A my sami, choć wojny boimy się na serio, to sabotażystów traktujemy jako mniej poważnie. – Kiedy dywersantom uda się strącić samolot – wtedy będzie głośno. A poważnie: śledztwa w tych sprawach mają charakter niejawni, procesy toczą się za zamkniętymi drzwiami. Dziennikarze nie są dopuszczani, co mnie wcale nie dziwi, bo Rosjanie przecież też to obserwują. A nasze państwo nie chce ujawnić, jakie ma o nich informacje i w jaki sposób je zdobywa.

Czytam na stronie ABW: „Aktualnie prokuratura nadzoruje kilka śledztw dotyczących działalności dywersyjnej, które powierzono do prowadzenia agencji oraz policji. W ich toku zarzuty postawiono około 20 podejrzanym”. – Są już na radarze służb kolejne grupy sabotażystów.

Możliwe, że oni właśnie coś u nas niszczą, kogoś podtruwają, a my o tym nie wiemy albo uznajemy sabotaż za wypadek losowy?

– W świecie szpiegów możliwe jest wszystko, ale zasadniczo rosyjska dywersja robiona jest w taki sposób, by Europejczycy się o niej dowiadawali. Weźmy tę rakietę, która spadła pod Bydgoszczą. Posłanie jej z zaślepką głowicy na miasto, w którym stoi główne centrum wsparcia sił NATO, miało uruchomić procedury alarmowe, które Rosja chciałaby poznać. To był dywersyjny atak powietrzny.

Rosjanie chcieli również zobaczyć reakcję społeczeństwa. I to się nie udało, bo wojsko najpierw straciło rakietę z radarów, a potem – po pół roku – znalazła ją w lesie przypadkowa osoba. Akcja nie wypaliła z powodu indolencji państwa polskiego.

Ten las leży 10 km od Wojskowych Zakładów Lotniczych nr 2 i tyle samo od centrum szkolenia NATO. Mimo to media opisywały sprawę niemal jak anegdotę, skupiły się właśnie na nieporadności naszego wojska. Czy to jest celowe działanie Rosji, by utrzymywać ograniczoną intensywność ataków na Polskę i Europę? No bo jednak nie ma tragedii z dziesiątkami ofiar, są jedynie tak zwane niebezpieczne zdarzenia: nocny pożar hali handlowej, samozapłon przesyłki w ciężarówce, pożar w brytyjskiej bazie DHL.

– A co pan powie na pożar kontenera z przesyłkami w Lipsku latem zeszłego roku? Ten kontener miał się za chwilę znaleźć w lecącym samolocie.

Jestem przekonany, że gdyby nasza ABW i służby sojusznicze nie rozmontowywały tych rosyjskich operacji o niskiej

Gdyby ABW i służby sojusznicze nie rozmontowywały rosyjskich operacji o niskiej intensywności, w rodzaju podpalenia Marywilskiej, mielibyśmy i wysadzanie mostów, i podpalenia sklepów z klientami w środku

intensywności, Kreml już by poszedł dalej. Mielibyśmy i wysadzanie mostów, i podpalenia sklepów z klientami w środku, i te dziesiątki ofiar, o których pan mówi.

Gdy Rosjanie zobaczą, że można wejść na głowę – zrobią to. Na razie ograniczają dywersje, bo eskalacja mogłaby spowodować NATO do poważniejszej reakcji. A dopóki Moskwa walczy z Ukrainą – jest to niepożądane.

Druza sprawa: te akty sabotażu w ograniczonej skali mają nas męczyć, zniechęcać, skłonić do uznania, że cena pomocy Ukrainie robi się za wysoka. Żebyśmy się przestraszyli, uznali, że „to nie nasza wojna”, i siedzieli cicho.

Dlaczego polski szef dyplomacji Radosław Sikorski nie wezwie po prostu rosyjskiego ambasadora Siergieja Andriejewa i nie zażąda od Moskwy przerwania sabotaży?

– Po pierwsze dlatego, że Kreml się do tych akcji nie przyznaje. Po drugie, czym możemy zagrozić? Stosunki dyplomatyczne i handlowe praktycznie są zamrożone. Konsulat żeśmy zamknęli, teraz moglibyśmy jeszcze zamknąć ambasadę. Jednak wtedy oni zamkną naszą. A chcemy teraz być w Moskwie choćby po to, by uważnie śledzić przebieg resetu między Putinem a Trumpem.

Bo tu tkwi najpoważniejsze niebezpieczeństwo. Jeśli Białe Dom i Kreml pójdą na współpracę, Rosja zacznie atakować Europę ze zdwojoną mocą. Więc musimy trzymać rękę na pulsie i zwiększać wydatki na wywiad i kontrwywiad cywilny oraz wojskowy. Te budżety są względem zadań zdecydowanie za małe.

Przed wrześniem 1939 r. Sowieci też nasylali dywersantów, szczególnie na województwa wschodnie. Czekają nas prawdziwa wojna?

– Powtórzę: dopóki Rosja walczy w Ukrainie, nie sięgnie po więcej. Natomiast gdyby jej się udało zakończyć konflikt z Kijowem, wyciągnie ręce po państwa nadbałtyckie. Tam jest mniejszość rosyjska i możliwość wszczęcia jakichś niepokojów. A potem się pojawią żołnierze bez oznaczeń, by wesprzeć separatystów.

Czyli Lech Kaczyński miał rację, mówiąc w 2008 r. w Tbilisi, gdy Gruzini próbowali zatrzymać rosyjskie kolumny: „Dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę”.

– Jeżeli Trump nie zrozumie, że jest przez Putina kiwany, to Kreml pójdzie wedle rozpiski Lecha Kaczyńskiego.

Ponieważ Putin nie poniósł nadmiernie dotkliwych konsekwencji agresji na Gruzję, anektował Krym, a potem Donbas.

Nie poniósł kosztów aneksji Krymu i Donbasu – zdecydował się na wojnę pełnoskalową. Jeżeli nie poniesie kary za wywołanie obecnej wojny, skieruje się nad Bałtyk. Zażąda demilitaryzacji wschodniej flanki NATO, a od Litwinów – korytarza do obwodu kaliningradzkiego.

Od Litwinów czy od Polaków? Bo taki korytarz można poprowadzić różnie.

– Litwa jest słabsza od Polski, dlatego ultimatum zostanie wysłane do Wilna. Rosja uderza w państwa słabe, że wspomnę 50 karabinów, które miały zapewnić przewrót w Czarnogórze. Chociaż na Litwie stacjonują Niemcy i Amerykanie, ten kraj jest postrzegany jako słabsze ogniwo. W państwach bałtyckich mieszkają dawni obywatele Związku Sowieckiego, którzy nie przeszli naturalizacji. Są apatrydami...

Czyli bezpaństwowcami.

– ...i czują się w związku z tym poniżeni. Część ze starszych wspomina z sympatią życie w Kraju Rad, inni poczuwają się do przynależności z „matuszką Rosją”. Oleg Gazmanow, ludowy artysta Federacji, który opiewa nostalgię za ZSRR, nie jest dla nich krindżem.

W dodatku Litwa ma jeszcze jeden newralgiczny problem. Tam państwo jest kontestowane nie tylko przez mniejszość rosyjską, ale czasami i przez mniejszość polską.

Na którą Warszawa ma ograniczony wpływ. Rozmawiałem w Wilnie z szefami tej mniejszości, zresztą wewnątrznie skłóconej. Dziwne towarzystwo.

– Prorosyjska aktywizacja tej grupy jest niewykluczona. A Litwa przez lata pracowała na to, by część polskiej mniejszości znielubiła państwo.

Akcja depolonizacji wschodniej części kraju, ograniczanie Polakom praw wyborczych, zamykanie polskich szkół, skuwanie polskojęzycznych inskrypcji...

– Więć trudno się dziwić, że ci Polacy mają więcej serca do Rosji niż do Litwy. Jeśli po upadku ZSRR w ramach reperywizacji zamiast działki na Wileńszczyźnie oferowano im kawalek ugoru pod Kownem, zaś ziemię pod Wilnem dostawali Litwini z okręgu kłajpedzkiego albo kowieńskiego, to trudno mówić o sprawiedliwości.

Zresztą pożądane dla Rosji nastroje można rozhułać też w Polsce. Niech domniemany „banderowiec” pobije jakiegoś działacza PiS albo Konfederacji. Niech ktoś napadnie na archeologów w czasie ekshumacji ofiar zbrodni wołyńskich...

Będzie oburzenie, ale czy to oznacza zaraz miłość do Moskali? Mnie się nie wydaje...

– Fakt. Nasze społeczeństwo jest tak antyrosyjskie, że nawet chwilowy wybuch antyukraiński w efekcie prowokacji nie przykryje niechęci do Putina. On już chciał się z nami podzielić terenem Ukrainy. Sondował, czy bylibyśmy zainteresowani odzyskaniem Lwowa. Na szczęście w Polsce nie ma żadnych sił, które by w to weszły. Nawet Konfederacja zachowuje się przyzwoicie. To jest nasza siła. ●



Zbigniew Parafinowicz

• dziennikarz, zajmuje się tematyką wschodnią i obronnością. Z wykształcenia politolog i rumunista, był korespondentem w Iraku i Afganistanie. Związany z „Dziennikiem Gazetą Prawną”. Z byłym dyplomatą Witoldem Juraszem prowadzi podcast „Raport Międzynarodowy”. Autor książek „Prywatne armie świata” i ostatnio wydanej „Polska na wojnie”, współautor z Michałem Potockim „Wilki żyją poza prawem. Jak Janukowycz przegrał Ukrainę” i „Krysztalowy fortepian. Zdrady i zwycięstwa Petra Poroszenki” (dostępne w formie e-booka na Publio.pl).

BO PROCEDURA BYŁA MĘCZĄCA

Większość informatyków uważa, że metoda umożliwiająca złamanie szyfru Signala w ogóle nie istnieje. Ale...

Mariusz Zawadzki

W sobotę 15 marca o 11:44 sekretarz obrony Pete Hegseth, jeszcze kilka miesięcy temu prezenter Fox News, pisze na czacie najważniejszych ludzi Trumpa: „Pogoda nam sprzyja. Potwierdziłem z dowództwem CENT-COM: mamy zielone światło, żeby zaczynać misję. O 11:15 start myśliwców F-18 (pierwsza fala). 13:45 Okienko czasowe na uderzenie otwiera się (terrorysta, który jest celem, jest w znanej nam lokalizacji). Startują drony MQ-9s. 14:10 startują kolejne F-18 (druga fala). 14:15 Drony atakują cel. 15:35 Atakuje druga fala F-18, też odpalamy pierwsze rakiety Tomahawk z morza”.

Czyta go Jeffrey Goldberg, dziennikarz kilka dni wcześniej zaproszony na tego czata. Siedzi w aucie przed centrum handlowym i podejrzewa, że to jakiś prank. Dwie godziny później, kiedy internet donosi o bombardowaniach w Jemenie, Goldberg uwierzy, że ludzie z czatu to prawdziwy wiceprezydent USA, prawdziwi sekretarze stanu i obrony, prawdziwy szef CIA, prawdziwy doradca ds. bezpieczeństwa narodowego i prawdziwa dyrektorka wywiadu.

Dwa dni później Goldberg opisuje swoją przygodę w „The Atlantic”. Wybucha skandal. „Zas amatorów” – krzyczą tytuły. Ludzie Trumpa są wyśmiewani przez satyryków i potępiani przez kongresmenów. Ale nie tracą rezonu. Twierdzą, że nie popełnili żadnych błędów (poza dodaniem Goldberga do grupy) i nie ujawnili podczas czatu żadnych informacji TOP SECRET. A Signal to właściwe miejsce na omawianie ataku na szyckich bojowników w Jemenie.

Signal uchodzi za świetny komunikator z trzech powodów: przesyła wiadomości w postaci zaszyfrowanej, nie gromadzi informacji o użytkownikach i ujawnił kod źródłowy aplikacji.

Wiadomości Signala mogą odczytać tylko nadawca i odbiorca. Każda wiadomość wędruje po internecie zaszyfrowana, więc jeśli ktoś ją przechwyci, to i tak jej nie odczyta – ma postać losowego, bezsensownego ciągu liter i cyfr. Nawet twórcy aplikacji nie są w stanie odszyfrować wiadomości użytkowników! I nie ma obaw, że hakerzy złamią szyfr. Dzisiejsze protokoły szyfrowania są całkowicie nieprzemakalne, jeśli je stosować zgodnie z zasadami, to żadne superkomputery nie są w stanie ich złamać.

Byłoby to możliwe wtedy, gdyby ktoś rozwiązał jedną z największych zagadek informatyki znaną jako hipoteza P=NP. Dotyczy ona wielu problemów z kilku dziedzin matematyki, które mają wspólną cechę:



• Sekretarz obrony Pete Hegseth i jego ludzie z powodu jemeńskiego czatu, stali się tematem żartów. Musieli się też tłumaczyć przez senacką komisję ds. wywiadu (25.03.br.)

bardzo trudno je rozwiązać, ale – jeśli ktoś podpowie nam rozwiązanie – to bardzo łatwo sprawdzić, czy jest właściwe. Do takich problemów należy rozkład liczby całkowitej na czynniki pierwsze (dla małych liczb jest to łatwe, np. 15=3*5). Dla ogromnej liczby M znalezienie takich liczb pierwszych A i B, że A*B=M jest bardzo trudne, nawet dla najszybszych komputerów. Ale jeśli ktoś podpowie nam rozwiązanie, to sprawdzenie, czy faktycznie jest ono właściwe, czyli czy A*B = M, jest natychmiastowe (przy użyciu komputera).

Na tym opiera się tzw. szyfr RSA – pierwszy z nowoczesnych szyfrów wymyślony pod koniec lat 70. Żeby go złamać, ktoś musiałby wymyślić szybką metodę rozkładu dużych liczb całkowitych na czynniki. Większość informatyków skłania się do opinii, że taka metoda w ogóle nie istnieje. Signal stosuje szyfrowanie metodą AES, która jest tak samo trudna – w praktyce niemożliwa – do rozbicia.

Signal nie gromadzi informacji o użytkownikach (z wyjątkiem numeru telefonu) w odróżnieniu od komunikatorów oferowanych przez Meta czy Google. Kiedy wysyłamy wiadomość przez WhatsAppa (należy do Meta), to treść wiadomości też jest zaszyfrowana, ale Meta rejestruje wiele „pobocznych” informacji – np. kto wysłał wiadomość, do kogo, gdzie znajduje się nadawca i do jakich grup czatowych się zapisał. Te informacje są przekazywane do Facebooka, żeby m.in. dostosować reklamy pokazywane nadawcy wiadomości. Różnica wynika z różnych modeli biznesowych: Meta zarabia na użytkownikach, czyli na reklamach, które im podsuwa na Facebooku, a Signal działa w formule non-profit i jest finansowany przez dobrowolne dotacje.

Taki model działania Signala daje mu komfort w kontaktach z policją. Nie może przekazać organom ścigania danych użytkowników ani ich wiadomości, bo sam nie ma do nich dostępu. Co innego Meta, który ma dostęp do wiadomości wysyłanych przez nieszyfrowanego Messengera i ma informacje o użytkownikach WhatsAppa.

Dwa lata temu w USA 17-letnia dziewczyna została postawiona przed sądem za nielegalną aborcję przy użyciu pigułki, którą dała jej matka (również oskarżona). Dziewczyna była w piątym miesiącu, więc według prawa stanu Nebraska nie mogła już usunąć ciąży. Dowodem były prywatne wiadomości na Facebooku. Policja dostała te wiadomości od Meta – na mocy nakazu sądowego.

Signal jest aplikacją open source, czyli jej kod źródłowy został w całości ujawniony. Tysiące programistów i matematyków go analizowały, co jest najlepszą rekomendacją i zabezpieczeniem. Gdyby w kodzie były jakieś błędy czy haczyki, „tylne drzwi” którymi autorzy kodu mogliby „wejść” i odczytać wiadomości, to byśmy o tym się dowiedzieli. Kkomunikatory Google’a, Apple’a i Meta (w tym WhatsApp) nie są open source, więc nie wiadomo, co programiści tam wpisali ani co te aplikacje o nas rejestrują.

Skoro Signal jest tak znany, to czemu ludzie Trumpa są wyśmiewani? Otóż ma dwie wady: używają go ludzie, którzy z natury są omylni, a instalowany jest na telefonach i komputerach, do których można się włamać.

Jeden z uczestników jemeńskiego czatu – doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Mike Waltz – przypadkowo zaprosił dziennikarza do grupy. Zapewne miał go na swoim telefonie zapisanego w kontaktach, które Signal zassał przy instalacji. To banalny błąd ludzki, ale mogło być dużo gorzej. Na grupę mogli się wkraść chińscy, irańscy albo rosyjscy hakerzy.

Każda wiadomość, którą wysyłamy przez Signal, może zostać przechwycona, zanim zostanie zaszyfrowana. Jakim sposobem? Na przykład takim, że pół roku wcześniej nieroztropnie kliknęliśmy jakiś link w emailu i na naszym telefonie zainstalował się wirus. Od tamtej pory co chwila wysyła hakerom screenshot, czyli zrzut naszego ekranu. Albo tylko litery, które wstukujemy w klawiaturze telefonu. I tym sposobem hakerzy czytają nasze wiadomości, zanim zostaną zaszyfrowane przez Signal. W przypad-

Każdy z uczestników jemeńskiego czatu ma w biurze i w domu pomieszczenie SCIF, zabezpieczone przed hakerami. Ale używanie go jest kłopotliwe: trzeba umówić kilkanaście osób na konkretną godzinę, każdy musi zejść do swojej piwnicy, zamknąć się w dzwinkoszczelnej budce

ku grupowego czatu – w czacie ludzi Trumpa było 18 osób – wystarczyłoby, że jeden telefon został wcześniej zhakowany.

Co gorsza, niektórzy z uczestników jemeńskiego czatu korzystali z telefonów prywatnych. Dyrektorka narodowego wywiadu Tulsi Gabbard, zeznając na komisji w Kongresie, odmówiła odpowiedzi na pytanie, jakiego używała telefonu. Waltz też chyba używał telefonu prywatnego, bo na służbowym nie miałby numeru dziennikarza. Służbowe telefony ludzi na tak ważnych stanowiskach w USA są znacznie trudniejsze do spenetrowania, bo nie pozwalają na instalowanie dodatkowego oprogramowania i mają zabezpieczenia przed wirusami.

Hakowanie telefonów to nie jest teoretyczna groźba. W zeszłym roku chińscy rządowi hakerzy włamali się do kilku największych sieci komórkowych w USA i dostali dostęp do telefonów milionów Amerykanów – mogli czytać ich wiadomości, a nawet podsłuchiwać rozmowy. Nie wiadomo, jak z tej możliwości korzystali, ale na pewno próbowali się włamać do telefonów kilkudziesięciu polityków z Waszyngtonu, w tym prywatnego telefonu Trumpa.

Chińczycy wykorzystali „tylne drzwi”, które amerykańskie sieci komórkowe zostawiły w swoich systemach, żeby rząd USA mógł wygodnie zakładać podsłuchy osobom, które są podejrzewane o jakieś przestępstwa. Oczywiście, jeśli ktoś wysyłał wiadomości Signalem, to chińscy hakerzy ich nie odczytali (mogli odczytywać tylko zwykłe SMS-y i podsłuchiwać zwykłe rozmowy). Dlatego, jeśli komuś zależy na prywatności i nie ma innych opcji, powinien sobie zainstalować darmowego, dostępnego jednym kliknięciem Signala. Powszechnie używają go ukraińscy żołnierze w komunikacji między oddziałami.

Sytuacja ludzi Trumpa jest inna – oni mają lepsze opcje bezpiecznej komunikacji. Każdy z uczestników czatu ma w biurze i w domu pancerne pomieszczenie SCIF (Sensitive Compartmented Information Facility), zabezpieczone przed szpiegami i hakerami. Rząd USA instalował im te SCIF-y za niemałe pieniądze. Wszyscy powinni udać się do swoich SCIF-ów, ale to kłopotliwe: trzeba umówić kilkanaście osób na konkretną godzinę, każdy musi zejść do swojej piwnicy, zostawić telefon i zamknąć się w dzwinkoszczelnej budce – generalnie dopełnić dość żmudną procedurę, która obowiązuje zwykłych urzędników czy wojskowych.

Gdyby zwykli urzędnicy czy oficerowie na Signale rozmawiali o planach ataku, to zostaliby nie tylko usunięci dyscyplinarnie z wojska, ale nawet stanęliby przed sądem. Ale uczestnicy jemeńskiego czatu pozostają bezkarni i beczelni. Sekretarz obrony Hegseth upiera się, że nie ujawnił na czacie „tajnych planów ataku”, bo np. nie podał współrzędnych celów. Były oficer CIA Mick Mulroy wyśmiewał te wyjaśnienia w telewizji ABC News: „Nieprzyjacieli nie potrzebuje współrzędnych, bo sam dobrze wie, gdzie się znajduje”. Gdyby irański wywiad przechwycił dyskusję z czatu i przekazał ją Hutim, to mieliby dość czasu, żeby się przygotować, a może nawet zestrzelić jakieś amerykańskie myśliwce, bo mają rosyjskie rakiety przeciwlotnicze, które dostali od Teheranu.

Z czatowaniem na Signale jest jeszcze jeden problem – zgodnie z prawem wszystkie działania rządu federalnego muszą być dokumentowane i archiwizowane. Tymczasem Signala można tak ustawić, że wiadomości są automatycznie kasowane po zadanim czasie. Dlatego organizacja pozarządowa American Oversight już pozwala uczestników feralnego czatu za unikanie obowiązku dokumentacji i archiwizacji, a sprawę wyłosał sędzia James Boasberg – ten sam, który nakazał administracji Trumpa wstrzymać nielegalną deportację Wenezuelczyków – rzekomo członków gangu – do więzienia w Salwadorze. Wtedy Trump stwierdził, że „ten sędzia jest lewackim szaleńcem” i proponował, żeby go usunąć ze stanowiska. ●

PAPIEŻ, WZOROWY KOMUNISTA



12.03.2013 r. Kardynałowie na mszy w bazylice św. Piotra przed rozpoczęciem konklawe, które zwołano po rezygnacji Benedykta XVI. Już 13.03 nowym papieżem wybrano Franciszka

FOT. OPP / POLARIS/EAST NEWS

Z PROF. JANEM WOLEŃSKIM
ROZMAWIA ARTUR NOWAK

Wszyscy śledzimy, nawet jeśli nie mamy ochoty, chorobę i – nie ma co udawać – odchodzenie papieża Franciszka. Dręczyły mnie niejasne skojarzenia i w końcu złapałem – ZSRR albo Chiny! Zmiana szefa wygląda tak samo w Kościele katolickim i w partii komunistycznej. Gdy umiera papież, to jakby odchodził pierwszy sekretarz komitetu centralnego. I kolegium kardynalskie, i członkowie KC to ludzie namaszczeni przez umierającego, ale czy wybiorą następcę po jego myśli? – Różnica jest. W historii partii komunistycznych rzadko zdarzały się jakieś niespodzianki. Wszystko było zazwyczaj ustalone, jeszcze zanim pierwszy sekretarz dokonał żywota, politycznie lub fizycznie. W przypadku konklawe jednak to się zdarzało. Weźmy Jana Pawła II, którego wybór był olbrzymim zaskoczeniem.

Konklawe jest jednak mniej sterowalne niż struktury partyjne. Ale też, by pozostać przy przykładzie papieża Polaka, Jan Paweł II nie pojawił się jako poważny kandydat. On wygrał, bo dwa kardynalskie stronnictwa włoskie zwalczały się do tego stopnia, że nie były w stanie uzyskać większości dwóch trzecich głosów.

I w Watykanie, i w Moskwie mamy hierarchię. To nie są jakieś zebrania ludzi, którzy jako wierzący albo członkowie partii mogą sobie wybrać, kogo chcą. – Wybierają reprezentanci. Kościół sam siebie nazywa „wspólnotą wiernych”, ale to nie oznacza, że ta wspólnota rządzi. Z partią podobnie – rządził nią nie cały aktyw czy jej „wspólnota wiernych”, czyli robotnicy i chłopci, ale wybrańcy.

Franciszek w Kościele, niczym Gorbaczow w partii komunistycznej, wyraźnie nakreślił granice, których reforma systemu nie może przekroczyć

Papież może wszystko – to kolejna analogia. Pozostali to tło, do którego Kościół się odwołuje, gdy mu tak wygodnie.

Więc w obydwu przypadkach mamy systemy autorytarne. Oczywiście zdarzały się wyjątki potwierdzające regułę, kiedy jakaś szersza grupa zdobywała decydujący głos. Tak było na XX Zjeździe KPZR w Związku Radzieckim, pierwszym po śmierci Stalina, w którym aktyw odciął się od genseka i jego zbrodni. Albo kiedy zwołano II Sobór Watykański i w Kościele doszło do jakichś zmian, które wyznaczył nie sam papież, ale szersza reprezentacja ojców soborowych.

Ale w ostatecznych rozrachunku władzę sprawowali niepodzielnie papież oraz pierwszy sekretarz. Nawet jeśli pod koniec ich życia tak naprawdę rządziły kuria czy komitet centralny i różne koterie, to podtrzymywano tę fikcję. – Ta niepodzielność i w Kościele, i w partii była przedmiotem konfrontacji. W późnym średniowieczu trwał ostry spór między koncyliarystami, czyli zwolennikami wyższości soboru nad papieżem, a kuralistami uznającymi prymat papieża. W komunizmie radzieckim – ale w innych demokracjach ludowych, też się zdarzały – mieliśmy konfrontacje wodza, genseka czy pierwszego sekretarza i plenum partyjne.

Trudno przypuścić, że Lenin, który zbudował model biurokratycznej, scentralizowanej

partii komunistycznej, wzorował się na Kościele. A jednocześnie podobieństwa tych struktur i mechanizmów są czasami wręcz zbieżne.

Może po prostu wszystkie organizmy autorytarne – skojarzenia z PiS same się cisną – z natury rzeczy są podobne? Obie instytucje zawsze z czymś walczą i cały czas są okopane w jakiejś twierdzy. Partia straszyla wrogami ludu, obszarnikami, klerem, burżuazją, jankesami, rewizjonistami, trockistami i tak dalej, Kościół – wrogami Pana Boga, Żydami, mahometanami, komunistami, genderem, gejami, lesbijkami... Wróg to wręcz centralna postać tych systemów. Bez wroga nie istnieją: wróg ludu i diabeł – muszą być. – Ale wrogiem partii i Kościoła jest – i to wyróżnia te organizacje – ktoś jeszcze: dysydent i heretyk. To wróg najgroźniejszy, bo wewnętrzny. Dysydent kwestionuje ten czy inny kurs partii, ale pozostaje oddanym marksistą, heretyk kwestionuje tę czy inną doktrynę i podważa hierarchię, ale uważa się – i tak postrzegają go zwolennicy – za szczerze prawowierne. Ale – i to kolejne podobieństwo – to nie ty definiujesz się jako odszczepieniec, wewnętrzny dysydent. To góra ustala granice, decyduje, czy wciąż jesteś prawowierne, czy twoje skrzywienie jest jeszcze dopuszczalne.

I czasem była wydawana koncesja, jeśli heretyk mógł być pożyteczny. Tak jak dla

partii zwolennicy „socjalizmu z ludzką twarzą”, a dla biskupów Kościoła otwarty. Można było powiedzieć (tu odwołam się do polskich przykładów): „Zobaczcie, my się reformujemy, mamy takiego młodego działacza, który rozmawia ze studentami, z prywaciarzami”. A teraz można powiedzieć: „Ale przecież mamy takiego księdza, który kręci fajne filmiki na YouTube i prowadzi duszpasterstwo dla gejów”. – Tak. Zagrozeniem jest sytuacja, kiedy dysydent działa poza strukturą. Przy czym dysydenci konserwatyści byli i są uznawani za mniej groźnych niż dysydenci reformatorzy. Władysław Gomułka w 1957 r. ganił dogmatyzm, ale odrzucił jakikolwiek rewizjonizm, a więc reformy, demokratyzację oraz odnowę partii. Jego zdaniem dogmatyzm był dla partii grypą, ale rewizjonizm – gruźlicą. Recz jasna zawsze rewizjonizm dotyczył działań niezgodnych z aktualną linią polityczną.

W Kościele podobnie. Bractwo Piusa X Kościół niby potępiał, niby próbował okiełznać, ale z biskupem Lefebvre'em rozmawiał – bo ten francuski hierarcha stwarzał ryzyko schizmy jako atrakcyjny, gdyż pryncypialny i surowy dogmatyzm mógł być dla wiernych atrakcyjny, ale jednak konserwatysta. A Marcin Luter, który chciał przebudować system, hierarchię, wskazywał hipokryzję kleru i stał po stronie wiernych, nigdy nie został zaproszony do stołu rozmów.

Gdy przaśnego, pryncypialnego Gomułkę zastępował bardziej światowy, pozujący na liberała Gierek, przyjechał na spotkanie z naszą organizacją partyjną Franciszek Szlachcic, człowiek odpowiedzialny za organizację puczu, który doprowadził do zmian w wierchuszce partyjnej. Wskazał nam jasno: są cztery rzeczy, których nie można kwestionować: sojusz ze Związkiem Radzieckim, kierownicza rola partii, sojusz

robotniczo-chłopski i pozycja pierwszego sekretarza.

Czyli jest parę dogmatów, choć ich zakres jest zmienny i, cóż, musicie, towarzysze, to na bieżąco wyczuwać, a o reszcie spraw to możecie dyskutować, ile chcecie, byle nie kwestionować przywództwa.

Skoro jesteśmy przy Polsce Ludowej, Gomułce i Gierku, to znów mam analogię: może Franciszek tylko inaczej rozkłada akcenty, ale na tyle mocno, że zachodzi realna zmiana. Pytania o sens celibatu, komunie dla rozwodników – to, co dla Jana Pawła II było niedyskutowalne, nagle stało się przedmiotem debaty.

– Na tym to polega. Zmiany mają następować pod kontrolą góry. Są związane z wizją aktualnych potrzeb Kościoła czy partii, ale o tej wizji decyduje lider. Kościół akceptuje ateistów, a partia burżujów, bo oni są niegroźni. Zagrożają heretycy i dysydenci, bo oni wdają się w dyskusję z liderem i jego linią. To dobrze widać w tym, kto zastawał pierwszym sekretarzem i papieżem. Ciągłość i sukcesja, a nie zerwanie czy przebudowa. Następcy pielęgnują ciągłość z marksistowskim rdzeniem albo sukcesję apostołską.

Franciszek wydaje się rewolucjonistą za sprawą gestów i drobnych ustępstw w rodzaju dopuszczenia do udziału w Kościele osób LGBT, ale jeśli idzie o rzeczy naprawdę podstawowe, jak pozycja kobiet czy współudział wiernych w wyborze biskupów, jest wierny doktrynie. Co zresztą doskonale rozumiem, bo gdyby papież poszli na całość i reformowali system na serio, Kościoła by już było. Tak jak nie ma ZSRR po Gorbaczowie.

– Właśnie. Gorbaczow wcale nie chciał remontowywać Związku Radzieckiego, przeciwnie, luzował gorset po to, żeby doktryna odzyskała atrakcyjność. I nie odcinał się od poprzedników. Wyjątkiem, który potwierdza regułę ciągłości, był Stalin, trzy lata po śmierci bezwzględnie wyrzucony z dziedzictwa marksistowskiego.

Franciszek podobnie – też wyraźnie nakreślił granice, których krytyka i reforma systemu nie może przekroczyć, o czym świadczy jego stosunek do drogi synodalnej, czyli postulatui niemieckich biskupów, by świeccy wierni uczestniczyli w zarządzaniu Kościołem. I też, podobnie jak inny papież przelomu Jan XXIII, nie odciął się ani nie krytykował pontyfikatów poprzedników: Jana Pawła II i Benedykta XVI.

Kult jednostki to też coś, co łączy partie komunistyczne i Kościół. I tu, i tu oprawa wieców czy nabożeństw wywyższa nieomylnego lidera. W urzędach, redakcjach partyjnych gazet i komitetach wiszą portrety aktualnego genseka, w kościołach i kancelariach parafialnych – aktualnego papieża.

– To kolejna cecha instytucji autorytarnych opartych na bezwzględnym autorytecie. A co do nieomyślności, to również charakterystyczne, że kwestie, w których jest nieomylny, są zwykle obojętne dla przeciętnego człowieka. Jak dogmat o niepokalanym poczęciu czy materializm dialektyczny.

W dwóch bytach, które definiują nasze życie – w demokracjach i w korporacjach – mamy test kompetencji. Zdarza się, że twarzą kraju czy firmy zostaje ktoś mierny, ale jednak zwykle na lidera wybiera się nie byle kogo. Ten ktoś niekoniecznie musi się okazać kompetentny, może podejmować złe decyzje, ale – na dobre lub na złe – się wyróżnia. A gdy patrzę na biskupów, to widzę zunifikowane, oble produkty z tej samej taśmy produkcyjnej. Osowiali starsi panowie bez poglądów, z takimi samymi minami, na pytania dziennikarzy odpowiadający takimi samymi biurokratyczno-świętoszkowatymi formułkami.

– Czasem struktura, żeby przetrwać, kreuje i promuje pewien rodzaj kompetencji. W Polsce sytuacja polityczna powodowała,

że biskupami i kardynałami zostawali ludzie nieciekawi.

Kolejna analogia: szanująca się partia komunistyczna zawsze eksportowała rewolucję. Leninowi marzył się pochód Armii Czerwonej na Zachód, Stalin – wiadomo, ale nawet gdy partia straciła zapal mesjanistyczny i zmieniła w mieszczańską biurokrację, ZSRR wspierał ruchy wyzwolenicze i rewolucyjne. A Kościół wszędzie i zawsze ewangelizuje. Jeśli nie bezpośrednio, to instalując związanych z nim ludzi, gdzie się da, zwłaszcza w polityce. Oraz wspierając ruchy i organizacje konserwatywne, zwalczające postęp, wrogie nowoczesności.

– Akurat w tym nie ma nic specyficznego, co łączyłoby Watykan i Moskwę czy Pekin. Każda religia ma potrzebę nawracania innych, katolicyzm nie jest wyjątkiem. Natomiast jest podobieństwo w aksjologicznym uzasadnianiu członkostwa, tego, że trzeba się zapisać do partii albo należeć do Kościoła. Gdy za PRL pracowałem na wydziale prawa, to nikt mi nie groził, że jak nie zapiszę się do PZPR, to będę miał jakieś kłopoty, że nie przedłużą mi umowy, zamkną

Gdyby komunizm nie był antyreligijny, cieszyłby się poparciem Kościoła. Porządek, dyscyplina, hierarchia, żadnych ekscesów obyczajowych czy kulturowych, tradycyjne wychowanie, podporządkowanie jednostki zbiorowości i państwu...

drogi awansu. Nie. Słyszałem, że partia będzie lepsza, jeśli ludzie tacy jak ja w niej będą. Takie branie pod włos.

W Kościele to działa tak samo. Czasem dostaję listy od znajomych księży, że dobrze, żebym powrócił do Kościoła, bo tak będzie lepiej nie tylko dla mnie, ale i dla instytucji. Dziś już nikt nie straszy, że po apostazji zostaniesz potępiony w życiu wiecznym, stracisz szansę na zbawienie. Nie – musisz być w Kościele dla jego dobra, jeżeli coś ci wadzi, boli, widzisz wady i ich nie akceptujesz, i chcesz wystąpić z Kościoła, to przecież – argumentują – lepiej zmienić instytucję od środka, niż pozbawiać się wpływu.

Kiedy patrzę na takie twory jak Polska Rada Chrześcijan i Żydów, to przypomina mi się Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego działający w stanie wojennym. Oto partyjni i bezpartyjni są razem i może ta partia nie jest taka zła, skoro tacy ludzie jak pisarz Jan Dobraczyński, mądry katolik, z nią współpracują. Ale koniec końców chodziło o to, żeby firmować partyjne cele i przekaz. Podobnie rady ekumeniczne i fora kościelnego dialogu są po to, żeby niekatoliccy członkowie reprezentowali i uwiarygodniali katolicki punkt widzenia.

Obydwa programy – kościelny i partyjny komunistyczny – podkreślają posługę, jaką pełnią członkowie. Głoszą skromność, służebną rolę liderów. Tymczasem to są ludzie wyniosli i dobrze materialnie uposażeni.

– I w partii, i w Kościele widać przewrażliwienie na punkcie tytułatury, formy, a w Kościele dodatkowo strojów. Choć kiedyś partia też traktowała je jako ważny element identyfikacji – niby-robotnicze bluzy komisarzy, skórzane kurtki czynowników i czekistów, maoistowskie kaftany... W zależności od miejsca w hierarchii oczeku-

je się specjalnego traktowania, zgodnego ze sztywną etykietą i ceremoniałem. To było obecne w obejściu sekretarzy, wciąż jest w sposobie bycia biskupów i sprzyja kształtowaniu się osobowości wyniosłej, niezdolnej do dialogu.

Zachód z tym powoli zrywa. Księża i biskupi noszą się po cywilnemu, a tamtejszy Kościół synodalizuje się, dopuszcza wiernych do głosu i współzarządzania parafiami. W Polsce biskupi ani myślą dzielić się władzą. I na zachodzie Europy nie do pomyślenia są już takie przywileje kleru jak u nas.

– Polska po prostu nie uczestniczyła w budowie nowoczesnego społeczeństwa. Niemal cały XIX wiek był przełomem w Europie. Zbudowano świeckie podwaliny świadomości społecznej opartej już nie na dogmatach, normach i obyczajach religijnych, tylko na samostanowieniu jednostki, na racjonalizmie, nauce, technice i zasadach prawa. To doprowadziło do rozdziału Kościoła od państwa. A patrząc inaczej na państwo w religię zaczęto na Zachodzie już wcześniej. Jean-Jacques Rousseau, Monteskiusz, Diderot, John Locke, a następnie podstawowa zdobycz rewolucji francuskiej, czyli deklaracja praw człowieka i obywatela z 1789 r.

Ten pakiet poglądów i praw, od wolności słowa, przez liberalizm, po socjalizm, Pius IX potępił w Syllabusie, czyli katalogu błędów, z którymi Kościół nie może się pogodzić, w 1864 r. Ta data pokazuje, jak długo Rzym próbował zatrzymać postęp. Ale pojawiały się związki zawodowe, ruchy emancypacyjne, sufrażystki, w USA zniesiono niewolnictwo, jednostka zyskała ochronę prawną niezależnie od statusu społecznego. I Kościół przegrał tę konfrontację.

W Polsce od lat 80. nastąpił nie jeden, ale kilka przełomów: zaczęło się od kryzysu instytucji, gospodarki i całego aparatu Polski Ludowej, nastąpił rok 1989 i transformacja polityczna, upadek realnego socjalizmu i nastanie demokracji, rok 1990 i transformacja wolnorynkowa, potem europeizacja i mentalne otwieranie się na Zachód, na swobody obyczajowe, wreszcie fala sekularyzacji w ostatnich latach. A Kościół ciągle ten sam, z tym samym przekazem o grzechach, które nawet dla wiernych dawno nimi przestały być, choćby homoseksualizmu, chociaż kryzys instytucji się pogłębia. Dziennikarze katolicy na siłę szukają w Episkopacie opozycji, której nie ma. Może trzeba zabrać im kasę po prostu?

– Kościół jest ten sam, bo Episkopat znajduje oparcie w państwie, niezależnie od tego, jaka opcja rządzi po 1989 r. Okrągły Stół, półwolne wybory czerwcowe i pierwszy niekomunistyczny rząd były cezurą również, jeśli idzie o rolę Kościoła. Ludzie „Solidarności” przyznali Kościołowi za jego – prawdziwe, ale też rzekome – zasługi w obaleniu komunizmu rolę istotnego architekta w tworzeniu nowej rzeczywistości. Władze zgodziły się na konkordat, religię w szkołach, zakaz aborcji, symbole religijne w Sejmie i tak dalej. Jan Paweł II chciał zrobić z Polski, Węgier i Czech nowe przedmurze chrześcijaństwa.

Gdyby wprowadzić rzeczywisty rozdział państwa i Kościoła oraz wypowiedzieć konkordat, sytuacja zmieniłaby się dość szybko, i to bez odbierania kasy. A opozycji w Episkopacie nie ma, ponieważ purpuraci są zadowoleni ze status quo. Mogą być mniej lub bardziej konserwatywni w rozmaitych kwestiach, ale nie ma powodu, aby totalnie kontestowali rzeczywistość.

Żeby trzymać się analogii z państwem – hierarchowie są w sytuacji nie jak PRL w latach 80., czyli uwiędu, niemal zapasici, tylko jak elity partyjne w okresie małej stabilizacji. Czyli może na dole jest biednie i przaśnie – bo wiele parafii ubożeje, szeregowi księża są obojętni, a wierni sfrustrowani – ale na górze panują komfort i przywileje.

Nie sądzę więc, żeby nowy papież coś zmienił, jeśli ktoś taki jak Franciszek spróbował raz, drugi i dał za wygraną.

Niby Kościół i komuniści to naturalni rywale, stąd w PRL sekowanie duchowieństwa, różne utrudnienia, na przykład z pozwoleniami na budowę kościołów. A jednocześnie na prowincji, w mniejszych miastach i miasteczkach, były dwa ośrodki władzy – komitet partii i kuria. Sekretarz i biskup czy proboszcz wspólnie dbali o ład i porządek.

– Bo sekretarze i biskupi byli do siebie podobni. Tak samo postrzegali społeczeństwo. Gdyby komunizm nie był antyreligijny, wręcz cieszyłby się poparciem Kościoła. Może nie ten rewolucyjny, kilku pierwszych lat po rewolucji 1917 r., ale późniejszy, konserwatywno-mieszczański – porządek, dyscyplina, hierarchia, żadnych ekscesów obyczajowych czy kulturowych, tradycyjne wychowanie, podporządkowanie jednostki zbiorowości i państwu...

Ale gdy patrzę na dzisiejszy Kościół, nie ten polski, ale globalny, i w bliską przyszłość, tę podczas i po konklawe, to analogie się rozmywają. Bo nie bardzo jest co zestawiać z partią, gdyż już nie ma chyba jednego Kościoła. Są niebywale konserwatywni biskupi z Afryki, przy których Jędraszewski to prawie Che Guevara, są postępowi, demokratyczni, niektórzy wręcz feministyczni z Niemiec, no i jest Ameryka. Tamtejszy Kościół, którego reprezentantem jest J.D. Vance, to wojownicza sekta, kontrreformacja i inkwizycja w jednym. Ale nowy papież wciąż będzie miał status pierwszego sekretarza. Tylko jakiego? Czy aby powstrzymać rozpad Kościoła, kardynałowie postawią na model chiński, na kogoś takiego jak Xi?

– Myślę, że zostanie wybrany człowiek środka. Właśnie ze względu na te wszystkie tendencje odśrodkowe w Kościele. ●



FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jan Woleński

• ur. w 1940 r., filozof. Emerytowany profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, członek PAN i Polskiej Akademii Umiejętności. Laureat Nagrody Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Zajmuje się historią filozofii, filozofią nauk, logiką i filozofią prawa.



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Artur Nowak

• ur. w 1974 r., adwokat reprezentujący ofiary pedofilii w Kościele, pisarz, publicysta. Autor książki reporterskiej „Plebania”, współautor – z prof. Stanisławem Obirkim – bestsellerowych reportaży „Babilon. Kryminalna historia Kościoła”, „Gomora. Władza, strach i pieniądze w polskim Kościele” oraz „Skandaliści w sutannach. Od kardynała Wyszyńskiego do arcybiskupa Jędraszewskiego” (dostępne również w formie e-booka na Publio.pl). Właśnie ukazała się jego nowa książka reporterska „Zakrystia”.

OBYCZAJE KULTURA NAUKA

AKTOR

hipnotyzujący,

CZŁOWIEK

trudny

Val Kilmer zmarł 2 kwietnia.
Miał 65 lat. Był Icemanem, Batmanem,
Morrisonem, Elvisem i Świętym.



Marta Górna

W

połowie lat 90. był jedną z najjaśniejszych gwiazd w Hollywood. Przystojny, enigmatyczny i do tego ekscentryk. Na ekranie hipnotyzował nawet na trzecim planie.

Mówił o sobie, że jest aktorem charakterystycznym z twarzą amanta. Z powodu warunków fizycznych, hollywoodzka maszynaria usiłowała go wciągnąć i przemilić

A jednak do końca udało mu się być outsiderem.

Dentysta-rewolwerowiec

Do historii amerykańskiego westernu przeszedł dzięki kreacji w „Tombstone” (1993 r.) Zagrał Doca Hollidaya, dentystę-rewolwerowca z gruzlicą i zamilowaniem do sarkastycznych uwag, które zawsze miał pod ręką, jak szulerzy lewe asy. Polką, Joanną Paculą stworzyli dekadenski duet. On zapijał się i zakasływał na śmierć, ona podpałala mu kolejne papierosy i nalewała drinki. Rozbawiony światem i perspektywą rychłej śmierci Holliday to człowiek pozbawiony lęku. I dlatego też prowokujący wieczne burdy i strzelaniny. A przy tym ujmujący dżentelmen z Poludnia, który z niepiśmiennymi oprychami rozmawia tak, jakby to była konwersacja na eleganckim przyjęciu.

Za życia otoczony licznymi kłakierami, w finale Holliday umiera niemal samotnie. Towarzyszy mu jedyny przyjaciel, legendarny stróż prawa, Wyatt Earp (Kurt Russell).

Kilmer o roli mówił: – Lubiłem być Dokiem. Fajnie jest być arystokratycznym i wnikliwym, stać u boku przyjaciół i się dla nich poświęcać. Jeszcze fajniej być aroganckim tak jak on i mieć ku temu dobre powody. To była

bardzo szlachetna postać, choć nie zapominajmy, że zabił bardzo dużo ludzi.

To jedna z najlepszych kreacji w historii kina. I bardzo niedoceniona. Może dlatego, że w całkowitej opozycji do wizerunku Kilmera z pierwszej połowy lat 90.

Aktor, który charyzmą i talentem bił na głowę wielu gwiazdorów i młodych wilków tamtego czasu, ani za tę rolę, ani za żadną inną nominacji do Oscara nie dostał.

– Nagrody nie zawsze pomagają w karierze. Dla wielu twórców zbyt częste nagradzanie oznacza początek końca kariery. Za bardzo zaczynają się skupiać nie na filmach, ale na tym, czy będą nadal nagradzani. Myślę, że mam zdrowy stosunek do nagród. Jestem aktorem od ponad 20 lat, a ciągle myślę, jak lepiej grać – mówił „Wyborczej” w 2005 r.

To, co wyprawiał na ekranie w „Tombstone” było tak niewiarygodne, że aż doczekało się parodii w nadawanym od lat 70. satyrycznym programie Saturday Night Live. W skeczu-holdzie dla roli Kilmera jako Doc Holliday występuje Jake Gyllenhaal.

Niemożliwy do współpracy

„Variety” pisze o Kilmerze, że wyglądał, jak „chłopaczek”, ale reputację miał szarganą. Opinii gwiazdora o trudnym charakterze dorobił się dzięki huśtawkom nastrojów, wiecznej irytacji i małkoncentwu.

On sam siedem lat temu tłumaczył te plotki „Guardianowi”: – Musiały się za-



Kilmer charyzmą i talentem bił na głowę wielu gwiazdorów i młodych wilków swojego pokolenia, a każdej dekadzie grał w czymś ulubionym filmie

1 • „Święty”. Recenzje były złe, ale Kilmer jako Simon Templar, mistrz kamuflażu, wciąż uwodzi

2 • „Top Gun”. Kilmer wyznał, że nie wychodził z roli, żeby utrzymywać wrażenie, że są z Cruise’em rywalami także poza planem

3 • „The Doors” Z Meg Ryan jako Pamelą. Po śmierci Vala, Nicolas Cage powiedział, że za rolę Morrisona, powinien był dostać Oscara

4 • „Gorączka” Długowłosey i niebezpieczny. Jego Chris napada na bank, żeby wyjść z problemów finansowych

FOT. ALAMY/BE&W, EAST NEWS (3)

cząć jakoś w okolicach „The Doors” (1991). Chciałem być wierny materiałowi źródłowemu, mojej postaci i Oliverowi Stone’owi. Do tego postanowiłem śpiewać piosenki Jima na żywo, osobiście. Udało się, ale nie pozostawiło mi za dużo miejsca na bycie sobą. Improwizowaliśmy i zacząłem nazywać innych aktorów imionami ich postaci. I tak narodziła się plotka o tym, jak rzekomo nalegałem na zwracanie się do mnie: „Jim”. Jestem pewien, że wielokrotnie mogłem być dyplomatyczny, ale ja po prostu walczyłem o to, żeby zasłużyć na przywilej dostarczania innym rozrywki i zrobienia z tego mojej profesji.

Michael Biehn, który w „Tombstone” wcielił się w Johnny’ego Ringo: – Ludzie pytają mnie, jak to było pracować z Valem Kilmerem. Nie mam pojęcia, nigdy się nie poznaliśmy. Nie uściśnaliśmy jego dłoni. Znam Doca Hollidaya, ale nie Kilmera.

Joanna Pacula: – Val nie był nieprzyjazny. Po prostu był swoją postacią nawet poza zdjęciami. A Doc nie powinien fraternizować się z bohaterem Michaela, zależało mu na naturalnych reakcjach. To nie było nic osobistego.

Zmarły kilka lat temu Joel Schumacher, który reżyserował Kilmera w „Batman Forever” (1995), nazywał aktora „niemożliwym do współpracy” i „dziecinny”.

Iceman i „Willow

W latach 80. szukał swojego aktorskiego powołania. Zadebiutował w 1984 r. w „Ścisłe tajne!” – zbkikowanej parodii kina sensacyjnego i szpiegowskiego. Wystąpił m.in. w „Prawdziwym geniuszu” (o wybitnie inteligentnym nastolatku, 1985), telewizyjnych „Zabójstwach przy Rue Morgue” (1986) na podstawie opowiadania Edgara Allana Poe’go, wcielił się też w kolejną legendę Dzikiego Zachodu: Billy’ego „The Kida” Bonney’a. (1989).

Ale przełomem w karierze była dla niego rola rywala Toma Cruise’a, Toma „Iceman” Kazansky’ego w 1986 r. w hitowym „Top Gunie”. Jako egotyk, „najlepszy pilot” w marynarce” był teoretycznie antagonistą, ale urok Kilmera sprawił, że tę postać pokochali widzowie. Nawet po wielu latach, kiedy na spotkaniach z fanami rozdawał autografy, wielu wciąż prosiło o ten sam cytat z „Top Gun”: – Val napisz proszę „możesz być moim skrzydłowym, kiedy tylko zechcesz”.

Uwielbienie widzów przyniosła mu też rola rycerza Madmartigana w „Willow” (1988) Rona Howarda. Z czarnymi włosami do pasa, najpierw w łachmanach, a potem w złocistej zbroi, Kilmer stworzył w tym filmie niedoskonałego wojownika, niechętnego bohatera i „najlepszego szermierza na świecie”.



1



2



3



4

1 • „Willow”
Kilmer sprzątnął sprzed nosa rolę Madmartigana Johnowi Cusackowi

2 • „Tombstone”
Za rolę Hollidaya nie był nawet nominowany do Oscara. To jeden z największych błędów Akademii

3 • „Top Gun: Maverick”
Ostatni raz na wielkim ekranie. Podobno Tom Cruise płakał ze wzruszenia podczas spotkania na planie

4 • „Batman Forever”
Kilmer chciał, żeby jego Batman był inny i miał więcej głębi. Ale widownia i krytycy zapamiętali głównie jego gumowe sutki

FOT. BE&W (3), MATE-
RIALY PRASOWE (2)

Dla wielu polskich widzów z mojego pokolenia „Willow” to często pierwszy film widziany w kinie. Pewnie właśnie dlatego serialowa kontynuacja z 2022 r., w której Madmartigan z powodu problemów aktora ze zdrowiem obecny jest jedynie duchem, była takim rozczarowaniem.

Oglądałam „Willow” (1988) jako mała dziewczynka do zderzenia taśmy kasety wideo. Kilmer był dla mnie ideałem mężczyzny. Miał tam coś, co Amerykanie nazywają swaggerem: był czarująco pompatyczny i pełen wdzięku, z przeblyskami wielkości.

Jim Morrison, Batman i wielki powót...na chwilę

Lata 90. to dla Kilmera już role w głównym hollywoodzkim nurcie. Oprócz występów w „The Doors” (1991), czy „Batman Forever” (1995) do swojego portfolio dopisał „Świętego” (1997, nową, filmową wersję klasycznego serialu z Rogerem Moore’em), „Prawdziwy romans” (1993) Tony’ego Scotta (był zaskakująco udanym Elvise’em, choć występ miał krótki). U Michaela Manna zagrał pogubionego złodzieja u boku Pacino i De Niro w „Gorące” (1995), z Michaeliem Douglasem wystąpił w mocnym „Duchu i mroku” (1996), a z Marlonem Brando, legendą ekranu, w dziwacznej, choć fascynującej „Wyspie Doktora Moreau” (1996). Na planie tego ostatniego filmu znów zasłużył na renomę dupka i aktora kapryśnego, choć w tej kategorii Brando to mocna konkurencja.

Mann po śmierci Kilmera powiedział serwisowi Deadline: – Kiedy pracowałem z nim przy „Gorące” nie mogłem wyjść z podziwu nad jego aktorskim wachlarzem, genialną różnorodnością, z jaką Val wcielał się w swojego bohatera.

Kiedy dziś spieram się ze swoim ojcem o najlepszego ekranowego Kilmera, wymieniam mało znanego film „Na rozkaz serca” z 1992 r. To kryminał neo-westernowy Michaela Apteda o zbrodni w indy-


• **„Val”, dokument o sobie, kręcił przez całe życie. Z powodu choroby rzadko już pokazywał się publicznie. „Val” to jego bardzo osobiste pożegnanie**

skim rezerwacie. Kilmer wciela się w agenta FBI, który tropi zbrodnię i konfrontuje się ze swoim rdzennym pochodzeniem.

Sam swoją oryginalną urodę zawdzięczał po części genom Czirokezów. W czasie wywiadów promujących „Na rozkaz serca”, z lekko aroganckim uśmiechem wyjaśniał, że występ w produkcji i dla niego był duchową podróżą.

Mówił też wtedy o tym, o czym w Hollywood mówi się dopiero od niedawna: aktorzy pochodzenia rdzennego nie są w branży filmowej odpowiednio reprezentowani.

Dekadę zakończył kosztowną, ale fatalną „Czerwoną planetą” (2000). To był początek ciągu kłap finansowych i ról w filmach klasy B.

Na szczęście zdarzał się wyjątek – np. doskonała komedia kryminalna „Kiss Kiss Bang Bang” (2005) Shane’a Blacka, w której Kilmer wcielił się w zbłądzonego hollywoodzkiego detektywa-geja. Z Robertem Downeyem Jr. stworzyli doskonały duet, a świetne recenzje zagwarantowały obu aktorom powrót na świecznik.

Potem występował w przeznaczonych na płyty DVD thrillerach („Łowcy umysłów”), filmach fantasy („Smokiem i mieczem”), albo dziwnych projektach, w które broniły się jedynie jego aktorstwem.

Wielki powrót, który wzbudził emocje widzów, zaliczył w filmie „Top Gun: Maverick” (2022). Choć come back trwał chwilę, przypomniał publice, za co go pokochała. W każdej dekadzie Kilmer grał bowiem w czymś ulubionym filmie.

Paradoksalnie, mimo swego talentu, aż trzykrotnie w karierze nominowany był do przyznawanych największym hollywoodzkim gniotom Złotych Malin – za role w „Wyspie doktora Moreau”, „Świętym” i „Aleksandrze” (2004). W 2023 r. przyznano mu statuetkę odkupienia dla tych, którzy w oczach jury zmasakowali swoje artystyczne winy. To była nagroda za dokument „Val” (2021), w którym podzielił się

swoimi osobistymi, gromadzonymi od dzieciństwa nagraniami. Film stworzył razem z synem. To coś więcej niż biografia – to zapis życia widziany jego oczami. Intymny, nostalgiczny, poruszający.

Prawdziwy geniusz

Val Kilmer urodził się w Sylwestra 1959 roku w Południowej Kalifornii, dzieciństwo spędził w dolinie San Fernando. Do końca życia prześladowało go wspomnienie śmierci młodszego brata, który utonął w przydomowym basenie. – Był prawdziwym geniuszem, urodził się z malarskim pędzlem w dłoni – opowiadał „Guardianowi”.

Kilmer był dzieckiem niezwykłym i wybitnym młodzieńcem. Do dziś pozostaje najmłodszym uczniem przyjętym do prestiżowej artystycznej szkoły Juilliard w Nowym Jorku – miał 17 lat.

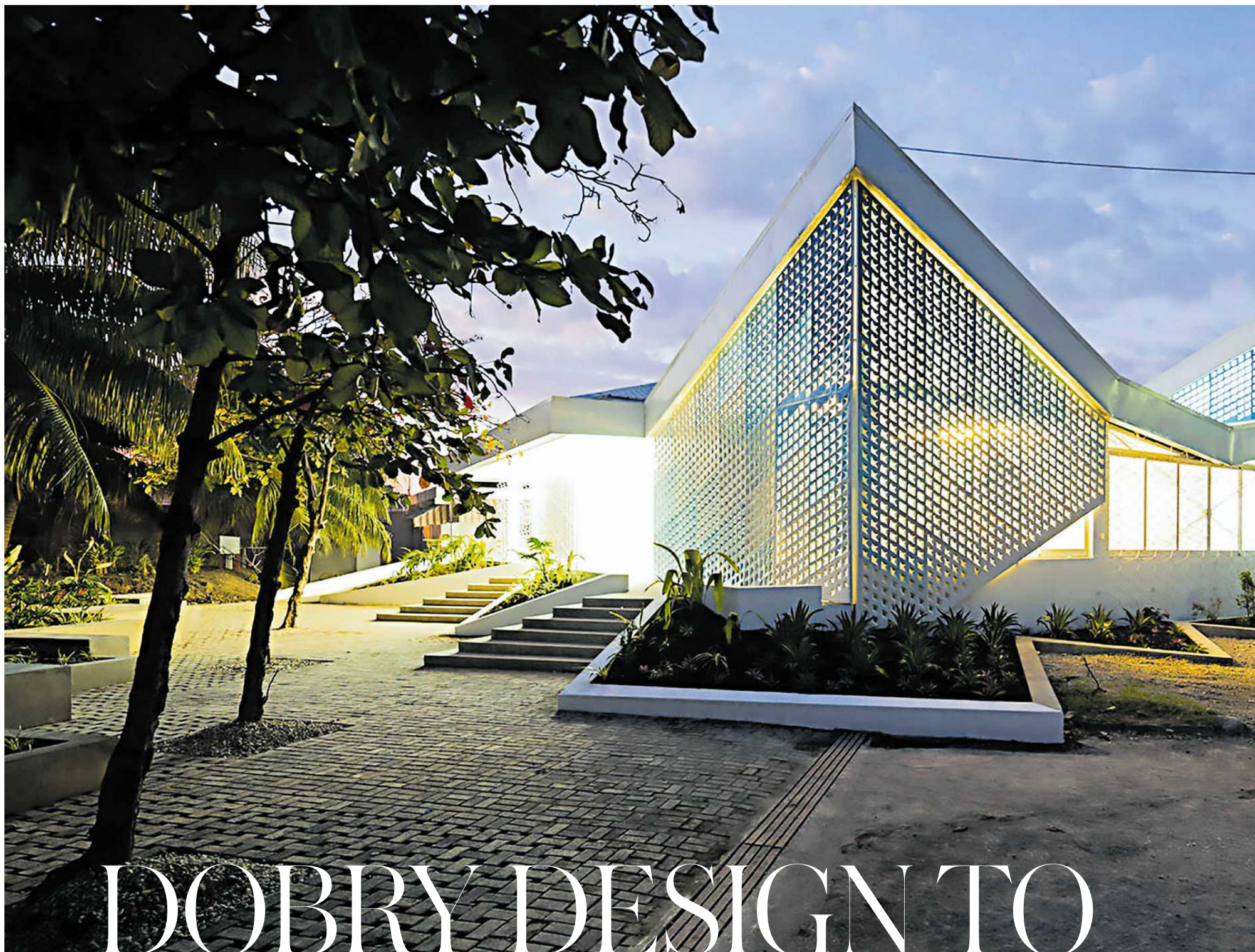
Głośno było o jego romansach. Spotykał się m.in. z Cher, Cindy Crawford, Angeliną Jolie i Daryl Hannah.

Pierwszą żonę, aktorkę Joanne Whalley poznał na planie „Willow”, wcielała się w Sorszę, córkę wiedźmy i nieustraszoną wojowniczkę. Pobrali się w 1988 r., rozwiedli osiem lat później. Mają syna i córkę: Jacka i Mercedes. Jack, dziś popularny aktor, imitował głos ojca (Kilmer na skutek choroby go stracił) m.in. w nowym, serialowym „Willow” i filmie dokumentalnym „Val” sprzed kilku lat.

W ostatnich latach na ekranie pojawiał się rzadko. Nagrał album muzyczny. Miał niegroźną, ale wieloletnią obsesję na punkcie życia i twórczości Marka Twaina, jednego z najsłynniejszych pisarzy amerykańskich. – Mark Twain był fajnym gościem. Arogantem i prześmiewcą. Potrafił śmiać się sam z siebie, lepiej niż ktokolwiek. To wymarzony bohater filmu – mówił „Wyborczej” 20 lat temu.

Grał swojego idola w jednoosobowym spektaklu, z którym jeździł po całym kraju, założył fundację pielęgnującą pamięć po Twainie i jego dorobek.

Ostatecznie karierę skończył przez raka gardła, z którym zmagał się od 2015 r. Początkowo chciał leczyć swój nowotwór siłą wiary – przez lata należał do Stowarzyszenia Chrześcijańskiej Nauki. Dzieci namówiły go jednak, by skorzystał ze zdobyczy medycyny i poddał się chemioterapii. Wcześniej swoją chorobę nazywał „sugestią”. ●

ZAPROJEKTOWANE **PO** LUDZKU

DOBRY DESIGN TO PRAWO CZŁOWIEKA

Najbardziej to widać w czasach zarazy

Z **ALICE RAWSTHORN***,
BRYTYJSKĄ KRYTYCZKĄ WZORNICTWA ROZMAWIA
AGNIESZKA JUCEWICZ

Różne wersje parawanów oddzielające część służbową od prywatnej, modułowe meble pozwalające na zmianę układu mieszkania w ciągu dnia, biurka instalowane w szafach – to był covidowy design.

– Niektóre z tych projektów przetrwały, ale z czasem uwaga projektantów przeniosła się gdzie indziej – do biur. Stało się tak, gdy pracodawcy zorientowali się, że aby przyciągnąć z powrotem pracowników, muszą się trochę wysilić i zadbać o to, by wnętrza biur były bardziej przyjazne.

Niektórzy są w stanie wydać na to naprawdę ogromne pieniądze – amerykańska grupa bankowa City Group na zmodernizowanie swoich biur w Londynie postanowiła właśnie przeznaczyć ponad 1 mld euro.

Bardziej progresywni pracodawcy wkładają też ogromny wysiłek w organizację logistyki pracy z domu. Tu dobrym przykładem jest znana projektantka wnętrz – Ilse Crawford ze Studia Ilse w Londynie. Zarówno jej, jak i jej zespołowi bardzo odpowiadała pra-

ca zdalna dopóty, dopóki wszyscy się nie zorientowali, jaką wartością jest możliwość krzyknienia do kolegi czy koleżanki siedzących po drugiej stronie pokoju.

W końcu po długich dyskusjach zespół Ilse umówił się, że w jednym, konkretnym dniu tygodnia wszyscy obowiązkowo przychodzą do biura, w dwa ustalone dni spotykają się osoby z danego podzespołu, a w pozostałe dwa – pracuje się z domu. Wypracowanie tego harmonogramu było tak czasochłonne i skomplikowane, że Ilse w pewnym momencie zastanawiała się, czy nie zatrudnić menedżera do spraw pracy zdalnej. Ostatecznie poradzili sobie.

W kwietniu 2020 roku, kilka tygodni po ogłoszeniu pandemii COVID-19, razem z kuratorką z nowojorskiego Muzeum Sztuki Nowoczesnej (MOMA) – Paolą Antonelli – zrobiliście podcast „Design Emergency” poświęcony projektowaniu w kryzysie. Waszym pierwszym rozmówcą był Michael Murphy, współzałożyciel MASS Design Group – międzynarodowego zespołu architektów, projektantów, inżynierów i badaczy, których misją jest „tworzenie i promowanie architektury wspierającej sprawiedliwość i godność”. Murphy jest też autorem zdania: „Dobry design to prawo człowieka”.

– MASS jest w tej chwili liderem projektowania humanitarnego na świecie. Mają na koncie m.in. gmach szpitala dla chorych na cholerę w Port-au-Prince na Haiti czy kompleks szpitalny w Butaro w Rwandzie.

Obiekty te sprzyjają leczeniu – są przestronne, jasne, dobrze wentylowane, a specjalne systemy sprawiają, że zarazki trudniej się w nich przenoszą.

Dlatego, gdy przyszedł COVID-19, duży nowojorski szpital Mount Sinai zwrócił się z prośbą do nich o pomoc w pilnym przeprojektowaniu ich oddziałów. Tak żeby z jednej strony jak najlepiej służyły pacjentom zarażonym koronawirusem, a z drugiej – chroniły pozostałych pacjentów i personel. Projekt ten powstał w ścisłej współpracy z władzami szpitala i lekarzami, a później stał się modelem, z którego mogły korzystać inne placówki.

Który z projektów pandemicznych najbardziej zapadł pani w pamięć?

– „Kolczasty bąbel” Alissy Eckert, graficzki specjalizującej się w tworzeniu wizualnych reprezentacji nowo odkrytych chorób albo ich przyczyn.

Eckert pracuje dla amerykańskiej agencji rządowej – Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób (CDC) w Atlancie – i z kolegą Danem Higginsem zaprojektowała oficjalną ilustrację wirusa SARS-



• **Szpital dla chorych na cholere w Port-au-Prince na Haiti. Przestronny, jasny, dobrze wentylowany, specjalne systemy sprawiaja, ze zarazki trudniej sie przenosza. Zaprojektowany przez miedzynarodowa MASS Design Group**

FOT. IWAN BAAN/MASS
DESIGN GROUP



• **ALICE RAWSTHORN jest brytyjska krytyczka designu. W projekcie „Design Emergency” sprawdza, jak design radzi sobie z wyzwaniami wspolczesnego swiata**

FOT. ALICE-
RAWSTHORN.COM

Mój ulubiony ukraiński projekt wojenny to zainicjowane przez grafików przemalowywanie nazw miejscowości na znakach drogowych, by zmylić rosyjskie wojsko.

ALICE RAWSTHORN

-CoV-2 znaną jako „spiky blob”. Alissa i Dan nieznacznie zniekształcili rzeczywisty obraz wirusa, mocniej akcentując jego kolce, by podkreślić powagę sytuacji. Po kilku tygodniach ilustracja ta stała się najbardziej rozpoznawalną ilustracją medyczną w historii.

Pamiętam też świetną kampanię informacyjną o COVID-19 agencji reklamowej Clemenger BBDO z Nowej Zelandii. Takich kampanii było mnóstwo, niektóre były naprawdę nietrafione, ta była wybitna. Jej celem było w prosty, włączający i empatyczny sposób uświadomić Nowozelandczykom, że w tej trudnej i nowej sytuacji są razem i tylko solidarnie są w stanie jej sprostać. I to zadziałało.

Hasłem przewodnim było: „Zjednoczeni przeciwko COVID-19”. A prostym czarno-żółto-białym grafikom towarzyszyły takie hasła jak: „Bądź uprzejmy. Sprawdź, jak się mają osoby starsze”, „Zostań w domu, jeśli jesteś chory”, „Kaszl albo kichaj w zgięcie łokcia”.

– W pamięci zapadli mi też lekarze i lekarki, którzy w pandemii przeistoczyli się w projektantów.

Jednym z nich był Marco Ranieri, włoski anesteziolog, szef oddziału intensywnej terapii największego szpitala w Bolonii, który „zhakował” konstrukcję respiratora tak, żeby mógł on obsługiwać dwóch pacjentów naraz.

– Moim ulubionym przykładem są pakistańskie lekarki – Sara Khurum i Iffat Zafar – które jeszcze przed pandemią założyły sieć poradni telemedycznych Sehat Kahani. Chciały ułatwić pakistańskim kobietom dostęp do ochrony zdrowia. Z różnych powodów – odległości do placówek, obyczajowych – był on wcześniej ograniczony.

W pandemii lekarki wypuściły łatwą w obsłudze aplikację. I tak jak przed pandemią Sehat Kahani obsługiwała 350 tys. osób rocznie, głównie pacjentek, to pod koniec – już 3 mln osób. Jest to też świetny przykład projektu stworzonego na tak zwanym Globalnym Południu, który pod względem technologicznym wyprzedził podobne projekty z innych miejsc na świecie.

Wspomnę jeszcze o dwójce „przypadkowych” projektantów. Pierwszą jest nauczycielka z podstawówki w chińskim mieście Hangzhou, która zaprojektowała dla swoich pierwszaków kapelusze ze skrzydełkami o długości jednego metra. W ten sposób dzieci mogły utrzymywać dystans społeczny, minimalizując ryzyko zakażenia. Drugim jest indyjski policjant, który wymyślił kask motocyklowy w kształcie „kolczastej bąbla” i patrolował w nim ulice swojego miasta, ostrzegając mieszkańców przed niebezpieczeństwami związanymi z koronawirusem.

Pamiętam wysyp „przypadkowych” projektantów w Polsce – głównie kobiety, które skrzykiwały się, żeby szyć maseczki. Ale też właścicieli lokali gastronomicznych i usługowych, którzy przeprojektowywali wnętrza swoich biznesów. Z zagranicznych nieprofesjonalnych pomysłów z tamtego okresu najbardziej chyba jednak spodobał mi się respirator zaprojektowany przez grupę afgańskich nastolatk.

– W pandemii mieliśmy wiele przykładów wspieranej współpracy i ten jest jednym z moich ulubionych. Dziewczynek było osiem. Miały od 14 do 17 lat i należały do zespołu uczącego się robotyki – „Afghan Dreamers” w Herat – trzecim co do wielkości mieście w Afganistanie. W lockdownie, wykorzystując komponenty z recydingu, między innymi części silnika toyoty corolli, zbudowały dwa awaryjne respiratory dla lokalnych szpitali. Historia ma ciąg dalszy. Nie wiem, czy go pani zna.

Nie znam.

Zaprojektowane po ludzku

- W trzeciej edycji akcji „Zaprojektowane po ludzku” przyglądamy się szczęśliwym sąsiedztwom. Co sprawia, że dobrze czujemy się w miejscu, w którym mieszkamy, chętnie do niego wracamy? I nazywamy domem także to, co znajduje się już poza naszymi czterema ścianami.
- Szukamy dobrze zaprojektowanych miejsc i obiektów, a także – jak w poprzedniej edycji – działań i inicjatyw, dzięki którym okolica, w której żyjemy na co dzień, stała się lepsza. Podsyłajcie swoje zgłoszenia do konkursu, proponujcie tematy do dyskusji.
- Zgłoszenia oceni kapituła, w której skład wchodzi: architektki Agnieszka Labus i Agata Twardoch, neuronaukowiec Natalia Olszewska, ekspertki rynku mieszkaniowego Katarzyna Kuniewicz i Ewa Tęczak, architekt Robert Konieczny, ekonomista Piotr Michorń, urbanista Łukasz Mikuła, autor książek o architekturze Filip Springer i prowadząca cykl redaktorka „Wyborczej” Natalia Mazur.
- Czytaj więcej na **Wyborcza.pl/zaprojektowanepoludzku**

– Po tym, gdy talibowie przejęli władzę, starszym dziewczynkom przy pomocy organizacji pozarządowej udało się wyjechać z kraju. Studiują w USA, Indiach i w Irlandii. I z tego, co widzę po zdjęciach, które wrzucają na swoje profile, świetnie wykorzystują ten czas. Niestety, młodsze dziewczynki musiały zostać w Afganistanie. Tym samym utraciły prawo do edukacji, a właściwie prawo do czegokolwiek.

Przygnębiające. Jak pani ocenia spuściznę po pandemii w designie?

– Największe zmiany zaszły w telemedycynie i pracy zdalnej. Projektanci odegrali ogromną rolę nie tylko w dostosowaniu wnętrza do nowych warunków, ale również w modernizacji systemów informatycznych takich, jak choćby platformy do obsługi wideokonferencji.

Ta technologia istniała już wcześniej, tyle że nie była szczególnie efektywna. Giganci technologiczni nie inwestowali w nią, wychodząc z założenia, że nie jest to wystarczająco dochodowy sektor. Wyjątkiem była mało znana wówczas firma Zoom i ona jako pierwsza dostrzegła w pandemii niezwykłą okazję do ulepszenia swojego produktu. Tacy giganci jak Meta czy Google próbowali pójść w ich ślady, nie udało im się jednak stworzyć bardziej przystępnych platform. Nie wspominając już o Teamsach Microsofta – najgorszym moim zdaniem produkcie tego typu. Naprawdę serce mi krwawi, kiedy ludzie proponują mi rozmowę na Teamsach.

Czy jest jakaś lekcja, której pani zdaniem projektanci nie odrobili w pandemii?

– Nie tyle projektanci, ile my wszyscy, a tak naprawdę głównie politycy. Największą lekcją, jaką zawaliliśmy, jest nauka planowania z wyprzedzeniem.

Przecież przez lata, zanim pojawił się COVID-19, naukowcy i przedstawiciele publicznej ochrony zdrowia co chwila ostrzegali przed zbliżającą się groźną pandemią. Politycy jednak tych wezwań nie posłuchali ani nie podjęli żadnych działań. I nawet, jeśli już jest konsensus co do tego, że nie tyle może przyjść kolejne, globalne zagrożenie dla zdrowia, ale że na pewno tak się stanie, to planu, co wtedy zrobimy, wciąż nie ma. Złości mnie to, bo projektantów, którzy mogliby się zaangażować i służyć pomocą, jest mnóstwo, potrzebna jest tylko wola polityczna.

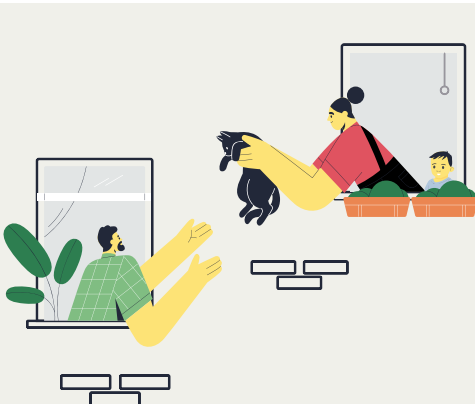
OGŁOSZENIE

Kraj/34370310

Projektujesz, realizujesz, działasz na rzecz szczęśliwych sąsiedztw?

**NAGRODA
20 TYS. ZŁ!**

Weź udział w konkursie: [Wyborcza.pl/zplkonkurs](https://wyborcza.pl/zplkonkurs)



ZAPROJEKTOWANE
PO LUDZKU
✓ SZCZĘŚLIWE SĄSIEDZTWA

ORGANIZATOR

wyborcza.pl

SPONSOR STRATEGICZNY

otodom

PATRONAT MEDIALNY

radio ZET

Żyjemy w czasach wielu kryzysów, na które projektanci szukają odpowiedzi. Rzadko kto myśli jednak, że mają też co robić na wojnie.

– Od początku inwazji Rosji na Ukrainę śledzę poczynania ukraińskich projektantów i imponuje mi zarówno ich pomysłowość, jak i odwaga. Ukraińska branża kreatywna jeszcze przed wojną była jednym z filarów eksportu i nadal nim pozostaje, z tego powodu osoby piastujące wysokie stanowiska w tej branży są zwolnione z poboru do wojska.

Niezależnie od tego, wielu znanych mi ukraińskich projektantów, architektów i konstruktorów zgłosiło się na ochotnika do wojsk obrony terytorialnej, a jednocześnie pracują przy projektach wojskowych i cywilnych, których jest mnóstwo.

Przede wszystkim dzięki innowacjom poczynionym w produkcji dronów ukraińscy projektanci zmienili zasady współczesnej wojny. Tuż po napaści Rosji na różne sposoby eksperymentowali z przerabianiem zwykłych, niedrogich dronów, których używano do nagrywania wesel czy wakacyjnych obrazków w skuteczną broń powietrzną, na co Rosjanie nie byli przygotowani.

Odwiedziłam Ukrainę latem zeszłego roku i byłam pod wrażeniem ich kolejnych osiągnięć technologicznych. Na przykład firma informatyczna Kitsoft zaprojektowała bardzo przydatne na czas wojny aplikacje. Jedną z nich jest Kyiv Digital, która dla mieszkańców Kijowa stała się niezbędniakiem. Dzięki niej można się dowiedzieć, gdzie jest najbliższy schron, czynny sklep, apteka, czy dana apteka ma na przykład insulinę, jeśli jest się cukrzykiem, które budynki uległy zniszczeniu, gdzie jest najbliższe dostępne wi-fi itd.

Innym projektem, który mnie poruszył, było przekształcenie starych, zniszczonych wagonów kolejowych z lat 80. w mobilne oddziały intensywnej terapii i sale operacyjne, w których leczeni są ranni żołnierze. Ukraińcy rozbudowują również w strefie działań wojennych sieć podziemnych szpitali, by móc jak najszybciej zaopiekować się rannymi.

Moim ulubionym ukraińskim projektem wojennym pozostanie jednak zuchwały, błyskotliwy „partyzancki” projekt zainicjowany przez ukraińskich grafików. Kiedy Rosjanie rozpoczęli inwazję, ludzie zaczęli przemalowywać nazwy miejscowości na znakach drogowych, by zmylić rosyjskie wojsko. Na jednej z autostrad natomiast każda z nazw miejscowości przemianowano na „Hage”, czyli siedzibę Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości oraz Trybunału Karnego, gdzie – mamy nadzieję – Putin w końcu trafi.

Znany ukraiński architekt Slava Balbek opowiadał mi, że przed wojną projektował okazałe rezydencje, butikowe hotele, restauracje, centra wellness. Po wybuchu wojny najpierw został kierowcą, który ewakuował ludzi ze strefy działań wojennych, później założył grupę wolontariuszy, która karmiła ludzi i dostarczała im do domów lekarstwa, a potem wraz z innymi architektami uruchomił dwa projekty: „Re: Monuments” chroniący zabytkowe pomniki przed bombardowaniem oraz „Re: Ukraine” – projekt estetycznych, łatwych i szybkich w montażu mieszkań tymczasowych dla osób, które straciły dach nad głową.

– Miałam przyjemność dwukrotnie rozmawiać ze Slavą i wiem, że jego zespół jest liderem na tym polu, ale mieszkania tymczasowe, schrony czy w ogóle kwestie związane z odbudową kraju to ważne tematy dla większości ukraińskich architektów. Na przykład wyższa Szkoła Architektury z Charkowa przeniosła się do Lwowa po to właśnie, by móc w spokoju skupić się na projektowaniu na potrzeby wojny i z myślą o odbudowie Ukrainy po wojnie.

Spotkałam się też z zespołami, które wyspecjalizowały się w konkretnych obszarach budowlanki – jedne zajmują się tylko napra-



• Dziewczynki z zespołu uczącego się robotyki „Afghan Dreamers” w Herat w Afganistanie. 13 lipca 2020 rok

Osiem dziewczynek wykorzystując między innymi część silnika toyoty corolli, zbudowało awaryjne respiratory

wą lub wymianą zniszczonych dachów, inne – tylko okien. Stale poszukuje się materiałów, które będą wytrzymałe, lecz tańsze. Innowacji nie brakuje.

W Kijowie odwiedziłam ogromną księgarnię, którą otwarto niedawno w pięknym postsowieckim budynku w centrum miasta. Zajmuje kilka pięter. Są tam też kawiarnia, przestrzeń do organizowania spotkań, miejsca cichej pracy. Sprzedaje książki wyłącznie po ukraińsku, podobno żaden ukraiński wydawca nie wydaje już książek w języku rosyjskim. Wszystko to stanowi część kulturowej derusyfikacji Ukrainy.

Kolejną potworną tragedią jest ta, która ma miejsce w Gazie. Tam projektem, który chyba najbardziej mnie porusza, jest obóz dla uchodźców w Al-Mawasi prowadzony przez Lekarzy bez Granic. Obóz, który może pomieścić 400 osób, jest całkowicie – toalety, prysznice, inne pomieszczenia – przystosowany dla osób z niepełnosprawnościami, które są grupą szczególnie narażoną podczas konfliktów zbrojnych. Trudniej im uciekać, trudniej też się odnaleźć w sytuacji przymusowego przesiedlenia. Podobny obóz, tyle że mniejszy – na sto osób – postawił w Dajr-al Balah Palestyński Czerwony Krzyż.

Oczywiście widok obozów dla uchodźców w jakimkolwiek kontekście jest bolesny. Wszyscy wiemy, że się one nie sprawdzają. Biuro Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych ds. Uchodźców już zdejścię w 2017 r. ogłosiło, że zamierza je wygaszać, bo w ciągu ostatniej dekady liczba uchodźców na świecie się potroiła...

Jak popatrzeć na to, co się dzieje na świecie, można dojść do wniosku, że nibawem design staniem się już wyłącznie narzędziem do rozwiązywania kryzysów. Większość już wie, że dobre wzornictwo to nie tylko piękne wyciskarki do soków i fikuśne krzesła.

– Pomaga też to, że design jest po prostu praktyczny.

Co ma pani na myśli?

– Pamiętam początek pandemii, kiedy wszystko było takie nagle i przerażające. W zalewie złych wiadomości te, które przychodziły ze świata designu, niosły nadzieję. Było coś pozytywnego w tym całym pospolitym ruszeniu projektantów. Myślałam, że niektórzy dostrzegli wtedy, ile można się od nich nauczyć. Chociażby postawiły, że jak jest problem, to od razu zabieramy się do szukania rozwiązania.

Zmienił się też stosunek polityków, organizacji pozarządowych i innych instytucji do designu – w pandemii zdały sobie sprawę z tego, jaki potencjał w nim tkwi i że warto w niego inwestować. I tak np. wiele projektów humanitarnych związanych z ochroną zdrowia jest w tej chwili finansowane przez fundację Gatesów. Fundacja Open Society finansuje badania Hillary Cottom – jednej z pionierki projektowania społecznego w Wielkiej Brytanii.

Autorki świetnej książki „Radykalna nadzieja. Jak możemy zmienić relacje między nami i zrewolucjonizować państwo opiekuńcze”.

– Właśnie! Latem ukaże się jej nowa książka o tym, jak przeprojektować środowisko pracy.

Dalej, fundacja Nike była jednym z głównych sponsorów Sehat Kahani. Dzięki niej założycielki – Sara i Ifat – mogły ukończyć kurs projektowania.

Jednym z najbardziej krzepiących przykładów praktycznego wpływu designu na politykę jest moim zdaniem doświadczenie holenderskiego architekta Jana Willema Petersena, który pojechał do afgańskiej prowincji Oruzgan sprawdzić, na ile powojenna odbudowa regionu przeprowadzona

i hojnie dotowana przez holenderski rząd była sensowna i skuteczna.

Inwestycje były ogromne – wybudowano nowe drogi, postawiono szkoły, meczety, fabryki, szpitale, a nawet lotnisko. Chcąc się dowiedzieć, na ile odpowiadają one realnym potrzebom, Jan Willem przeprowadził pogłębione rozmowy z lokalnymi mieszkańcami i ostatecznie wykazał, że tylko 20 proc. obiektów zdało egzamin. Pozostałe 80 proc. albo zostało opuszczonych, albo wymagało poważnych napraw. Głównym powodem były wady konstrukcyjne, które wynikały z tego, że zachodni inżynierowie wojskowi nie znali lokalnego klimatu, geografii, kultury, zwyczajów. Na przykład w budynkach, które potrzebowały płaskich dachów, zamontowano dachy spadziste...

Czytałam też, że nowe, gładkie asfaltowe drogi dla miejscowych przyzwyczajonych do zupełnie innej nawierzchni były zwyczajnie niebezpieczne. Jeździli po nich za szybko, było dużo wypadków. – Ginęli ludzie, w tym dzieci. Lokalni mieszkańcy byli tym tak przerażeni, że nie chcieli tymi drogami jeździć.

Z Oruzganu Jan Willem przywiózł 300-stronicowy, świetnie udokumentowany raport. Najpierw przedstawił go przed holenderskim parlamentem, a później przed Organizacją Narodów Zjednoczonych, w wyniku czego został doradcą holenderskiej armii do spraw rekonstrukcji po konfliktach zbrojnych. Obecnie, po to by uniknąć błędów z przeszłości, szkoli z tego zakresu oficerów z Holenderskiej Królewskiej Akademii Wojskowej. Doradza też NATO i ONZ Habitat.

To wszystko jest dowodem na to, że inteligentne, odpowiedzialne i pomysłowe ćwiczenie projektowe przeprowadzone przez jedną osobę może mieć znaczący wpływ na naszą przyszłość. ●

Z cyklu: za pięć trzynasta

O głęboko praktykujących przy i bez okazji

Skandal alkoholowy jest jak śmierć – jeden człowiek umiera, reszta czuje ulgę i na chwilę zapomina, że problem nie przestaje dotyczyć wszystkich. Dobre zdanie, prawda? Efektowne. Cóż z tego, skoro zbyt oczywiste, by jego autor miał satysfakcję, że je zapisał.

Jarosław Mikołajewski

Opadł kurz po przypadkach polityka, o którym tak naprawdę nie dowiedzieliśmy się, co zrobił, zneutralizowało się rażenie jego nazwiska, funkcji, politycznej przynależności, i już niespecjalnie zajmujemy się problemem, choć nie mamy tytułu, by przestać. A raczej – by nie zacząć zajmować się nim poważnie.

Oto jakiś pijany kierowca – który mógłby przecież być ministrem czy prezydentem – wziął na pokład dziesięć osób, po czym dwie z nich zginęły w wypadku.

Oto ktoś inny jechał wężymkiem po całej szosie, a kiedy go zatrzymano okazało się, że miał 4 promile alkoholu we krwi. Gdzieś ksiądz zabelkotał odpowiadając mszę, gdzieś poseł z trudem doprowadził rozpoczęte zdanie do kropki. I tak dzień w dzień, dzień za dniem, dzień po dniu, noc w noc, a my zastanawiamy się, czy nie powinni-

śmy wyrzucić alkoholu ze stacji benzynowych.

Jak gdybyśmy nie byli społeczeństwem pijaków i alkoholików, głęboko praktykujących przy i bez okazji, i nie wiedzieli jak jest. A jak jest, to powiem unikając barwnych historii, bo jestem zdania, że te podtrzymują jednostronną legendę o urokach picia.

Otóż jest tak, jak opowiedział mi kierowca ciężarówki: przez całą drogę chciałem się napić, jechałem na kacu, więc od początku myślałem tylko o tym, że kiedy dojadę, to się napiję, i na kilka kilometrów przed celem podróży widzę stację, zatrzymuje się, idę siusiui, mijam półki z malpkami, kupuję kilka żeby wypić zaraz po dojechaniu, ale kiedy ruszyłem, pomyślałem, że zaraz dojadę, wódka nie zdąży przeniknąć do krwi, więc piję jedną, drugą, i nagle nie wiadomo skąd pojawił się ten rowerzysta...

Łatwo możecie powiedzieć, że zmyślam to dla celów edukacyjnych jak książd na kazaniu, ale nie. Nie zmyślam. Co najwyżej mogłem pomylić jakieś nieistotne szczegóły (nie rowerzysta, tylko kobieta z wózkiem; nie kilka, tylko kilkanaście kilometrów od celu, itp.) z innymi, których dzysiałki, wciąż takich samych, słyszałem w Oddziale Terapii Uależnień i na spotkaniach Anonimowych Alkoholików.

Ma rację alkoholik, szczerzy i mądry praktyk, jeden z nielicznych, którzy mieli coś do powiedzenia w dyskusjach wokół przypadku nietrzeźwego polityka, że tak naprawdę nikt nie jest w Polsce zainteresowany tym, żeby alkohol zniknął z życia publicznego. Bo – dodam – musielibyśmy sięgnąć głębiej. Do życia niepublicznego. Prywatnego. Intymnego. I przyznać, że, jako uczestnicy i bohaterowie tej naszej wielkiej polskiej kultury, która wciąga na szklane, koliste sztandary Chopina, Kopernika, Mickiewicza, bez „drinka” (słowo-ohyda) jesteśmy bezradni wobec samotnych wieczorów, bezradni po pracy, bezradni w nocnej bezsenności, bezradni kiedy chcemy porozmawiać ze znajomymi albo wyznać miłość.

A jeśli nie przyznajemy się do tego, że pobiliśmy (czasem nie chcąc, ale nie przypadkiem) żonę czy męża, zgwałciliśmy partnerkę czy partnera, syna czy córkę, to tylko dlatego, że nie pamiętamy, że sami nie wiemy co zrobiliśmy albo wiemy, tylko strasznie pragniemy zapomnieć.

Jesteśmy dziećmi trudnej ojczyzny i matczyzny, matki alkoholiczki i ojca alkoholika, matki pijaczki i ojca pijaka (jest różnica, na ży-

czenie tłumaczą to specjaliści), biało-czerwonej jak na przemian blade i pąsowe są twarze pod sklepem monopolowym. Nie nasza wina, ale – jak uczyła mnie mądra Ewa Woydyłło – nasza odpowiedzialność, żeby się dowiadywać jak to się dzieje i co mamy robić. I my naród, dźwigający taki właśnie los, nie możemy twierdzić, że wódka na stacjach benzynowych to nic złego, bo przecież każdy ma wolną wolę i może jej nie kupować.

Bo człowiek uzależniony niekoniecznie ma wolną wolę. Poznałem jednego kapłana, który nie mógł doczekać końca spowiedzi, żeby na znak dany przez znajomego żuła wywiesić na konfesjonale kartkę zaraz wracam, wyjść do kruchty i wypić (celowo nie mówię wyzłopać czy gołnąć, żeby nie podbarwiać) ćwierć litra wódki, po czym wrócić i rozgrzeszać. Lub nie rozgrzeszać. Tylko krzyczeć na staruszki i dzieci, że nie poszły na mszę, i kiedy one myślą, że są czemuś winne, oni po prostu mają nerwy chore od alkoholu. Od tego, że są synami narodu.

Nie jestem terapeutą, więc nie powinienem tego powiedzieć, ale mam taką pokusę, tak właśnie myślę: rodząc się w Polsce, powinniśmy wszyscy od razu poddać się terapii. Bo jeśli nie w domach, to

w szkołach, biurach, kościołach,
na podwórkach, żyjemy w cho-
rych relacjach. Sam jestem win-
ny wielu, i sam jestem wielu ofiarą.
Do dziś mnie, wychowanemu w la-
tach 60-tych w kamienicy z po-
dwórkiem jak studnia, wali serce
ze strachu kiedy słyszę podniesio-
ne głosy za oknami.

Kiedyś trzeba zacząć. Dlaczego nie teraz, kiedy trzeba trzeźwieć wobec rozmaitych skretynień i zezbrodnień? Potrawa to dwa pokolenia, trzy, lecz dzięki mądrym psychologom, których dzisiaj mamy wielu, i mądrym księżom, których wielu nie mamy, a przede wszystkim dzięki temu, że nam samym się zachce, mielibyśmy w końcu szansę, po raz pierwszy od stuleci, wytrzeźwieć. Dostrzec miłość w miłości, być w miłości tej mądrym, widzieć śmierć i nadzieję w śmierci, wosnąć w wosnie.

Na koniec felietonu wróćmy do jego początku i nazwijmy chwilę, w której jesteśmy na poziomie publicystycznym: jeden pijący poseł został napiętnowany z imienia, pijana załoga oddechnęła. Teraz to on jest górą. Ma to za sobą. Dostał szansę. Okaże się głupi lub mądry. Reszta – powiem po sybillańsku – niech drży i spodziewa się tego, czego po sobie nie spodziewa. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34369974

WE WTOREK I W ŚRODĘ W WYBORCZEJ

LECZENIE OTYŁOŚCI

- Przewodnik po lekach na otyłość
Jak działają i jak je brać, żeby dobrze działały?
- Najlepsza dieta przy lekach na otyłość
Jak jeść, gdy stosujesz analogi GLP-1?

[illegible]



FOT. TATIANA KOLESNIKOVA/GETTY IMAGES

W moim życiu próba samobójcza to był jednak dar, trochę jakbym uszedł z życiem z wypadku samochodowego.

Rok 2012, mężczyzna wsiada do windy, ma ze sobą kilkanaście opakowań leków, mocne środki nasenne i litr przeterminowanego jogurtu do popijania. To Niklas Ekdal, znany i ceniony szwedzki dziennikarz, mieszka w najmodniejszej dzielnicy Sztokholmu, zjeżdżał cały świat, ścisłał dłonie wielu prezydentów. Jest w dobrym związku, ma troje dzieci i sporo przyjaciół. Winda zjeżdża do piwnicy. „Na siódmym piętrze mam swoje życie, wprawdzie już pięćdziesięcioletnie, ale mimo wszystko lepsze niż to, o jakim mogłem pomarzyć w dzieciństwie”. Ekdal planuje umrzeć i prawie mu się to udaje.

Rok 2025. Przeżył. Kiedy spotykamy się na sztokholmskim Gamla Stan, jest opalony, bo niedawno wrócił z Ameryki Południowej, pisał o tamtejszych reakcjach na Donalda Trumpa. Jego książka „Jak umarłem i zrozumiałem, że wszystko ma swój sens” właśnie ukazała się w Polsce.

Z NIKLASEM EKDALEM
ROZMAWIA KATARZYNA TUBYLEWICZ

Książkę o depresji i próbie samobójczej zadedykował 1,5 tys. osobom, które co roku odbierają sobie w Szwecji życie. Boję się tej rozmowy.

– Nie ma się czego bać, ale to fakt, że wokół samobójstwa narosło mnóstwo wstydu, milczenia, zawieszonych w powietrzu pytań: „Jak można zrobić coś takiego swoim bliskim, dzieciom?”. Moja książka przełamuje to tabu.

Chciałem pokazać, że o samobójstwie da się mówić inaczej. Ta opowieść była dla mnie częścią procesu wychodzenia z traumy, jakąś rolę odegrała też dziennikarska choroba zawodowa, przymus relacjonowania, no i najbliższym chciałem wyjaśnić, co się ze mną stało.

Zanim zabrałem się do pisania, zapytałem oczywiście, co o tej idei myślą moje dzieci, a one powiedziały, że mam pisać. Dziś, patrząc na to, co się wydarzyło, z dystansu dziesięciu lat, mam wrażenie, że w moim życiu próba samobójcza to był jednak dar, trochę jakbym uszedł z życiem z wypadku samochodowego albo wygrał z rakiem. Wróciłem, przełamałem tabu, opowiedziałem o moim doświadczeniu na niezliczonych spotkaniach autorskich. Do dziś zdarza mi się jednak pomyśleć: po co ja to w ogóle napisałem, to zbyt prywatna historia. Mam jednak nadzieję, że odsłaniając ją, pokazuję innym, że po takiej zapaści można znowu żyć, i to dobrze żyć.

Próbowałem się zabić, bo byłem w depresji. Po prostu. Mam poczucie, że ludzie nadal nie zawsze rozumieją, czym jest depresja, jaki to stan i do czego może doprowadzić. Mam ogromny szacunek i wdzięczność dla psychiatrii, ale uważam, że nawet lekarze nie zawsze rozumieją głęboką depresję. Widzi się jej zewnętrzne symptomy, że pacjent jest pasywny, smutny, wyłączony. Ale depresja może być doświadczeniem wielkiego wewnętrznego stresu. Ja byłem bezwolny, ale jednocześnie czułem narastającą panikę, nie spałem, lykałem masę tabletek, które nie pomagały. Próba samobójcza to wypadek psychiczny, znalazłeś się w tak niepojętym, niemożliwym do zniesienia stanie, że jedynym wyjściem wydaje ci się zasnąć na zawsze.

Piszesz: „Nie wolno odbierać sobie życia. Nawet jeśli zerwie się kontakty ze światem zewnętrznym, będzie to akt przemocy wobec tych, którym przyjdzie zbierać szczątki. Pozostawi się bezlitosny spadek krewnym, którzy zostaną sami z pytaniami. Dobrze to wszystko wiedziałem, zjeżdżając windą do piwnicy, ale nic nie miało już dla mnie więk-

szego znaczenia. Wyłącznie tak mogłem przestać cierpieć, innego wyjścia nie było”. Zwracasz uwagę na etymologię słów. Szwedzkie słowo „själv mord” podobnie jak polskie słowo „samobójstwo” sugeruje agresję. Ktoś dokonał na sobie morderstwa. To nie sprzyja zrozumieniu gestu samobójcy.

– Tak, dlatego często używam zamiennie trochę po szwedzku klinicznego słowa „suicid”. Kiedy moja książka się ukazała, dostawałem wiele zaproszeń na spotkania autorskie od Kościoła Szwecji, bo Kościół ma świadomość, że przyczynił się do wizerunku samobójców jako ludzi godnych pogardy, przez lata traktował przecież samobójstwo jako grzech śmiertelny, agresywny czyn dokonany z własnej woli, który krzywdzi innych. Dziś Kościół widzi to zupełnie inaczej.

Jakiś czytelnik powiedział mi po spotkaniu, że przez 20 lat był wściekły na swojego ojca, że zrobił mu coś takiego, że się zabił. I dopiero dzięki mojej książce zrozumiał, z jakiej rozpacz i bezsilności musiała się wziąć ta decyzja. I że chyba mu wybaczył. Dostałem sporo podobnych listów.

Piszesz o samotności w szwedzkim społeczeństwie jako jednym z czynników sprzyjających samobójstwom, ale ty miałeś dobry związek, przyjaciół i dzieci, a jednak i tak w ukryciu przed bliskimi podjąłeś decyzję o odejściu.

– Szwecja ma największą na świecie liczbę samodzielnych gospodarstw, w dużej mierze dlatego, że po prostu stać nas na takie życie i jeśli chcemy, to wybieramy je, żeby

• Jeśli potrzebujesz pomocy:
Centrum Wsparcia dla Osób Dorosłych
w Kryzysie Psychicznym: tel. **800 702 222**
lub czat: **centrumwsparcia.pl**.
Telefon zaufania dla dzieci i młodzieży:
116 111 lub czat: **116111.pl/czatuj/**

nie musieć się ciągle z kimś układać i spierać.

Jednocześnie przecież wszyscy zawsze potrzebujemy innych ludzi, brak kontaktów socjalnych sprzyja depresji. Może być jednak i tak, jak było u mnie – miałem bliskich i dużą sieć społecznych kontaktów, ale nie pomogło mi to w sytuacji, gdy wstrząśnienie mózgu, którego nabawiłem się podczas gry w piłkę nożną, zaowocowało najpierw symptomami, które uniemożliwiały mi pracę i normalne życie, a potem doprowadziło do depresji, na którą nie pomagały żadne leki.

Być może wpadłem w nią tak głęboko także dlatego, że byłem pracoholikiem uzależnionym od bycia produktywnym. Co ciekawe, moja partnerka była lekarką, znała się na depresji. Ciągłe chodziłem też do lekarzy i terapeutów. Wszyscy mnie pytali, czy nie mam myśli samobójczych, bo o to się zawsze pyta ludzi w takim stanie. Paradoksalnie uczuliło mnie to jednak na to, żeby o tym nie mówić. Myślałam, że mogą mnie przez to zamknąć w szpitalu, a nie chciałem tracić możliwości decydowania o sobie.

Jako człowiek mediów mam zdolność trzymania fasady, no i pewną lekkość werbalną, myślę, że używałem tych narzędzi, żeby ukryć, co się we mnie działo. Moja historia pokazuje więc, że w życiu nie ma żadnych gwarancji i niezawodnych zabezpieczeń. Głęboka depresja może dotknąć każdego i w każdej sytuacji. W tym sensie życie jest bardzo demokratyczne.

Cud przeżycia Niklas Ekdal zawdzięcza pewnemu starszemu policjantowi, który poradził swoim młodszemu koledze, żeby szukali blisko miejsca zamieszkania. Przyjechali natychmiast po tym, jak partnerka Ekdala po powrocie z pracy odkryła, że zniknął. Nie miała wątpliwości, co mogło się stać, żyła w końcu od roku z mężczyzną pogrążonym w depresji. Zadzwoniła na policję i otrzymała natychmiastową pomoc. Policjanci przeszukali razem z nią całą najbliższą okolicę, poszli razem na most Väterbron, bo samobójcy lubią mosty.

Przerwali poszukiwania wieczorem, ale gdy wrócili na komendę posłuchali rady doświadczonego kolegi i wrócili szukać zaginionego jeszcze bliżej mieszkania. Znaleźli, żył. Na czas wylamali drzwi piwnicy. W szpitalu Ekdal przez długi czas lawirował na granicy życia i śmierci, ale udało się go odratować. Potem pomogła terapia, która do dziś jest w powszechnym odbiorze postrzegana raczej jako „kara niż leczenie”. „W filmach

motywacją do zastosowania tej terapii bywa ją psychozy i agresywność”.

Terapią, która pozwoliła ci wrócić do pełni życia, okazały się elektrowstrząsy, a one kojarzą się powszechnie z psychiatryczną przemocą. Zawdzięczamy to w dużej mierze kulturze, m.in. mojemu ukochanemu filmowi „Lot nad kukułczym gniazdem”, w którym – jak piszesz – ludzie w białych fartuchach są „przedłużonym ramieniem władzy” łamiącym niepokorne jednostki.

Dokładnie takie było też moje wyobrażenie, ale to właśnie elektrowstrząsy mnie uratowały, i to nie niosły ze sobą skutków ubocznych, których się obawiałem, np. długotrwałych luk w pamięci. Luki pojawiały się bezpośrednio po zabiegach, ale po całej ich serii paradoksalnie zacząłem sobie przypominać rzeczy, które wypadły mi z głowy po wstrząśnięciu mózgu.

Jestem bardzo wdzięczny psychiatrom za to, że mi pomogli, ale mam też poczucie, że gdyby tę do dziś kontrowersyjną terapię zastosowano u mnie pół roku wcześniej, to nie doszłoby do mojej próby samobójczej. Zaoszczędziłoby mi to sporo cierpienia, mojej rodzinie doświadczenia zbliżonego do śmierci, a państwu opiekuńczemu jakiegoś miliona koron. Mam wrażenie, że elektrowstrząsy są może zbyt rzadko stosowane w terapii depresji i że przyczyną są uprzedzenia wobec tej metody, może nawet jakieś kulturowe mity. Inna rzecz, że jest to także terapia droga, wykonywana w narkozie.

W Szwecji 70 proc. samobójców to mężczyźni, w Polsce proporcja jest podobna. Dlaczego tak jest?

Są na ten temat różne badania, na pewno jest coś w tym, że mężczyźni generalnie są bardziej samotni emocjonalnie. Kobiety mają większą łatwość mówienia o swoich uczuciach, brzmie to jak truizm, ale cóż, to prawda. Pewnie nadal zakorzenione są też przekonania, że mężczyzna ma być silny, że powinien być w stanie utrzymać rodzinę, poradzić sobie. Może z tego powodu męski upadek bywa dla jednostki mocniej odczuwalny? Poza tym nie da się ukryć, że jesteśmy obdarzeni testosteronem i odpowiadamy za większą część problemów tego świata, dlatego, choć nie chcę mówić o samobójstwie jak o akcie agresji, to jednocześnie jest coś w tym, że to mężczyznom łatwiej jest skierować przemoc także względem siebie samych.



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

Czytelnik powiedział mi po spotkaniu, że przez 20 lat był wściekły na swojego ojca, że się zabił. I dopiero dzięki mojej książce mu przebaczył

Aspekt genderowy widać także w samobójstwach powiązanych z aktami terroru, o których opowiadasz w swojej książce, bo temat samobójstwa naświetlasz z różnych perspektyw. Piszesz też o słynnych samobójcach, np. o Marilyn Monroe, i o samobójstwach kolektywnych. Poza tym twierdzisz, że żyjemy w epoce o samobójczych tendencjach. Co masz na myśli?

Cała nasza cywilizacja ma dziś wiele cech autodestrukcyjnych, wręcz apokaliptycznych. Widać to w tym, jak traktujemy ziemię, w gigantycznych dysproporcjach majątkowych, polaryzacji, a także w fali politycznego populizmu, przede wszystkim w tym, co dzieje się w USA.

W tym kontekście bardzo ciekawa i dająca nadzieję jest Polska, z jej społecznym otrzeźwieniem widocznym w ostatnich wyborach. Nie zmienia to faktu, że znajdujemy się w jakimś cywilizacyjnym kryzysie.

O tym akurat nie piszę w mojej książce, ale na pociechę warto pamiętać, że tak potrafią na nas wpływać przełomowe wynalazki technologiczne. Kiedy w XV wieku wynaleziony został druk, to jedną z pierw-

szych książek, która dzięki drukowi została rozpowszechniona, był „Młot na czarownice”. Także ciemny czas polowań na czarownice był bezpośrednio powiązany z technologicznym postępem ułatwiającym nie tylko komunikację, ale też dezinformację. Ludzkość przez jakieś 100 lat doświadczała chaosu. Dziś sytuacja jest jakościowo podobna, teraz dezinformacja szerzy się dzięki internetowi czy portalom społecznościowym i też powoduje chaos.

Miejmy nadzieję, że tym razem szybciej przyjdzie nam się ocknąć. W końcu wszystko dziś dzieje się szybciej. Czy po swoim psychicznym wypadku zaczęłeś żyć inaczej?

Jestem dziś freelancerem, więc trochę inaczej zarządzam swoim czasem, ale i tak pracuję za dużo, bo lubię moją pracę. Znajduję jednak codziennie chociaż 15 minut na jogę. Jednocześnie z perspektywy myślę, że mój młodzieńczy pracoholizm i perfekcjonizm były bez sensu, zwłaszcza wtedy, gdy miałem małe dzieci. Po co był ten pęd? Z drugiej strony i tak nie żałuję niczego, moje życie było dobre na każdym etapie.

Uważa się, że życie staje się często lepsze po tym, gdy człowiek uciekł śmierci. Zgadzasz się z tym?

Coś w tym jest. Życie staje się bardziej intensywne, kiedy było się blisko śmierci. Czujesz częściej wdzięczność, każdy dzień jest darem. Jednocześnie, jeśli to, co najgorsze, już ci się przydarzyło – jak to się stało u mnie – rośnie odwaga, bo naprawdę nie ma już czego się bać.

To pewnie dlatego odważyłeś się napisać o czasie największej słabości, o traumie – do tego trzeba mieć sporo odwagi.

Może i tak, ale wiesz, ja nawet nie uważam tego za traumę, to był po prostu kryzys, z którego wyszedłem. W młodości jako żołnierz ONZ widziałem z bliska śmierć, możliwe, że już wtedy rozumiałem, że zawsze jest blisko. Swoją drogą to, gdybym miał 40 lat mniej, byłbym teraz w Ukrainie. Oni nas tam potrzebują. ●

Niklas Ekdal
„Jak umarłem i zrozumiałem, że wszystko ma swój sens”
tłum. Agata Teperek,
wyd. Kompania Mediowa



OGLOSZENIE PŁATNE

Kraj/34362828



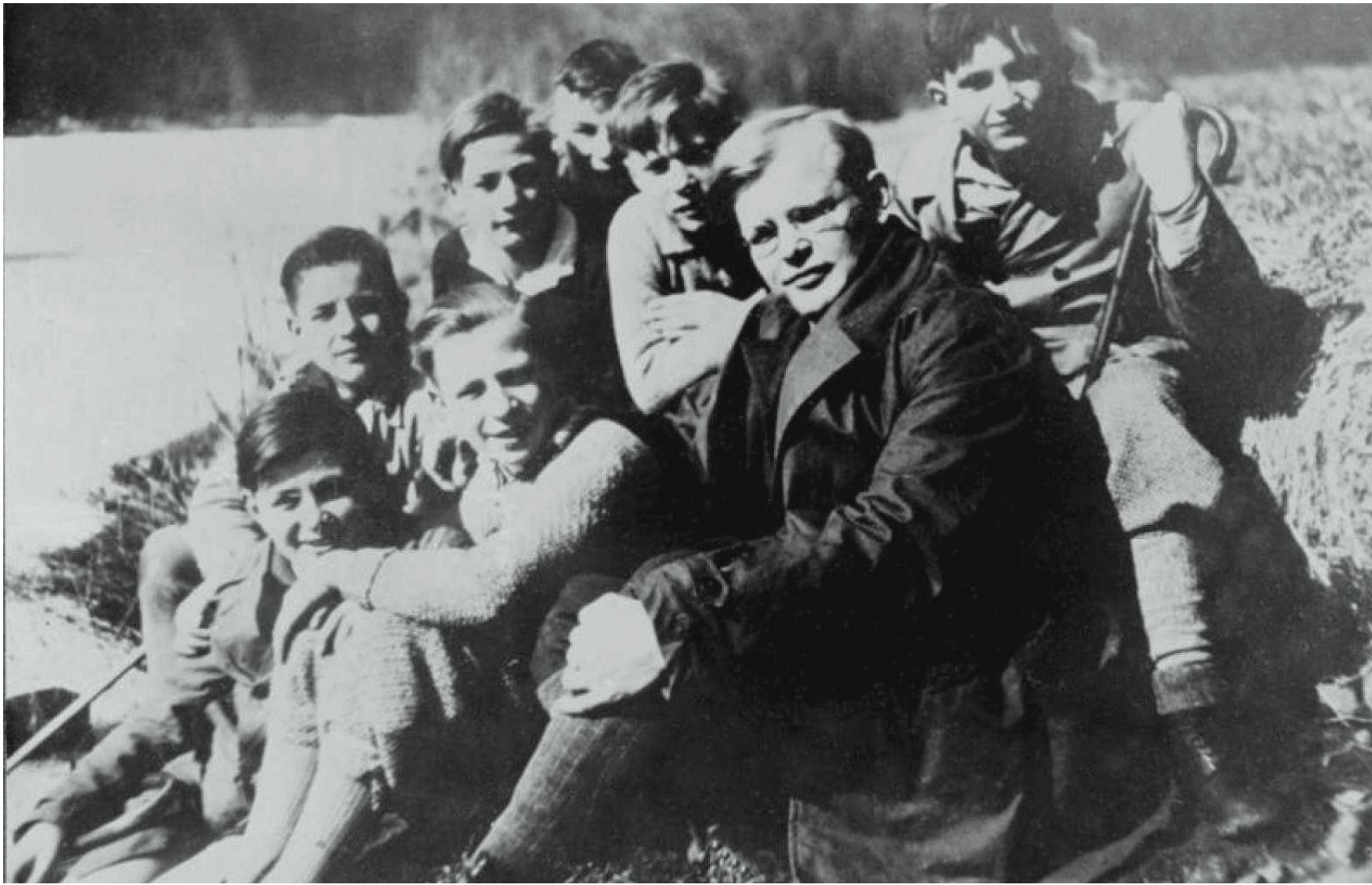
Fundacja
Hospicjum
Proroka Eliasza

Przywróć godność
ludziom u kresu życia
zapomnianym przez świat

PRZEKAŻ 1,5%

KRS 0000 328 837
www.hospicjumeliasz.pl

80. rocznica śmierci Dietricha Bonhoeffera

GDY POCZCIWI
MIESZCZANIE
WKŁADAJĄ MUNDURYPrzeciw złu można protestować, można je demaskować, można mu zapobiec.
Wobec głupoty jesteśmy bezbronni

Anna Wolff-Powęska*

W zbrodniach reżimu hitlerowskiego, ich rozmiarach i charakterze świat dowiadywał się w ciągu kilku dekad od zakończenia wojny, a społeczeństwo niemieckie długo nie było gotowe do wzięcia odpowiedzialności za najnowszą historię. Znikoma była również wiedza nie tylko na temat rozmiarów zbrodni. Do świadomości społecznej z trudem docierała zarówno prawda o sprawcach ludobójstwa, jak i o tych, którzy ryzykując życie, przeciwstawili się z podniesioną przyłbicą totalitarnemu państwu.

Dzisiaj, kiedy zabrakło już naocznych świadków mrocznych czasów III Rzeszy, jakże ważne jest upowszechnienie prawdy głoszonej przez nielicznych, dla których godność i prawa człowieka stały się najważniejszym wyznacznikiem wiary i niezłomności w poczuciu chrześcijańskiej powinności wobec bliźniego niezależnie od jego przekonań, języka czy wiary.

W protestanckich Niemczech narodowy socjalizm miał rzeszę zwolenników w różnym stopniu wyrażających akceptację systemu. Wierni uczestniczący

w ruchu religijnym Niemiec Chrześcijanie, którzy chcieli dostarczać Chrystusowi „dowodu aryjskości”, wyznawali „pozytywną, zgodną ze swą naturą wiarę Chrystusową” i określali się mianem Oddziały Szturmowe Jezusa Chrystusa lub Oddziały Szturmowe Kościoła. Wschodniopruski pastor Ludwig Müller, „niemiecki chrześcijanin”, został osobistym doradcą Hitlera w sprawach Kościoła.

W opozycji do chrześcijan, którzy wynieśli swastykę ponad krzyż, powstała nieformalna grupa duchownych skupionych wokół pastora z Dahlem Martina Niemöllera, którzy utworzyli Kościół Wyznający. Nie uważali siebie za polityczną opozycję, jednak wyrażali sprzeciw wobec wszelkich prób upolitycznienia Ewangelii, politycznych nacisków wewnątrz Kościoła oraz wprowadzenia w życie postulowanego przez Niemieckich Chrześcijan paragrafu o pochodzeniu aryjskim, którego celem było wykluczenie chrześcijan żydowskiego pochodzenia ze wszystkich kościelnych stanowisk.

W pierwszych powojennych latach niemożliwe było uhonorowanie nielicznych przecież bohaterów ruchu oporu. Jeszcze w latach 50. zeszłego wieku emigranci utożsamiający się ze sprzeciwem wobec reżimu hitlerowskiego postrzegani byli w opinii ogółu jako zdrajcy. Dopiero pod koniec lat 50. niektóre środowiska zaczęły się identyfikować z tradycją oporu.

To młodzież, w dużej mierze dzięki oddziaływaniu dzienników Anny Frank oraz wspomnień Inge Aicher-Scholl o [konspiracyjnej, antyhitlerowskiej] Białej Róży, mierzyła się wewnętrznie z wiedzą na temat obozów koncentracyjnych, z realiami ludobójstwa, próbując zrozumieć rzeczywistość najnowszej historii.

Podział Niemiec sprzyjał podziałowi w sferze oceny i interpretacji tego ruchu. Różną skalę polityczno-moralną przykładano we wschodnich oraz w zachodnich Niemczech. Z pewnym uproszczeniem można mówić o wyodrębnieniu przez historiografię oporu proletariacko-socjalistycznego, chrześcijańskiego o charakterze katolickim i protestanckim oraz konserwatywnego, prusko-arystokratycznego i żołnierskiego.

Rozliczenie z postawą oportunistyczną wobec władzy Hitlera wymagało krytycznego rozrachunku z własnym sumieniem. Tymczasem, jak pisał Henryk Mann, „idealny” typ Niemca w latach 1939-45 oznaczał współlistnienie prywatności i posłuszeństwa. Było to życie podwójne. Historyk Christian Graf von Krockow pisze o podwójnym człowieku z podwójnym sumieniem. A życie podwójne oznaczało osobowość przepołowioną. „To ci właśnie pogrążeni w spokojnej, normalnej, apolitycznej egzystacji

stencji pocziwi mieszczenie przywdziewają mundry i maszerują, odurzeni wolą mocy i jej posłuszni, to poddani sięgający po władzę i ludzie władzy jako poddani”. Biernie uczestniczące masy, świadkowie tej „maskarady zła”, odwracały wzrok.

Friedrich Nietzsche, analizując już pod koniec XIX wieku tego rodzaju psychiczne rozszczepienie, stwierdzał: „Uczynilem to – powiada moja pamięć. – Nie mogłam tego uczynić – powiada moja duma i pozostaje nieublagana. W końcu pamięć ustępuje”.

Tradycję oporu przeciw nazistowskiemu państwu przywłaszczały sobie zarówno środowiska lewicowe, jak i prawicowe. NRD postrzegała siebie jako spadkobierczynię robotniczej antyfaszystowskiej opozycji. Wskutek nacisków stowarzyszeń kombatanckich w NRD zaczęto od 1957 r. obchodzić rocznicę założonego jeszcze w czasie wojny Narodowego Komitetu Wolne Niemcy. Racją stanu NRD stał się antyfaszystowski, robotniczy ruch oporu wobec nazistowskiego państwa. To nie Żydzi wysyłani do gazu, lecz komuniści, którzy stracili życie w wyniku prześladowań w III Rzeszy, uznani zostali za ofiary hitlerowskiego reżimu.

Demokratyzujące się Niemcy szukały w odwoływaniu się do ugrupowań antyhitlerowskich źródeł

Bonhoeffer w liście do brata: „Są rzeczy, dla których warto się zaangażować. Pokój i sprawiedliwość społeczna, czyli Chrystus, są czymś takim”

legitymizacji dla nowego państwa. Różne były cele uczestników uroczystości upamiętniających te wydarzenia. Jedne ugrupowania szukały wsparcia na arenie międzynarodowej, inne chciały się rozprawić mentalnie i politycznie z hitlerowskimi aktami bezprawia. Do dzisiaj kultuwyje się pamięć nieudanego zamachu na Hitlera 20 lipca 1944 r., który stał się dla późniejszych pokoleń symbolem innych, lepszych Niemiec.

W zorganizowanym konserwatywnym kręgu opozycji przeciw reżimowi Hitlera brały udział osoby cieszące się autorytetem i mające fachową wiedzę. Byli to m.in.: szef Sztabu Generalnego Armii Łądowej Ludwig Beck i były nadburmistrz Lipska Carl Goerdeler, byli politycy socjaldemokratyczni jak Julius Leber i Teodor Hubach, byli szefowie związków zawodowych, m.in. Wilhelm Leuschner i Jakob Kaiser. Sprzeczne tradycje reprezentowali ludzie z kręgu Krzyżowej skupieni wokół prawnika hrabiego Helmutha Jamesa von Moltkego i jego przyjaciela Petera Yorcka von Wartenburga.

Główną rolę w zamachu 20 lipca 1944 r. na Hitlera odegrał Claus Schenk von Stauffenberg. Jego opinia o Hitlerze wahała się między podziwem a pogardą.

W połowie września 1939 r. pisał z Polski do swojej żony: „Ludność to nieprawdopodobny motłoch – bardzo wielu Żydów i bardzo wielu mieszanców. Naród, który dobrze się czuje wyłącznie pod knutem. Tysiące jeńców dobrze przyczyniali się naszemu rolnictwu. Z całą pewnością będzie można ich wykorzystać w Niemczech jako pracowitych, chętnych i niewymagających robotników”.

Jeszcze w dniu nieudanego zamachu na Hitlera Stauffenberg i współuczestnicy spisku – Friedrich Olbricht, Albrecht Ritter Mertz von Quirnheim i Werner von Haef ten – zostali rozstrzelani. Henning von Tresckow, generał Wehrmachtu, popełnił samobójstwo.

Ten ostatni jako szef sztabu 2. Armii podpisał rozkaz wywozu dzieci słowiańskich do III Rzeszy w ramach operacji „Heuaktion”. Po nieudanym zamachu na Hitlera w Gierłoży powiedział: „Uważam Hitlera nie tylko za największego wroga Niemiec, ale i całego świata. Jeżeli za kilka godzin stanę przed sądem Bożym, aby zdać sprawę ze swoich czynów i zaniedbań, co do mojej walki z Hitlerem będę miał czyste sumienie. Tak jak ongiś Bóg obiecał Abrahamowi, że nie zniszczy Sodomy, jeśli znajdzie się w niej choć dziesięciu sprawiedliwych, tak i ja mam nadzieję, że przez wzgląd na nas Bóg zachowa

wa Niemcy. Nikt z nas nie ma w obliczu swej śmierci prawa do skargi. Kto przystąpił do naszego grona, założył koszulę Dejaniry. Moralną wartość człowieka można oceniać po tym, czy jest gotów za swe przekonania oddać życie”.

Kolejny z uczestników spisku, hrabia Ulrich Wilhelm Schwerin von Schwanenfeld, biorąc na siebie odpowiedzialność podczas procesu przed Trybunałem Ludowym, jako motyw swego działania podał „wiele mordów w Polsce”. Hrabia Peter Yorck wyjaśniał: „Istotą tej sprawy jest to, co łączy wszystkie te kwestie: roszczenia państwa o wyłączność w stosunku do obywatela przy jednoczesnym odrzuceniu jego religijnych i moralnych powinności wobec Boga”. Hans-Bernd von Haef ten, radca w MSZ i starszy brat Wernera von Haef tena, wstawiając się za przyjaciółmi, powiedział: „Zgodnie z moim poglądem na temat dziejowej roli wodza mniemam, że jest on wielkim wykonawcą dzieła złego ducha”. W akcie zemsty za udział w spisku przeciw Hitlerowi wykonano około 200 egzekucji.

Podczas obchodów 37. rocznicy nieudanego zamachu na Hitlera Emmi Bonhoeffer, szwagierka Dietricha Bonhoeffera, oceniła, że ruch ten miał wymiar egzystencjalny. Stwierdzała:

„Ruch oporu wobec Hitlera był zawsze w równej mierze rezultatem moralnego protestu oraz politycznej kalkulacji. Moralny protest skierowany był przeciw pełnemu pogardy dla ludzkiego życia cynizmowi Hitlera i jego rządu, przeciwko agresji na sąsiednie państwa, prześladowaniu Żydów wraz z piekłem ich zagłady. Polityczne rozważania koncentrowały się wokół spustoszenia w dziedzinie prawa, procesów powstawania dyktatury i budowy nowego państwa po upadku Hitlera, które nie może powtórzyć błędów Republiki Weimarskiej”.

Badacze dziejów niemieckiego ruchu oporu uwzględniają różnorodne motywy jego działania. Istotne są przy tym pytania o podstawy etyczne i religijne ruchu, o wpływy na niemieckie społeczeństwo, na wizję i przyszłość państwa niemieckiego. Mimo iż ruch oporu nie jest niczyją własnością, pojawiały się różne strategie jego zawłaszczania i upamiętniania. Na tle ogólnego dopasowania się obu Kościołów do realiów reżimu hitlerowskiego wyróżniała się postawa nielicznych, dla których przynależność do wspólnoty chrześcijańskiej stanowiła fundament moralności i odpowiedzialności za innych.

Evangelicki teolog, myśliciel i uczony Dietrich Bonhoeffer wierzył w przewyciężenie totalitaryzmu bez użycia siły. Był inspiracją dla polskiej opozycji demokratycznej w czasach PRL-u. Tadeusz Mazowiecki nazwał go „chrześcijaninem sytuacji powikłanych”, w którego postawie poszukiwał potwierdzenia dla wartości uniwersalnych, wskazywał, „jakie znaczenie ma walka o podstawowe wartości toczona w sytuacji skazującej na niepowodzenie oraz w jaki sposób braterstwo ludzkie skupione wokół tych wartości może być zakorzenione w wierze i postawie chrześcijańskiej”.

Rezultaty działań opozycji w Rzeszy hitlerowskiej były nikłe. Pokonanie hitlerowskiego państwa nie byłoby możliwe bez zwycięskich aliantów. Mimo różnych prób stronniczego upolitycznienia ruchu oporu przeciw nazistowskiemu państwu to dzisiaj ważna część zbiorowej pamięci Niemców, a świadomość ta to ważny element ich demokratycznej tożsamości.

Niemiecki badacz ruchu oporu w III Rzeszy Peter Steinbach zwraca uwagę na fakt, że opór przeciwko odgórnym naciskom skierowany był nie tylko przeciwko państwu: „Kto nie posiadał umiejętności dawania w stosownym czasie odporu uwydatniającym się w społeczeństwie niebezpiecznym trendom czy przekonaniom, ten nie będzie miał szansy na zorga-

nizowanie opartego na kryteriach prawa i humanitarnego ruchu”. A dawanie odporu wymagało niezależności sądów i cywilnej odwagi. Liczyła się walka o sprawiedliwy porządek w praworządnym państwie, możliwość kontroli państwa, na której wspiera się bezpieczeństwo jednostki.

Przewyciężenie podwójności życia i sumienia w warunkach III Rzeszy wymagało czegoś więcej niż deklaracji. Na znaczeniu zyskiwała odwaga bycia moralnym.

Eberhard Bethge, wydawca i biograf dzieła Dietricha Bonhoeffera, przekonywał, że liczył się nie tylko opór przeciw państwu, nie tylko walka ze znakiem swastyki, lecz również z symbolizowanym przez niego światopoglądem, karykaturą norm moralnych. Działalność Bonhoeffera traktował on nie tylko jako formę obywatelskiego protestu, lecz bardziej jako wyraz odwagi cywilnej i postępowania zgodnego z własnym sumieniem w interesie miłości bliźniego, sprawiedliwego porządku i w poczuciu „niewymuszonej odpowiedzialności”.

Dietrich Bonhoeffer (rocznik 1906), szóste z ośmiorga dzieci Karla Bonhoeffera, profesora neurochirurgii i psychiatrii, oraz Pauli z domu Hase, córki i wnuczki teologów, wybrał drogę naukową. Studia i rozliczne podróże uwarściły go na nierówności społeczne, rasizm, wszelkiego rodzaju wykluczenia i poniżenia.

Zaangażowany w ruch ekumeniczny od początku koncentrował się na kwestiach etycznych. Krytyczna postawa wobec sytuacji Kościołów oraz propagandy nazistowskiego państwa naraziła go na szykany władzy. Już w 1936 r. odebrano mu prawo do prowadzenia seminariów na wyższych uczelniach. Wobec zakazu wystąpień publicznych wybrał drogę opozycji.

Najważniejsza część jego twórczości przypadła na lata więzienia. Dwa lata (1943-45) wyczekiwanie na egzekucję poświęcił na przemyślenia, dokonanie bilansu życiowego (wyrok został wykonany 9 kwietnia 1945 r.). Pozostawił spuściznę: teksty kazań, pomezję, korespondencję, która uczy pokory, a jednocześnie zawiera wielką dawkę optymizmu, pokazuje, do czego jest zdolny człowiek w sytuacji granicznej.

W więziennych rozmyślaniach skoncentrował się na podstawowych, uniwersalnych wartościach rozpatrywanych w kontekście aktualnej sytuacji politycznej i społecznej w Niemczech. To właśnie w więzieniu osiągnął taki stan wewnętrznej suwerenności, która pozwoliła mu przewyciężyć lęk przed prześladowcami. „Nie okoliczności zewnętrzne, ale my sami stanowimy o tym, czym będzie nasza śmierć, czym może być: śmiercią za naszym przyzwoleniem”.

Władza jest tym obszarem życia, który uwydatnia wielkość i małość człowieka. Bonhoeffer podchodził do niej pod kątem odpowiedzialności człowieka. „Pojęcie odpowiedzialności samej w sobie – pisał – ma też tylko o tyle sens, o ile mówi o odpowiedzialności, jaką dostrzegam jako człowiek, a więc dlatego, że jestem człowiekiem. Osobista odpowiedzialność jest w gruncie rzeczy odpowiedzialnością wobec człowieka, a to znaczy – wobec ludzkości”.

I jeszcze: „Odpowiedzialność występuje jedynie wtedy, kiedy doskonale oddajemy własne życie drugiemu człowiekowi. Tylko człowiek bezinteresowny żyje odpowiedzialnie, a to znaczy, że tylko człowiek bezinteresowny żyje”.

Wbrew otaczającej go rzeczywistości szukał źródeł optymizmu, aby mieć siłę, by się z tą rzeczywistością zmierzyć. Optymizm dawał mu nie tylko nadzieję, ale i umiejętność znoszenia porażek. Odwaę cywilną definiował jako „nieodzowność wolnego, odpowiedzialnego czynu”. Po przejęciu władzy przez nazistów obserwował zaślepienie, które zagłuszało głos sumienia. Dyktatura ograbia ludzi „z ich wewnętrznej niezależności”, a on chciał wierzyć w „immanentną sprawiedliwość”.

Za niebezpiecznego wroga człowieka uważał Bonhoeffer głupotę. Postrzegał ją nie tyle jako defekt intelektu, ile raczej charakteru.

„Przeciw złu – pisał – można protestować, można je demaskować, w razie potrzeby można przemocą mu zapobiec. Zło obarczone jest zawsze zarodkiem samozagłady, gdyż pozostawia w człowieku co najmniej niesmak. Wobec głupoty jesteśmy bezbronni (...). Trudno ją zwalczyć, bo do głupca nie trafiają żadne argumenty; głupota bowiem jest stanem zaślepienia i zniewolenia. Może ją przewyciężyć tylko aktem wyzwolenia.

◀ **Dietrich Bonhoeffer, niemiecki teolog, członek protestanckiego antyhitlerowskiego Kościoła Wyznającego. Na zdjęciu: ze studentami wiosną 1932 r.**

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wiara pozwoliła mu zachować spokój w obliczu śmierci. „Nie heroizujemy śmierci, na to życie jest dla nas zbyt wielkie i drogie. (...) Lęk o życie jest nam znany... Życie jeszcze kochamy, ale sądzę, że śmierć nie może już nas zaskoczyć”; „Nie okoliczności zewnętrzne, ale my sami stanowimy o tym, czym będzie nasza śmierć, czym może być: śmiercią za naszym przyzwoleniem”.

Odwaga cywilna wymaga odpowiedzialnego czynu wbrew rozkazom i obowiązkom. „W miejscę odwagi cywilnej mamy do czynienia albo z nieodpowiedzialnym brakiem skrupułów, albo z dręczącą skrupulatnością sumienia, która nigdy nie prowadzi do czynu. Ona sama może wyrosnąć z poczucia odpowiedzialności wolnego człowieka”.

Wierzył w „immanentną sprawiedliwość”. Odrzucał i wiedział, co to ślepe posłuszeństwo. Chrześcijanin nie może obojętnie przyglądać się złu. Cierpienie innych winno zmuszać chrześcijan do czynu.

Bonhoeffer był wyrazicielem troski, by z powodu oporu nikt nie ucierpiał. Dlatego wzywał współtowarzyszy w ruchu oporu, aby wyzwolić się z pogardy wobec przeciwników. Optymizm był dla niego „siłą życia, siłą nadziei, tam gdzie inni rezygnują, siłą, która pozwala nosić wysoko głowę, gdy wszystko zdaje się zawodzić, siłą, która pozwala znieść ciosy, siłą, która nie pozostawia nigdy przyszłości wrogom, lecz wykorzysta ją dla czynienia dobra”.

Pisał na Boże Narodzenie 1942 r.: „Ostatnie odpowiedzialne pytanie jest nie: jak ja heroicznie wyjdę z afery, lecz jak przyszłe pokolenia mają żyć”. W nowej więziennej sytuacji stawiał pytania: Kim jest dla nas dzisiaj Chrystus? Co dzisiaj jest w wierze dla nas akceptowalne? Co znaczy, że Bóg jest panem świata?

Rodzina Bonhoefferów zapłaciła najwyższą cenę za swoją bezkompromisowość. Straceni miesiąc przed zakończeniem wojny zostali: brat Dietricha Klaus, doradca prawny niemieckiej Luftwasy, dwaj szwagrowie: Hans von Dohnanyi, szef politycznego oddziału w sztabie Canarisa, odpowiedzialny za obronę, oraz Rüdiger Schleicher, szef prawnego oddziału w Ministerstwie Lotnictwa Rzeszy. W kwietniu 1945 r. straceni zostali w obozie koncentracyjnym we Flossenbürgu: gen. mjr Hans Oster, współpracownik Canarisa, sędzia wojskowy dr Karl Sack, gen. Friedrich von Rabenau i kpt. Ludwig Gehre.

Wojnę przeżył ojciec Dietricha, Karl. W liście do byłego współpracownika w Bostonie pisał po stracie dwóch synów i dwóch zięciów: można sobie wyobrazić, jakie to wszystko zostawiło na nas, starych ludziach, ślady. I jeszcze: „Minione lata były pełne ciężaru troski o zaaresztowanych i tych, którzy jeszcze nie byli zaaresztowani, ale zagrożeni. Bo my wszyscy byliśmy zgodni co do konieczności działania, tak samo czuli nasi synowie świadomi ryzyka utraty życia w wypadku niepowodzenia. Jesteśmy przytłoczeni, ale zarazem dumni z ich prostolinijnej postawy. Pozostawili wspomnienia z więzienia, które nas i naszych przyjaciół głęboko poruszają”.

Filozof Tadeusz Gadacz, przyglądając się współczesnemu światu, kreśli pesymistyczny obraz człowieka: „Żyjemy w czasach bezwstydu, w których honor już niewiele znaczy, a nawet zastępuje go honorarium. W naszych czasach jedni ludzie giną za wolność, a inni sprzedają ją za bezpieczeństwo. Podważa się podstawowe zasady demokracji, w tym trójpodziału władzy. (...) Tanieje odpowiedzialność”.

Polityka przestaje być służbą publiczną i troską o dobro wspólne, a staje się bezpardonową walką o wpływy i władzę. W wielu krajach dochodzą do władzy błazni. Prawda przestaje być podstawową wartością i płynnie przechodzi w postprawdę, a myślenie w przeciętność i banalność. Mądrość znika na rzecz pragmatycznej wiedzy, a troskę o siebie wypiera chora ambicja, pycha i zawiść”.

Przyznaje jednocześnie, że odpowiedzi na ludzkie niepokoje i pytania trzeba szukać u myślicieli przeszłości. Sądzę, że przemyslenia Dietricha Bonhoeffera sprzed 80 lat, pytania o miejsce, rolę i odpowiedzialność chrześcijanina za siebie, innych i świat nigdy nie straciły na aktualności. Stanowią ciągle ważne źródło optymizmu, wiary w lepszą część ludzkiej natury, a jednocześnie pomagają znaleźć odpowiedź na rozterki naszych czasów. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Ryszard Krynicki*

Podróż pośmiertna (III)

Pewnego pięknego poranka
także i ty możesz nagle wyjść z domu,
aby doń nigdy nie powrócić,

z domu, którego nigdy nie miałeś.

Może obudzisz się na Dworcu Centralnym w Warszawie,
mieście, w którym jeszcze dwadzieścia kilka lat temu
dziesięć szczurów zastępowało jednego mieszkańca
a obecnie polichlorek winylu zastępuje stal,
jeden mieszkaniec zamieszkuje drugiego mieszkańca,
trzeci czwartego (i odwrotnie), na dworcu miasta,
w którym nie ma ludzi niezastąpionych, na dworcu,
z którego, jeżeli wierzyć ostrzegawczym napisom
„Wyjścia (i także tego napisu już) nie ma”,
może przed bramą zakładu,
w którego murach, obok ofiar grudniowej tragedii,
dogorywa, nienarodzona jeszcze całkowicie,
lecz już w ramach terapii poprzez sztukę
rysująca projekt własnego nagrobka
nasza wspólna publiczna tajemnica;
może na placu czerwonym
od krwi czerwonych, białych, szarych, niezidentyfikowanych
(ale wszystkich jednak bezbronnych)
którą pedantycznie zasypano piaskiem
(tego piasku także już nie ma: przysypały go śniegi,
wywiał wiatr, rozwłóczyły deszcze);
może przed peryferyjnym hotelem robotniczym
naprzeciwko którego umieszczono hasło:
„Prasa toruje postęp”
z opuszczoną w drugim słowie literą „o”;
może w teatrze na współczesnej komedii,
kiedy oszalała aktorka
(w tym samym czasie, kiedy czołgi wyruszają w określonym
kierunku
torując postęp zaprzyjaźnionej nienawiści
w imię spokoju i bezpieczeństwa szarego od kurzu obywatela,
który w każdej chwili może stać się celem ruchomym),
usiłuje się uwolnić z płonącego kaftanu bezpieczeństwa
swej powierzchownej skóry,
swojej płytkiej płci, swej głębokiej kłęski
o niewrażliwych wargach;
obudzisz się gdziekolwiek,
zapominając nazwiska, imion rodziców,
miejsca urodzenia i ojczyzny, twarzy fałszywych przyjaciół
pod twoimi kolejnymi twarzami, z piaskiem pod powieką,
z odrętwiałym językiem
i oślepył sercem;
radio może właśnie wtedy podać komunikat
o tym, że wyszedł nagle i dotąd nie powrócił
ktoś ludzaco podobny do ciebie,
co poświadczą pieczętki
w dowodzie osobistego nieistnienia, książeczka
wojskowa (która, jeśli zdarzyło ci się być mężczyzną,
będzie się o ciebie dopominać nawet wtedy,
gdy wszyscy cię zapomną), książeczka oszczędnościowa
straconego życia i osobne ciało kogoś,

kogo nie chciałbyś więcej spotkać,
a z kim nie możesz się rozstać, z ziemi
podniesiesz zdjęcie, które ci wypadło,
zdjęcie obcej kobiety,
uśmiechającej się do twojego cudzego dziecka,
czołgi będą się czołgać w kierunku granicy
przyjacielskiej przemocy,
plakaty na każdym kroku będą cię ostrzegać
przed „Chorobami wenerycznymi w ataku”,
czołgi będą kontratakować, kobietom stworzy się lepsze
warunki pracy w kamieniołomach
najbliższej przyszłości a najmłodszych poetów
ochroni się przed parataksą szerzącą się w poezji;
może będziesz musiał tłumaczyć
przygodnie spotkanym sobowtórom nieznajomych,
że nic ci nie wiadomo o losach nie narodzonej jeszcze
przeszłości, nie mogącej odnaleźć swego kształtu
ani swojego miejsca w naszym życiu, przeszłości–aksolotla,
rodzącej samotnie
po kolejnej skrobance mózgu,
może spotkasz Jana Palacha,
dwudziestokilkuletniego chłopca ze Środkowej Europy,
twojego rówieśnika,
który dobrowolnie spłonął w ruchomym krematorium
pomocy nanoszonej na mapy przyszłych granic
na ostrzach bagnetów, może go spotkasz,
mieszkańca równie tragicznego kraju,
z którego twój ruchomy kraj
przyjął przed wiekami chrześcijaństwo;
może spotkasz dwudziestokilkuletniego Rafała Wojaczka,
który dotąd nie powrócił,
może spotkasz Tadeusza Borowskiego,
Andrzeja Burzę, Marka Hłaskę, których przerosły własne serca,
grzesznych świętych twojej młodości,
kiedy szukałeś prawdy – zamiast zrozumienia,
kiedy szukałeś prawdy – zamiast sprawiedliwości,
kiedy szukałeś prawdy – zamiast nadziei,
kiedy szukałeś prawdy – zamiast wiary,
może rozbawionego Soso Dżugaszwili,
który kiedyś także był dzieckiem
a może Judasza, nieszczęsnego proroka prowokatorów,
którego nikt nie zechciał nawet ukrzyżować,
więc się powiesił na sznurze zajętego poufnego telefonu,
może nie spotkasz nikogo
z partyjnych i bezpartyjnych, wierzących i niewierzących,
może spotkasz robotników z wybrzeży wszechświata
z przestrzelonymi językami,
ze stygmatami na przestrzelonych czołach,
może nie spotkasz nikogo, może cię spotka rozczarowanie,
które nigdy nie zawodzi,
może nie spotkasz nikogo,
kiedy i ty wyjdiesz nagle z domu dziecka, mężczyzny, starca

aby doń nigdy nie powrócić

(18 MARCA 1972; 29 LISTOPADA 1977)



*Ryszard Krynicki - ur. w 1943 r., poeta, tłumacz, wydawca. Zaliczany do pokolenia '68 (Nowej Fali). Sygnatariusz Listu 59 (1975), zbiorowego protestu przeciw zmianom w konstytucji PRL, w latach 1976–80 objęty zakazem druku. Związany z opozycją demokratyczną i działalnością podziemną. W 2021 r. otrzymał za całokształt twórczości Wrocławską Nagrodę Poetycką „Silesius”. Utwór za: Krynicki, „Wiersze wybrane”, Wydawnictwo a5, Kraków 2014.

FOT. MICHAŁ ŁEPECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• Fragment obrazu „Hołd pruski” Jana Matejki z 1882 roku

FOT. MICHAŁ ŁEPECKI
/ AGENCJA WYBORCZA.PL



Przysięga Hohenzollerna

Krytycy hołdu, który 500 lat temu Zygmuntowi Staremu złożył w Krakowie wielki mistrz krzyżacki Albrecht Hohenzollern, twierdzili, że król popełnia błąd. Powinien zniszczyć zakon, a Prusy Książęce przyłączyć do Korony.

Anna Brzezińska

Często spoglądamy na hołd pruski oczyma Stańczyka z obrazu Jana Matejki, zamiast triumfu polskiej monarchii widząc zmarnowaną szansę na przyłączenie ziem krzyżackich do Korony. Na wizję Matejki zapewne wpłynęły „Dzieje Polski” Michała Bobrzyńskiego, historyka popularnego i oceniającego hołd pruski przez pryzmat późniejszej polsko-pruskiej historii i upatrującego w decyzji króla Zygmunta I Starego jednej z przyczyn późniejszego upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej. Jednakże dla dworskiego otoczenia króla Zygmunta sens sceny rozgrywającej się na krakowskim rynku był inny.

Koncept odwiecznej polsko-niemieckiej wrogości był im dobrze znany, bo swoimi monumentalnymi „Rocznikami, czyli kronikami sławnego Królestwa Polskiego” na dobre wpisał go w polską historiografię Jan Długosz, niegdyś wychowawca króla Zygmunta.

Senatorowie, szlachta i członkowie patrycjatu wiedzieli, że na krakowskim rynku stawiał się krnąbrny wasal odmawiający złożenia królowi przysięgi wierności, do czego zgodnie z pokojem toruńskim w 1466 roku był zobowiązany. Zdawali sobie sprawę, że pokonany wielki mistrz rozpętał przeciwko Polsce wojnę 1519-1521 roku i usiłował zmontować anty Jagiellońską koalicję, szukając sojuszników w cesarstwie, Danii i w Moskwie. Z pewnością liczyli, że pokój toruński będzie trwał i zerwie tradycyjne przymierze między krzyżakami i Habsburgami. Ale królewscy dworzanie należeli do społeczeństwa, w którym szanowano więzy krwi. Pamiętali, że przed królem kłęczący jego siostrzeniec Albrecht, syn jego rodzonej siostry Zofii.

NAJMŁODSZY WIELKI MISTRZ

Dla Zofii nie zaaranżowano świetnego mariażu. Jej oblubieniec Fryderyk Hohenzollern był zaledwie drugim synem margrabiego brandenburskiego i elektora Albrechta Achillesa. Po śmierci ojca w 1486 objął władzę we Frankonii, podczas gdy tytuł elektora przypadł jego starszemu bratu. Zofia urodziła mężowi aż 18 dzieci.

Fryderyk, może pod wpływem małżonki, utrzymywał dobre relacje z Jagiellonami, mimo że teść nie przekazał mu posagu małżonki; ostatnią ratę spłacił dopiero Zygmunt Stary, na długo po śmierci Zofii w 1537. Lubował się w dworskim splendorze, łowach, turniejach, hulankach i wojennych eskapadach, które pochłaniały ogromne środki. Zadłużał się, póki najstarsi synowie – już po śmierci Zofii – nie ogłosili go psychicznie chorym i nie uwięzili. Właśnie ten niedostatek sprawił, że aż pięciu z ośmiu synów margrabiowskiej pary przeznaczono do kariery w Kościele.

Królewskie koneksje matki pomogły jednemu z ambitnych braci Hohenzollernów, Jerzemu, zrobić karierę na węgierskim dworze Władysława Jagiellończyka, gdzie został wychowawcą jego osieroconego syna Ludwika II, z której to roli zresztą wywiązywał się fatalnie. Za pośrednictwem Władysława zabiegał Jerzy w 1511 roku o poparcie Zygmunta Starego dla swego brata Albrechta jako kandydata na wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego. Polski król, zdając sobie sprawę z tego, że pochodzenie z rodu Hohenzollernów wzmocni pozycję wielkiego mistrza, a na dodatek ziemie zakonne sąsiadują z brandenburskimi posiadłościami rodziny, utyskiwał na takie wykorzystywanie pokrewieństwa. Zgodę jednak wyraził. 9 lipca 1551 roku Albrecht został wielkim mistrzem, najmłodszym w historii, bo liczącym zaledwie lat 21.

Wśród polskich senatorów od dawna pojawiały się różne projekty rozwiązania problemów z uciążliwym zakonnym sąsiedztwem. Przypominano, że krzyżaków

od dawna otaczają chrześcijańskie kraje, zatem ich misja się wyczerpała. Namawiano ich, by wsparli Polskę w walkach z Tatarami i Turkami w zamian za uposażenie na Rusi Czerwonej. Deliberowano nad przeniesieniem ich na podolskie stepy albo Cypr, by tam wojowali z niewiernymi, lub nad uczynieniem polskiego króla wielkim mistrzem i wcieleniem ziem zakonnych do Korony. Żadna z tych propozycji nie spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem, bo zakon, któremu przewodził Albrecht, mocno odszedł już od idei krucjatowej walki z niewiernymi.

Wdzięczność, jeśli ją Albrecht wobec wuja odczuwał, nie przeszkodziła mu w prowadzeniu ambitnej i antypolskiej polityki. Bez skrupułów wypomniał królowi Zygmuntowi rozliczne krzywdy wyrządzone jakoby zakonowi przez polskich władców, kwestionował traktat toruński, wykorzystując fakt, że nie został on zatwierdzony przez papieża, i wysuwał roszczenia wobec Prus Królewskich. Podczas wojny polsko-krzyżackiej okazał się utalentowanym wodzem i zadał polskiemu wojskom kilka przykrych porażek.

ZA RADĄ LUTRA

Ale nad Bałtykiem wiele się zmieniło od czasów, gdy powstawały tam pierwsze krzyżackie komturie. Odmienne były aspiracje nie tylko zakonnych rycerzy, którzy wiedli coraz bardziej świeckie życie, ale i ich poddanych ponoszących koszty wojennych zniszczeń i wojsk zaciąganych przez Albrechta na wojnę z Polską. Kiedy w maju 1520 stany z własnej inicjatywy zebrały się w Królewcu, burmistrz Knipawy, jednego z królewieckich miast, wypalił do wielkiego mistrza, że jeśli nadal będzie wbrew woli poddanych prowadził wojnę przynoszącą szkody rycerstwu i miastom, to wystarają się oni o innego pana.

Na próżno szukał też Albrecht finansowego wsparcia w cesarstwie. Wraz z zaciężnymi żołnierzami, studentami, kupcami i wędrownymi kaznodziejami szeroką falą płynęły natomiast do Prus nowinki religijne przyjmowane z życzliwym zainteresowaniem przez elity kościelne, świeckie i samego Albrechta.

Już w 1522 roku pod wpływem kazań Andrzeja Osiandra wielki mistrz zaczął się skłaniać ku luteranizmowi. Z samym Marcinem Lutrem spotkał się w Wittenberdze rok później, gdy pielgrzymował po niemieckich dworach w poszukiwaniu pieniędzy na wojnę z Polską. Poprosił wówczas o radę, jak zreformować zakon krzyżacki. Luter doradził, by zrezygnował ze ślubów zakonnych, ożenił się i utworzył nową dynastię, która obejmie panowanie w świeckim otąd księstwie, co dla jednego z wielu synów młodszej i późniejszej gałęzi rodu Hohenzollernów stanowiło oszałamiającą wręcz możliwość.

Albrecht zaangażował się we wspieranie ruchu reformacyjnego. Luter stał się dla niego, jak pisał potem w jednym z listów, „biskupem, papieżem i ojcem”, wielkim autorytetem duchowym i doradcą w sprawach wiary oraz organizacji świeckiego państwa wedle zasad zreformowanej religii.

Jeszcze przed pamiętną rozmową z Lutrem dotarł do Albrechta wysłannik kanclerza Krzysztofa Szydłowieckiego i podkanclerzego Piotra Tomickiego, doradców króla Zygmunta. Zapropomował mu, by zrzekł się urzędu wielkiego mistrza, w zamian zaś król nada mu krzyżackie terytorium we władanie jako świeckie lenno. Wśród polskich elit przeważała bowiem koncepcja federacyjna kosztem planów inkorporacji Prus do Korony forsowanych przez arcybiskupa Jana Łaskiego i jego stronnictwa. Zwieńczeniem wielomiesięcznych rokowań z Albrechtem był właśnie traktat pokojowy podpisany 8 kwietnia oraz ceremonia holdu, która odbyła się dwa dni później na krakowskim rynku.



• **Albrecht Hohenzollern (1490-1568), ostatni wielki mistrz zakonu krzyżackiego. Poniżej król Zygmunt Stary (1467-1548). Oba portrety autorstwa Łukasza Cranacha Starszego**

FOT. (PO LEWEJ): ZE ZBIORÓW HERZOG ANTON ULRICH MUSEUM; FOT. (PONIŻEJ): ZE ZBIORÓW MUZEUM CZARTORYSKICH W KRAKOWIE



Już wówczas traktat oceniano różnie. Architekci porozumienia wychwalali pokój, podkreślając, że zagrożenie na północnej granicy zostało wreszcie usunięte, co było niezbędne ze względu na Turków zagrażających Jagiellonom i całemu chrześcijańskiemu światu. Krytycy twierdzili, że król powinien całkowicie rozgromić zakon, zamiast okazywać łaskę wielkiemu mistrzowi i uczynić go „księciem w Prusiech” oraz dziedzicznym lennikiem Korony. Papieski poseł na Węgrzech posunął się do insynuacji, że polski król jest dobrym człowiekiem, lecz pozwala powodować sobą otoczeniu, a jego doradcy są przekupni.

ZDRAJCA I BANITA

Zygmunt Stary poważnie traktował erasmiański ideał chrześcijańskiego władcy. W obejściu był ludzki i skromny, cenił pokój i niechętnie sięgał po ościenne ziemie, nawet jeśli posiadał do nich zadawnione dynastyczne prawa. Na tle okolicznych władców – cesarza Maksymiliana czy wielkiego księcia moskiewskiego Wasyla III – jawił się jako poczciwiec prosto-duszenie respektujący umowy, splacający długi przodków – takie jak posąg Zofii, matki Albrechta – i dotrzymujący słowa. Jednakże w narzekaniach papieskiego legata zdaje się też pobrzmiwać szczerza przykrość. Krakowski traktat całkowicie zmieniał sytuację polityczną w basenie Morza Bałtyckiego i odbierał papieżowi i cesarzowi jako protektorom zakonu możliwość ingerowania w sprawy polskiej monarchii.

Albrecht zrzekł się bowiem wszystkich przywilejów nadanych mu przez papieża, cesarzy oraz królów i książąt polskich. Oddał się w opiekę polskiemu władcy, ten zaś jako pan i dziedzic całych Prus przekazał mu krzyżackie terytorium w lenno wraz z odpowiednimi uprawnieniami, lecz zachowując nad nim zwierzchnictwo

sądowe. Zygmunt zobowiązywał się do obrony lennika, zaś Albrecht – do służby wojskowej i dworskiej, co zapewniało mu miejsce w senacie oraz prawo uczestniczenia w elekcji królów polskich. Do sukcesji w nowo powstałym księstwie dopuszczono męskich potomków Albrechta, a także trzech – Jerzego, Kazimierza i Jana – spośród jego braci.

Po wygaśnięciu frankońskiej linii Hohenzollernów Prusy Książęce miały zostać wcielone do Korony jako bezdziedziczne lenno.

Ceną za pokój, szansę na stworzenie własnej dynastii i pierwszego w Europie luteranckiego państwa była polityczna izolacja Albrechta. Książę stracił poparcie papieża i cesarza, zyskał za to zajadłych wrogów w niemieckiej i inflanckiej gałęzi zakonu, które nie akceptowały postanowień krakowskiego traktatu. Głównym sojusznikiem i gwarantem bezpieczeństwa Albrechta stała się więc Polska. Zależność ta jeszcze się pogłębiła po tym, jak w 19 stycznia 1532 Albrechta ogłoszono w cesarstwie banitą.

Wkrótce po holdzie Albrecht, realizując radę Lutra, szykował się do ożenku. Kiedy przysięgał wierność Zygmuntowi Staremu, liczył 35 lat, więc zapewnienie księstwu dziedzica stawało się sprawą nagłą. Niestety, cesarska nielaska i fakt, że w wielu niemieckich państwach uchodził za zdrajcę, zakonnika łamiącego śluby i luteranckiego heretyka, nie ułatwiały sprawy. Ostatecznie wybranką księcia została duńska królowna Dorota, córka Fryderyka I, który wobec luteranizmu zajmował stanowisko umiarkowane przychylnie. Pozycja księcia Albrechta była wówczas tak krucha, a jego środki tak mizerne, że jego przedstawiciel Jan von Besenrade kornie zabiegał u pruskich stanów o podatek w wysokości 30 tys. grzywien na niezbędną oprawę wesela. Stany odpowiedziały cierpko, że takich pieniędzy nie ma w całym kraju. Besenrade usiłował tłumaczyć, że nieuposażony i trzymany w biedzie książę weźmie

księżną pod rękę i pójdzie z Prus. Jeden z panów szlachty odpyskował półgębkiem, że on ma konie, żeby księżę nie musiał iść pieszo.

KSIĄŻĘ EPOKI RENESANSU

Podczas całego panowania Albrecht zmagał się z pustkami w skarbie. Wkrótce po holdzie pruskim, 6 lipca 1525 roku, opowiedział się jawnie po stronie reformacji, stanął na czele pruskiego zreformowanego Kościoła i przejął majątek krzyżacki, ale znaczną jego część musiał zastawiać. O powodzeniu pokojowej transformacji państwa zakonnego przesądziły nie tylko interesy pruskich elit – które sprzyjały reformacji i pragnęły w spokoju się bogacić, korzystając z dobrej koniunktury na zboże – ale też jego ogromne osobiste zdolności i energia, z jaką położył podwaliny pod nowe świeckie państwo.

Jeszcze w 1525 ogłosił ordynację kościelną, czyli organizację zreformowanego Kościoła w Prusach Książęcych, i przystąpił do organizacji nowego renesansowego dworu oraz artystycznego i intelektualnego ośrodka, jakim pod jego panowaniem stał się Królewiec. Hojnie wspierał sztuki, fundował stypendia zdolnej młodzieży, zaś w 1541 założył w Knipawie wyższą szkołę i doprowadził do przyznania jej praw uniwersyteckich, tworząc załączek Albertyny. Był zapalonym czytelnikiem o rozległych naukowych pasjach, od astrologii, przez muzykę, po medycynę. Szczególnie interesowały go teologia i wojskowość, której poświęcił trzy traktaty. Lecz podstawowym celem tego wszechstronnie utalentowanego księcia pozostawało utrzymanie Prus Książęcych w rękach Hohenzollernów, uznanie sekularyzacji zakonu przez cesarza i minimalizowanie polskich interwencji w pruskie sprawy.

Nie przeszkadzało mu to dyskontować – nie zawsze skutecznie – dobrych relacji z królewskim wujem. W 1526 roku dostrzegł

np. okazję, by poprawić byt jednego ze swych lichu uposażonych braci. W atmosferze skandalu, wśród plotek o czarach i truciznie, zmarł bowiem ostatni z mazowieckich Piastów, Janusz. Mazowsze pozostało lennem Korony i z braku męskich dziedziców winno być włączone do królestwa. Albrecht zaczął pilnie zabiegać dla swojego brata Wilhelma o rękę mazowieckiej księżniczki wraz z całym księstwem lub jego częścią. Księżniczka oświadczyła, że nie chce wychodzić za cudzoziemca, woli już nawet poślubić kogoś niższego stanu. Albrecht nieszczególnie się tą opinią strapił. W listach do Krzysztofa Szydłowieckiego przekonywał, że każda niewiasta jest zmienna i niedoświadczona i jak jej będą radzić, tak się będzie na małżeństwo zapatrywała, a księstwo mazowieckie musi mieć przecież pana. Negocjacje ciągnęły się długo.

Król oświadczył, że nie da Annie w posagu ani najmniejszej części Mazowsza, tylko 10 tysięcy złotych polskich, czyli dokładnie tyle, ile dostała jej starsza siostra. Nad względami familijnymi przeważał interes państwa: król i senat nie wyrazili zgody na małżeństwo z kolejnym ambitnym synem Zofii Jagiellonki. Nie zdołał Albrecht również zapobiec unii monetarnej z Koroną, mimo że zwlekał w tej sprawie i kluczył, zresztą z pełnym poparciem pruskiego państwa: król i senat nie wyrazili zgody na małżeństwo z kolejnym ambitnym synem Zofii Jagiellonki. Nie zdołał Albrecht również zapobiec unii monetarnej z Koroną, mimo że zwlekał w tej sprawie i kluczył, zresztą z pełnym poparciem pruskiego państwa: król i senat nie wyrazili zgody na małżeństwo z kolejnym ambitnym synem Zofii Jagiellonki.

DOSTAĆ SIĘ DO KRÓLEWSKIEGO UCHA

Mimo zadrażeń i sporów konfesyjnych Albrecht zasadniczo dochowywał wierności Polsce, głównie z konieczności, bo ustawicznie czuł się zagrożony przez cesarza i niemiecką gałąź zakonu krzyżackiego. Było to wyraźne zwłaszcza tuż po hołdzie pruskim, kiedy Albrecht się obawiał, że król z byle powodu może go pozbawić tronu. Polscy dygnitarze podkreślali w 1526, że zabiega o królewską przychylność, odprowadza monarchę do kościoła, a nawet zostaje w środku podczas nabożeństwa – choć twardo nie daje się namówić do ukłęknięcia – i wyczekuje przed królewską sypialnią na posłuchanie, choćby i godzinę.

Później utrzymywał regularną korespondencję z jagiellońskimi krewnymi, wypytywał o zdrowie, przysyłał prezenty i życzenia noworoczne. Nieprzychylni księciu upatrywali w tym zimnej kalkulacji, chyba niezupełnie słusznie.

Osamotniony na arenie międzynarodowej książę wytrwale szukał zbliżenia z Polską i usiłował odgrywać większą rolę w polskiej polityce. Rozumiał, że ułatwiłaby to zażyłość z władcą i dostęp do królewskiego ucha, zwłaszcza że Albrecht mówił po polsku. Szukał także sprzymierzeńców wśród kluczowych dworskich postaci, z kanclerzem Szydłowieckim zawarł nawet akt braterstwa. Lubił być dobrze poinformowany, a jego agent na polskim dworze Mikołaj Nipszyc z upodobaniem przekazywał mu plotki o królewskiej rodzinie, także bardzo złośliwe. Niemniej Albrecht królewskiego wuja naprawdę darzył szacunkiem i jako suzerena, i jako głowę domu jagiellońskiego, do którego przez matkę należał. Dostrzegał jego wytrwałość i ofiarność w wypełnianiu królewskich obowiązków mimo podeszłego wieku i złego stanu zdrowia.

Przed wszystkim jednak Albrecht czuł się uprawniony do zajmowania się sprawami królestwa jako pierwszy senator koronny, zgodnie z traktatem krakowskim stanowiącym, że „na sejmikach, radzie królewskiej i w sejmie ma zajmować pierwsze miejsce, najbliższe przy królu”. Jego starania wspierało stronnictwo habsburskie, którego przywódcy widzieli w królewskim siostrzeńcu potencjalną przeciwwagę dla wpływów królowej Bony. Stronnictwo królowej przeciwnie: podsycalo nieufność do niedawnego wielkiego mistrza, złośliwie przypominając, że dopiero co przedzierzgał się z wilka w jagnię, a jego rozbuchane

Albrecht generalnie dochowywał wierności Polsce, głównie z konieczności, bo ustawicznie czuł się zagrożony przez cesarza i niemiecką gałąź zakonu krzyżackiego

ambicje polityczne nie mają granic. Zausznicy królowej przestrzegali, że jeśli sędziwy król umrze, Albrecht spróbuje objąć regencję w imieniu małoletniego Zygmunta Augusta albo wręcz sięgnie po koronę i na dodatek wprowadzi w Polsce reformację. Albrecht się skarżył, że jako lojalny królewski wasał zasługuje na większe zaufanie, lecz ostatecznie obawy przeważały. 28 stycznia 1532 roku król odmówił księciu udziału w posiedzeniach senatu i elekcjach królów polskich, co notabene było pogwałceniem krakowskiego traktatu.

CO SIĘ STANIE Z PRUSAMI?

Na królewskiej decyzji zaważyła niechęć do luteranizmu i dążenie do ograniczenia jego wpływów w polsko-litewskiej monarchii. Albrecht czuł się protektorem reformacji i usiłował interweniować w sprawie współwyznawców u wuja. Wprawdzie nie wziął w opiekę zbuntowanych gdańszczan, których w 1526 Zygmunt Stary surowo ukarał, ale skutecznie wyprosił uwolnienie kaznodziejów. Ogarnięty prozelickim zapalem samego króla usiłował namawiać na debaty teologiczne. Monarcha, który każdego dnia uczestniczył we mszy świętej i wedle relacji współczesnych cytował obszerne fragmenty Pisma Świętego z pamięci, stanowczo odmówił. Ofuknął siostrzeńca, że będzie się, jak jego przodkowie i święci ojcowie Kościoła, trzymał ewangelii. Protestantyzm uważał za herezję rozbijającą jedność wiary i jeszcze wiele lat później napominał siostrzeńca, że heretyckie sympatie są główną przyczyną jego nieszczęść.

Jednym z tych nieszczęść był bez wątpienia brak męskiego dziedzica. W małżeństwie z Dorotą dochował się Albrecht sześciorga dzieci, lecz jedynie najstarsza córka Anna Zofia dożyła dorosłości. Pruski książę starał się uprzedzić kryzys dynastyczny i zapobiec włączeniu Prus Książęcych do Korony, swatając najstarszą córkę polskiego króla Jadwigę ze swym owdowiałym kuzynem Joachimem II z elektorskiej gałęzi Hohenzollernów.

Liczył, że Zygmunt Stary dopuści zięcia do sukcesji w Prusach Książęcych, ale król się na to nie zgodził. Na dodatek Joachim II objawił się jako luteranin i nawet bezwstydnie poprosił teścia, żeby przesłał mu polskich dworzan – niefortunnie bliskich współpracowników księcia Albrechta – by po polsku objaśnili jego małżonce zasady prawdziwej wiary, bo nie poznała jeszcze wystarczająco języka niemieckiego. Rozsierdził tym starego króla, który wymógł na nim obietnicę, że nie będzie przymuszał żony do zmiany konfesji.

W kolejnych latach polski dwór nadal chętnie korzystał z pośrednictwa pruskiego księcia, by zbierać informacje o kandydatach na mężów dla pozostałych królewskich córek. Sam Albrecht usiłował wyjednać rękę królowny Zofii dla swojego

bratanka Albrechta Alcybiadesa, margrabiego Kulmbach, którego traktował jak przybranego syna i następcę. Lecz śmierć księżnej Doroty w kwietniu 1547 sprawiła, że ożyły nadzieje na rodzonego potomka. Na drugą małżonkę Albrecht upatrzył sobie Katarzynę, najmłodszą i najładniejszą z córek Zygmunta Augusta, liczącą wówczas lat 21.

W SOJUSZU Z KRÓLOWĄ BONĄ

Niestety, jego konkury niefortunnie zbiegły się z konfliktem o małżeństwo Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwiłłówną, który na dobre poróżnił rodzinę królewską. Niechęć do Barbary pojednała natomiast księcia z Boną.

Jeszcze za życia Zygmunta Starego, w 1547 roku, królowa żaliła się Albrechtowi podczas prywatnej audjencji, że dochodzą ją pogłoski o małżeństwie syna z Barbarą Radziwiłłówną. W rozmowie z dworzankami napomylała, że byłaby szczęśliwa, gdyby jej syn zechciał pojąć za żonę tak dobrze wychowane dziecko jak Anna Zofia, jedynaczka księcia Albrechta. Już pod koniec 1546 rajono ją Zygmuntowi Augustowi, acz bez większego sukcesu, gdyż – jak wiadomo – był już wówczas związany z Barbarą.

Kiedy związek Zygmunta Augusta z wojewodziną trocką został ujawniony, książę wydawał się wstrząśnięty i chyba po trochu urażony, że król dla kochanicy nieposiadającej w żyłach ani kropli królewskiej krwi wzgardził jego córką. Nadto po śmierci Zygmunta Starego w kwietniu 1548 czuł się najstarszym członkiem rodu jagiellońskiego, zobowiązanym do przypomnienia zbłąkanemu młodzieńcowi moralnych zasad, które zresztą we własnym życiu respektował. Po ojcowsku udzielił Zygmuntowi Augustowi napomnienia z powodu ożenku bez zgody rodziców i królewskiej rady z kobietą nierówną mu stanem, niecotliwą i niegodną. Jak można się spodziewać, młody zakochany władca przyjął to jak najgorzej.

Zygmunt August podejrzewał, że zagorzali do niedawna wrogowie, Bona i Albrecht, zawiazali sojusz, by odebrać mu żonę albo wręcz doprowadzić do rokoszu i go zdetronizować. Rozumiał, że Albrecht, syn Jagiellonki, zyska na atrakcyjności w oczach szlachty, jeśli na dodatek ożeni się z Jagiellonką. W tamtych czasach pragnął przede wszystkim doprowadzić do uznania jego małżeństwa z Barbarą oraz jej koronacji, w czym miało mu pomóc zbliżenie z Habsburgami, których z kolei książę Albrecht drażnił, wspierając niemieckich protestanckich książąt.

Nie chcąc zrazić pruskiego księcia, Zygmunt August zastosował swoją ulubioną strategię, czyli zaczął przeciągać negocjacje małżeńskie; w przyszłości dworzanie mieli go nazwać „królem dojutrzkiem”.

Wystąpił o zgodę papieża i cesarza, przypominając Albrechtowi, że stary król oddał córki pod cesarską opiekę i obiecał nie wydać ich za mąż bez przyzwolenia cesarza.

Z kolei książę pruski w listach twierdził, że Katarzyna została mu już obiecana – choć nie wyjaśniał przez kogo – i jest mu przychylna. Żeby rozwiać królewskie obawy, wystawił dokument, w którym zrzekał się wszelkich tytułów do dóbr na Mazowszu, gdyby jego „najukochańsza, przyrzeczona mu małżonka” otrzymała je w przyszłości od matki. Zapewniał króla o swojej bezgranicznej lojalności. Nie wydaje się, żeby czynił to wyłącznie z wyrachowania, choć już w 1548 liczył się z możliwością przejęcia tronu polskiego przez Albrechta Alcybiadesa po bezpotomnej śmierci Zygmunta Augusta, a wkrótce potem pojawiały się plotki, że Barbara nigdy nie da królowi następcy, bo jest chora na syfilis.

Na pewno liczył, że 21-letnia królowna urodzi mu dzieci. W listach do królewskiego dworzanina Gabriela Tarły kwieciście opisywał swoją miłość do Katarzyny i twierdził, że jej obraz towarzyszy mu za dnia i w nocy. Mimo to, kiedy Albrecht Alcybiades wycofał się z konkurów, król zaś przypomniał jagielloński zwyczaj nakazujący starsze siostry wydawać za mąż przed młodszymi, książę z rozgoryczeniem przystał na starszą z królewien.

STRACONA SZANSA

Pod koniec 1548 roku papież przysłał odpowiedź, w której wypominał dawnemu wielkiemu mistrzowi złamanie ślubów zakonnych i uzależniał zgodę na małżeństwo od zwrotu ziem krzyżackich i powrotu księcia Albrechta na łono Kościoła rzymskiego, na co z oczywistych powodów nie mógł przystać. Także cesarz odpowiedział, że małżeństwo Jagiellonki z Albrechtem byłoby dowodem, że polskiemu królowi nie zależy na przyjaźni cesarza. Królowa Bona usiłowała jeszcze zabiegać w kurii o zmianę decyzji, lecz bezskutecznie. Dodatkowo wszystko komplikowała ogromna wrogość, jaka zapanowała pomiędzy królową wdową a synem. Król stał się tak podejrzliwy, że zabronił siostronom towarzyszyć matce w podróży do Gdańska, by któraś z nich nie została uprowadzona do Królewca.

W marcu 1549 sekretarz królewski Stanisław Bojanowski wymownie napisał do księcia, że Niemcy mają takie przysłowie: Kein antwort ist auch antwort (Brak odpowiedzi też jest odpowiedź). Książę był człowiekiem pragmatycznym. Miał świadomość, że się starzeje. Pod koniec 1549 zaręczył się z brunszwicką księżniczką Anną Marią. Bezpowrotnie przeminęła szansa na ściślejsze związanie Hohenzollernów z Polską, mimo że w XVI wieku łączyły ich z jagiellońską dynastią więzy krwi i ich tak wiele wspólnych interesów gospodarczych i politycznych, a polski model polityczny pozostawał atrakcyjny dla pruskich elit.

W 1553 roku Anna Maria urodziła Albrechtowi upragnionego syna Albrechta Fryderyka. Już w rok później Bojanowski doradzał księciu, by uczył syna polskiego i przyjmował na dwór Polaków z myślą o przyszłej elekcji, jako że Zygmunt August nadal nie miał potomka. Te szumne plany spaliły jednak na panewce. Albrecht Fryderyk wyrósł na chorowitego, bojaźliwego milczka, u którego z czasem objawiła się choroba umysłowa. Zygmunt August dopuścił do pruskiej sukcesji linię elektorską Hohenzollernów, co później doprowadziło do połączenia Prus, ale nie z Koroną, tylko Brandenburgią. Katarzynę Jagiellonkę wydano za szwedzkiego królewicza Jana Finlandzkiego, także protestanta, lecz różnica wyznania przestała być przeszkodą. Cesarza też już nie proszono o zgodę.

W Szwecji Katarzyna urodziła syna Zygmunta, po kądzieli spadkobiercę domu jagiellońskiego. Na tronie Rzeczypospolitej zamiast Hohenzollernów zasiedli Wazowie. ●

Desa

DYSTRYBUCJA PRESTIŻU



• Wrocław, lata 70. Salon Desy w jednej z kamienic przy placu Kościuszki

FOT. PAP/TADEUSZ
DRANKOWSKI

Do poznańskiej desy regularnie wpadała Maria Koterbska. Zrzuciła futro, brała klucze od serwantek i właściwie sama się obsługiwała

Piotr Korduba

Przekraczając drzwi sklepu Desy przy Rynku Krakowskim srebrzysty dźwięk dzwonka wita w niecodziennym świecie starych przedmiotów, zubożałej arystokracji, podupadłego mieszczaństwa, zbieraczy-hobbystów, turystów zagranicznych, rodzimych dorobkiewiczów – ignorantów i magistrów historii sztuki” – tak w 1967 roku „Prawo i Życie” zagajało reportaż o Desie.

Stare i nowe elity, kolekcjonerzy, nobliwa patyna jakby eksterytorialnego świata z zagraniczną klientelą to zjawiska trudno przystające do obrazu państwowego przedsiębiorstwa doby PRL-u. Tymczasem taka rzeczywistość istniała, naznaczając swymi sklepami – nieprzesadnie nazywanych salonami – największe, a z czasem niemal wszystkie wojewódzkie miasta kraju.

Ten oryginalny handlowo-kulturowy konstrukt powstał 75 lat temu – 3 kwietnia 1950 roku, kiedy minister kultury i sztuki w porozumieniu z ministrem finansów i ministrem handlu wewnętrznego powołał do życia Przedsiębiorstwo Państwowe „Desa” – Działy Sztuki i Antyki. Obok słynnej Cepelii to najbardziej niezwykle zjawisko wśród przedsiębiorstw odpowiedzialnych za dystrybucję sztuki i artystycznych przedmiotów. Desa była synonimem

prestżu, wyrafinowania i zasobności, kluczowym dystrybutorem powojennych resztek narodowych dóbr kultury, przestrzenią snobistycznych i kolekcjonerskich praktyk, wybawieniem dla ubożających i rajem dla bogatych.

KOMIS Z MALCZEWSKIM

Była nie tylko „komisem na antyki” lub „plastykę współczesną”, ale przede wszystkim monopolistą w obrocie dziełami sztuki i antykami realizującym politykę państwa. Już sam „odcinek” działalności, a także resortowa podległość czyniły z niej instytucję kultury. Pozyskiwała dzieła sztuki dawnej i antyki na dwa sposoby: rzadziej nabywając od sprzedających, co dotyczyło przedmiotów rzadkich albo chodliwych, częściej biorąc rzeczywiście w komis tzw. masę towarową. Te pierwsze trafiały na ogół do publicznych muzeów, które miały prawo do ich pierwokupu. Szacuje się, że za jej pośrednictwem wzbogaciły się o mniej więcej 90 tys. obiektów. To, co uznawano za rzadkie, a co za zwyczajniejsze, zmieniało się w ciągu dekad i było wypadkową najróżniejszych koniunktur, począwszy od muzealnych zapotrzebowań i stanu wiedzy historyczno-artystycznej, aż po mody – zbierackie czy urządzenia mieszkań. Do połowy lat 60. nie przyjmowano w ogóle secesji, ale po publikacji słynnej, poświęconej jej książki Mieczysława Wallisa (1967) zaczął się na nią szal.

Desa sama nie penetrowała rynku, eksponaty trafiały do niej właściwie z ulicy przynoszone przez zbywających. Dlatego salony powstawały głównie w miastach wojewódzkich, w tych największych nawet kilka. O nowe salony zabiegali sami wojewodowie, wychodząc z założenia, że poważne miasto ze

starówką musi mieć desę! W 1980 r. istniały w kraju 54 salony, cztery lata później aż 62.

Wstępną decyzję o przyjęciu do sprzedaży dzieła sztuki lub przedmiotu podejmował personel, który rekrutował się spośród dyplomowanych historyczek i historyków sztuki.

Następnie przedmioty trafiały do afiliowanych przy każdej desie komisji wycen i ocen. W ich skład prócz personelu wchodził też eksperci zewnętrzni: przedstawiciele urzędów konserwatorskich i muzeów, w tym narodowych. Często spośród przedmiotów wyłaniali przyszłe muzealne eksponaty.

„Posiedzenia tych komisji to były brakujące na studiach historii sztuki seminaria z rzeczoznawstwa na najwyższym poziomie! Każdy z ekspertów niezależnie, czy był od malarstwa, czy od rzemiosła artystycznego, wypowiadał się i o Malczewskim, i o srebrnej cukiernicy. My, młodzi, uczyliśmy się wtedy od nich” – wspomina Janusz Beger, dawny pracownik poznańskiego salonu Desy.

„NO EXPORT”

Taki mechanizm pozyskiwania i zespołowej, eksperckiej oceny gwarantował realizację państwowej strategii ochrony dóbr kultury. Drenaż prywatnych zbiorów miał po wojnie kluczowe znaczenie dla zasilenia przetrzebionych muzeów w eksponaty, a tych na ziemiach zachodnich w dzieła polskiej sztuki. Upaństwowienie antykwarycznego handlu i jego monopolizacja służyły kontroli, bezprecedensowej w dziejach cyrkulacji dzieł sztuki, którą wywołała wojna, zmiany granic i społeczna rewolucja. Desa, stosując się do zakazu wywozu dzieł sztuki i przedmiotów artystycznych wykonanych przed 9 maja 1945 roku, opatrywała je słynną naklejką „no

export”. Przynajmniej oficjalnie utrudniało to opuszczenie przez nie Polski.

Desa sprzedawała także sztukę współczesną, artystyczną biżuterię i sztukę użytkową, które wystawiano w salonach razem z antykami, a w największych miastach w osobnych galeriach. W przypadku tzw. Desy współczesnej o przyjęciu prac decydował zwykle jej kierownik, a ceny były ustalane z twórcami. Ich sprzedaż pozostawała jednak daleko w tyle za sztuką dawną i antykami. Galerie takie prowadziły również akwizycję, dzięki której do wystroju instytucji publicznych, np. hoteli, domów czasowych czy sanatoriów, trafiały prace współczesnych artystów. Kupowało je także Ministerstwo Spraw Zagranicznych na potrzeby wystroju placówek dyplomatycznych. Najsłynniejszą galerią Desy ze sztuką współczesną był stołeczny „Zapiecek”, a najlepszymi klientami tych galerii goście zagraniczni. Trudno się dziwić, skoro obraz Henryka Stażewskiego kosztował w latach 70. równowartość 100 dolarów amerykańskich.

W 1959 roku powołano także Biuro Handlu Zagranicznego Desy, które zajmowało się eksportem i importem dzieł sztuki współczesnej i dawnej, przedmiotów sztuki użytkowej, kopii, mebli stylowych. W praktyce BHZ Desy przede wszystkim odpowiadało za zakup prac żyjących polskich artystów przez zagranicznych nabywców.

Sprawne działanie tego złożonego systemu wymagało zbudowania społecznego zaufania do Desy. Okresowo malało ono z powodu nadużyć pracowników, a także afer związanych z przemysłem dzieł sztuki. Tak było w początkach lat 70. na fali ujawniania serii przestępstw znanych jako proces Mętlewiczów (1975-76) opisany ostatnio przez Jacka Dehnela w książce „Łabędzie”.

Reorganizacja Desy z 1974 roku doprecyzowała kompetencje przedsiębiorstwa, co wpłynęło na jej renomę, która utrzymała się aż do końca jej funkcjonowania w pierwotnym kształcie, a nawet i później.

RODOWICZ KUPUJE SZAFĘ

Aż po lata 90. regionalna prasa codzienna informowała, co akurat „rzucili” w Desie, a poważniejsze tytuły systematycznie publikowały obszernie materiały o przedsiębiorstwie. „Przekrój” z czerwca 1961 roku dowcipnie dywagował, czy kupić w desie obraz Jacka Malczewskiego, zegar z kurantem z czasów Księstwa Warszawskiego, wazon z delftu z początku XVIII wieku, pasy słuckie, czy w branzowym sklepie Żyrardowa: tkaniny obrusowe, ręcznikowe, leżakowe.

Przedmioty z salonów Desy gościły w rubryce „Wybraliśmy dla Ciebie” słynnego miesięcznika „Ty i Ja”. W 1965 roku na prezenty ślubne doradzano srebrne lichtarze z 1882 roku i lampy naftowe (z instalacją elektryczną za 750 zł, bez – za 550 zł). Janina Paradowska w reportażu z 1982 roku o krakowskiej desie przy ul. Sławkowskiej pisała o kuszących oczy pracach Boznańskiej, Mehoffera, Fałata, Malczewskiego.

Podtrzymanie zainteresowania budowano także, donosząc o wizytach i zakupach celebryckich. W latach 50. Melchior Wańkowicz, bawiąc we Wrocławiu na zjeździe literatów, kupił makatę z Buczacza, odwiedzając Polskę w kolejnej dekadzie siostry prezydenta Kennedy’ego także zaszły do salonu Desy, a Maryla Rodowicz kupiła w nowo otwartej desie w Zielonej Górze w 1979 roku szafę ludową z XVIII wieku, „której co prawda jeszcze nie odebrała”. Do poznańskiej desy wpadała Maria Kotterbska. „Zrzucała futro, brała klucze od serwantek i właściwie sama się obsługiwała. Myśmy jej na to pozwalali” – wspomina Beger.

Sławy Desie przydawali także kolekcjonerzy. Takie środowisko istniało wokół

każdego salonu, za najbardziej rozpoznawalnego uchodził Franciszek Starowieyski. Wiąże się z nim desowska anegdota: gdy Starowieyski zwróci uwagę na jakiś przedmiot, to zwołuje się ponownie komisję wycen i ocen, aby upewnić się, czy poprzednia nie pomyliła się w rozpoznaniu.

Społeczne zaufanie budowano jednak przede wszystkim prasowymi materiałami o tym, jak Desy funkcjonuje, w jakie „skarby” zasilą publiczne muzea, a zarazem jak dobrze jej zawierzyć, bo jej pracownicy gwarantują autentyczność i rzetelne wyceny, a nie czarny rynek i giełdy staroci. Takie działania były konieczne, bo we wczesnych latach jej funkcjonowania krążyła w środowisku anegdota o Desie: Czy tutaj jest komis? – Tak. – A czy są telewizory?

Kolportowano niesamowite anegdoty np. o tym, jak kobieta zobaczyła w oknie desy taki sam wazon, jakim bawią się jej dzieci, turlając go po podłodze. Już tego samego dnia przedsiębiorstwo wypłaciło jej sumę, w którą nie mogła uwierzyć, okazał się to bowiem wyrób Émile Gallé, gwiazdora francuskiej secesji. Albo że dzięki Desie udało się z prywatnych rąk wykupić komodę, którą Stanisław August Poniatowski miał podarować swemu kamerdynerowi Franciszkowi Rychowi. Takich historii były setki.

Prasa zachęcała do odwiedzin salonów Desy choćby tylko po to, by pooglądać, zagadnąć personel o prace i przedmioty. Chętnie publikowano statystyki, np. że przez salon przy Nowym Świecie przewija się rocznie więcej osób niż przez pałac w Wilanowie!

LAMPA NAFTOWA W WIELKIEJ PŁYCIE

W połowie lat 60. prasa pisała o wzroście zainteresowania dawnymi przedmiotami. O ile pierwsza dekada funkcjonowania przedsiębiorstwa skupiała się na szeroko rozumianej „ochronie dóbr kultury narodowej”, o tyle w kolejnych Desy odgrywała coraz większą rolę w kształtowaniu społecznych gustów i elitarnych modeli urządzania wnętrz. Firma miała edukować estetycznie społeczeństwo. Jak to w praktyce wyglądało, pokazuje reportaż o Nowej Hucie z „Nowej Kultury” (1957). Opowiada m.in. o zamknięciu lokalnego sklepu Desy, który powstał, aby mieszkańcy mogli gustownie doposażyć swe mieszkania. Woleli jednak kupować obrazyki dewocyjne, które domorośli artyści wystawiali pod desą po 150-300 zł. Pomysł na salon w Nowej Hucie był oczywiście kuriozalny, bo – jak tłumaczył poznański literat Eugeniusz Paukszta – „Desa odnieśli, jest uroczysta i piekielnie droga”.

Kupowanie choćby pojedynczych przedmiotów w desie było sposobem na przełamanie standaryzacji w urządzeniu mieszkań. Poodwilżowa, a przede wszystkim gierkowska prasa pisała, że remedium na domy z wielkiej płyty, na serjoność rzeczy opatrzonych tylko katalogowymi numerami są sztuka i rzeczy z salonów Desy. To one indywidualizują nasze prywatne przestrzenie. Były więc elementem antymodernistycznych tendencji w kulturze mieszkań i jednocześnie rekwiiztem wyrosłej na tym gruncie kultury retro. Jej najbardziej rozpoznawalnymi akcesoriami stały się lampy naftowe, żelazka z duszą i moździerz. To były najsłynniejsze nasze semiofory – by użyć terminu Krzysztofa Pomiana. Zwyczajnie niegdyś przedmioty, wyrwane ze swego pierwotnego kontekstu, które stały się obiektami domowych „ekspozycji”.

Wizyta w desie była też doświadczeniem zmysłowym. Dziennikarkę „Stolicy” w 1968 roku bardziej niż autorstwo czy ceny ciekawiły dźwięki starych zegarów, patyna sreber, precyzja wykonania mebla, wdzięk porcelany z Baranówki i Korca oraz zjawiający się w nich ostatni przedstawiciel epoki, która odeszła. To właśnie mate-

rialność i patyna, całkowicie odmienne od tej, jaką cechowały się współczesne i na ogół deficytowe wyroby, przydawały „ręczom z desy” szczególnej aury. Widziano w nich łączniki z przeszłością, tak bardzo w polskich warunkach poprzerywaną. „W bibelotach i starzyźnie zawarta jest wiara w sens życia. Fajka misternie wyrzeźbiona w korzeniu jałowca świadczy o ciągłości naszych losów, babcyny fotel daje poczucie zadowolenia, trwałości, stabilizacji”, pisała „Karuzela” w 1965 roku.

Desa zaspokajała popyt zamożnych także na przedmioty i sprzęty użytkowe, których brakowało, np. lampy. Zdarzały się zabawne nieporozumienia – w 1960 roku właścicielka zakładu pogrzebowego poszukiwała w desie staroświeckiego karawanu!

PORTRET PRZODKA

Jerzy Gruza uczynił Irenę Kwiatkowską najbardziej znaną pracowniczką Desy. W kolejnym wcieleniu „kobiety pracującej” sprzedała Karwowskim w 15. odcinku „Czterdziestolatka” słynny portret przodka. Jego kupno przez awansującego na dyrektora inżyniera, zmieniającego wystrój mieszkania dla potrzeb rewizyty innego dyrektora, stało się symboliczną i wizualną ikoną ludowego awansu doby PRL-u.

Serialowa scena była filmowym zapisem od dawna zauważanego zjawiska. Można postawić tezę, że aż do transformacji po 1989 roku to właśnie Desy była dystrybutorem prestiżu, pomagała w budowaniu wizerunku poprzez wystrój i wyposażenie mieszkania. Ograniczona dostępność luksusowych dóbr z Zachodu, a jednocześnie nadprodukcja wyrobów Cepelii czyniły z dawnej sztuki i antyków „kupionych w desie” sposób na podkreślenie zajmowanej pozycji. Były to przedmioty elitarne, bo unikatowe, drogie, pochodzące z innego świata, zarówno technologicznego, jak i społecznego, miały patynę, jakiej udzielały tym, którzy, jak Karwowsy, jej potrzebowali. Paradoksalnie elitarność desowskiej klienteli ugruntowywała peerelowska prasa, pisząc na okragło, że kupują tu zamożni lekarze i adwokaci, kolekcjonerzy, przedstawiciele wolnych zawodów i tzw. prywatna inicjatywa. Nie pisała jedyne, że również elity władzy, a na Górnym Śląsku kopalniane kierownictwo. „[...] handluje się tutaj wyobrażeniami o dobrym tonie, o wyższości nad otoczeniem wynikającym z kupowania dzieł sztuki...” – zauważały trafnie w 1983 roku „Perspektywy”.

„Desa przez 25 lat stała się areną przemieszczania się prestiżu kulturalnego z jednych warstw społecznych do drugih – pisał w 1975 roku tygodnik „Kultura”. – Po prostu Desy była miejscem, gdzie nie tylko majątek ruchomy, ale przede wszystkim splendor dawnych klas posiadających przechodził w ręce nowych ludzi, stanowiących awansowaną elitę nowego społeczeństwa. Można dziś powiedzieć z całą pewnością (o czym w roku 1950, kiedy powstawała Desy, nikt zapewne nie myślał), że bez Desy historyczny proces awansu społecznego byłby procesem niepełnym i niekompletnym. [...] A więc chodzi o tradycję, o historię, o związek z tym, co było. O samopoczucie związane z historycznością i zadowoleniem w nowym statusie społecznym. Desy i pokrewne jej placówki zaspokajają to dążenie w sposób omalże idealny, choć nie wolny od paradoksu”.

Przedmioty do salonów Desy płynęły rzeczywiście od dawnych elit z urodzenia, od starej inteligencji i dawnej plutokracji. Tak było jednak głównie w pierwszych latach jej istnienia, ale wtedy była ona także zasilana przedmiotami z szabru. Z relacji dawnych pracowników wynika, że w kolejnych dekadach znaczną część obiektów dostarczali handlarze, choć wielu z nich było zarazem amatorami tych przedmiotów o nierzadko wybitnej wiedzy. Często

specjalizowali się, oferując np. tylko zegary albo białą broń, inni srebra czy porcelanę. Do końca istnienia dawnej Desy zdarzały się indywidualne i wzruszające okoliczności wyzbywania się przedmiotów z powodu trudnej sytuacji materialnej, braku spadkobierców itd. Kiedyś sprzedawca zegara chciał, aby trafił on do Zamku Królewskiego. Zanim tak się stało, cała rodzina przysłała do desy pożegnać się z przedmiotem. „Razem z pamiątkami klienci sprzedają fragment swego życiorysu” – podsumowywała w 1984 roku kierowniczka salonu Desy przy Nowym Świecie.

NAWIS INFLACYJNY

Monopol Desy nadwątlila w 1974 roku Ustawa o wykonywaniu handlu oraz niektórych innych rodzajach działalności przez jednostki gospodarki nieuspołecznionej. Od tego czasu zaczęły powstawać pierwsze prywatne galerie sztuki współczesnej i użytkowej, ale na wysyp prywatnych antykwariatów trzeba było jeszcze poczekać.

Lata 80. okazały się złotym okresem Desy. Kryzys spowodował, że część społeczeństwa zaczęła się wyprzedawać i do salonów znów trafiały doskonale przedmioty i wybitne dzieła sztuki – prace Jana Matejki, Stanisława Wyspiańskiego, barokowe srebra gdańskie. Kupujących napędzała z kolei ucieczka przed inflacją, a przed salonomi w największych miastach miały się rano ustawiać kolejki jak pod sklepami mięsnymi.

Szefowa łódzkiej desy tłumaczyła w 1989 roku, jak to rodziny wydają swój „nawis inflacyjny” na dawne meble po tym, gdy już kupiły auto, wideo, antenę satelitarną i odbyły podróż zagraniczną. „Dziennik Polski” radził, że jeśli ma się „nawis inflacyjny”, to w krakowskim salonie Desy przy ul. Kupa 2 jest jeszcze kilka sprzętów np. lustro z konsolą za 4 mln. W innych desach już prawie wszystko wykupiono!

Od końca lat 80. przedsiębiorstwo traciło pozycję monopolisty, pojawiało się coraz więcej prywatnych antykwariatów, zaczęto organizować pierwsze aukcje sztuki, za którymi często stały efemeryczne firmy. Prasa wyzłościwała się nad całkowitym nieprzygotowaniem do takiej formy sprzedaży zarówno organizatorów, jak i klientów, wytykając nie tylko brak stosownego młotka aukcyjnego, etole z lisów noszone przez publiczność w letni dzień, ale przede wszystkim źle ułożoną ofertę. Było jednak jasne, że aukcje są przyszłością rynku sztuki i muszą być rzeczywistym regulatorem cen. Zastanawiano się, jak w tych nowych warunkach odnajdzie się Desy skrojona przecież pod zupełnie inny świat: „To nobliwe przedsiębiorstwo będzie zapewne jedynie statystowac zachodzącym zjawiskom...” – niepokoił się dziennikarz „Sztandaru Młodych” w 1989 roku.

W 1991 roku Ministerstwo Kultury i Sztuki podzieliło Desę. Z oddziału warszawskiego utworzono Przedsiębiorstwo Państwowe Desy Warszawska, które siedem lat później przekształcono w spółkę, a następnie sprywatyzowano (ob. Desy Unicorn S.A.). Z części pozostałych oddziałów utworzono spółkę pracowniczą tzw. Desę Krakowską („Desy” Dzieła Sztuki i Antyki sp. z o.o.), która dziś prowadzi osiem salonów w Częstochowie, Gdyni, Katowicach, Krakowie, Kielcach i Rzeszowie. ●

Piotr Korduba

• Instytut Historii Sztuki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Autor zajmuje się kulturą zamieszkiwania, dziejami rzemiosła artystycznego i dizajnu. Aktualnie przygotowuje naukową publikację poświęconą dziejom Desy.

85. rocznica zbrodni katyńskiej

WCIAŻ CZEKALI NA JAKIŚ ZNAK

Siedmioletni Jaś widział, jak ojciec dołączył do kolumny jeńców. Potem zobaczył go jeszcze w punkcie zbórnym oficerów w Równem. Ojciec krzyknął: „Jutro nas gdzieś wywożą!”.

Jacek Kubiak

Jan Madziara, syn zamordowanego w Charkowie majora Jana Michała Madziary, sędziego wojskowego, opowiada, że po wojnie matka przy każdej przeprowadzce starannie pakowała rzeczy ojca. A na nowym mieszkaniu układała je w garderobie, mówiąc: „Przecież musi się w co ubrać, jak wróci”.

Żona rotmistrza Zygmunta Młot-Przepalkowskiego zastrzelonego w Katyniu, matka Jadwigi Feglarskiej, latami słała listy na różne adresy, nawet na Ziemię Świętego Franciszka, z nadzieją, że dowie się czegoś o mężu.

Syn Stanisława Mateckiego, aspiranta Policji Państwowej, jeszcze w latach 60. wysyłał pisma do placówek dyplomatycznych i organizacji Czerwonego Krzyża. Otwierał koperty z kolejnymi odpowiedziami: „Znowu nic”.

Z kolei matka Anny Marii Łuczak-Szczurek krótko po wojnie dostała wiadomość od przyjaciół z Zachodu, że jej mąż, porucznik Bolesław Łuczak, więziony w Starobielsku, najpewniej został zamordowany przez Sowietów. Nie chciała w to uwierzyć, czekała, nigdy – jak większość wdów katyńskich – nie wyszła po raz drugi za mąż.

Historia rodzin katyńskich to właśnie historia czekania na bliskich albo chociaż na jakąś pewną wiadomość o ich losie. Jadwiga, córka rotmistrza Zygmunta Przepalkowskiego, opowiada, jak w 1992 roku wzięła do ręki dokumentację ujawnioną właśnie przez Jelcyna. Otwiera wydruk: Lista z Kozielska, Numer 14, Przepalkowski Zygmunt.

„Zamarłam – mówi, kryjąc twarz w dłoniach – cała zeszytniałam, tak jakbym go w tej chwili właśnie po latach znalazła”.

Potomkowie pomordowanych mają dziś po 90 lat lub więcej. Ale wydarzenia z przedwojennego i wojennego dzieciństwa – migawkowe wspomnienia – przeżywają wciąż intensywnie. Jan Madziara miał siedem lat, gdy kilka miesięcy przed wojną siedział z ojcem

ulicą Garbary w stronę koszar na Cytadeli. Nadchodząca z naprzeciwka kolumna wojska oddawała ojcu honory, salutując i defilując chwilę marszowym krokiem.

„Pękałem z dumy – opowiada – i też salutowałem do uczniowskiej czapki”.

Teresa Szmagier, córka Jana Stanisława Szmagiera, podporucznika piechoty, pamięta, że ojciec, zmobilizowany, już w mundurze – jest koniec sierpnia 1939 r. – ze łzami w oczach śpiewał córkom kołysankę. Władysław Dusiewicz, aspirant Służby Więziennej II RP z Grodzka koło Poznania, miał zawieźć pociągiem grupę internowanych obywateli polskich narodowości niemieckiej do twierdzy w Brześciu. Zabrał rodzinę ze sobą w podróż do tego – zdawało się – bezpiecznego miejsca. Pod Kutnem pociąg został zbombardowany. Rodzina zawróciła, ojciec udał się dalej, by odstawić internowanych. Gdy dotarł do Brześcia, wykonał zadanie i wziął udział w walkach z Niemcami. Ranny trafił do niewoli sowieckiej. Został zastrzelony w transporcie do Ostaszkowa.

MIEDZY BRZEŚCIEM A RÓWNEM

Gdy w pierwszych dniach września aspirant Dusiewicz konwojował internowanych Niemców, w Brześciu był już wspomniany major Madziara i jego siedmioletni syn. Ojciec został krótko przed wojną oddelegowany do Sądu Okręgowego w Brześciu. Latem 1939 matka, nauczycielka, pojechała więc do niego z synem na wakacje, a gdy zbliżał się 1 września, początek szkoły, musiała wracać do Poznania. Nasilały się pogłoski o możliwej wojnie, zostawiła więc syna z mężem w Brześciu, bo „przecież tu będzie daleko od frontu, bezpiecznie”.

A w najgorszym razie w Łucku na Wołyniu mieszka przecież brat ojca i wystarczy poprosić stryjenkę, żeby się dzieckiem zaopiekowała.

Twierdzą ewakuowano koło 13 września, w kierunku południowo-wschodnim. Personel sądu wraz z archiwum wieziono



• **Dobrochna Konrad, córka zamordowanego w Charkowie Stanisława Pełki, porucznika rezerwy, nauczyciela**

FOT. MIROSLAW SKRZYPCZAK DLA POZNAŃSKIEGO ARCHIWUM HISTORII MÓWIONEJ



• **Jan Madziara, syn zamordowanego w Charkowie majora Jana Michała Madziary, sędziego wojskowego**

FOT. MIROSLAW SKRZYPCZAK DLA POZNAŃSKIEGO ARCHIWUM HISTORII MÓWIONEJ

autobusem. Nocami. Bo w dzień były naloty. Znaleźli się w pobliżu przejścia granicznego w Zaleszczykach. Dowódca oświadczył, że kto chce, może się przebrać w cywilny ubiór i przejść na stronę rumuńską. Oficerowie odmówili. Autobus – z majorem Madziarą, synem i ewakuowanym personelem wojskowego Sądu Okręgowego w Brześciu – pojechał więc dalej w stronę Równego.

Nadszedł 17 września. Mijali obozowiska Armii Czerwonej, sowieccy żołnierze grzali jedzenie na ogniskach, przyjaźnie machali. W końcu jednak autobus zatrzymano, broń odebrano, pasażerów dołączono do kolumny polskich jeńców. Ojciec popchnął syna w kierunku jakiejś kobiety stojącej na chodniku, wcisnął mu przedtem do ręki kartkę

z adresem stryjenki w Łucku, walizeczkę z rzeczami oraz jakąś sumę pieniędzy. Chłopiec znalazł opiekę.

Dzień czy dwa dni później siedmioletni Jaś zobaczył jeszcze przez chwilę ojca.

Na terenie parku w Równem stanęło prowizoryczne ogrodzenie, punkt zbórny internowanych oficerów. Ojciec tylko krzyknął: „Jutro nas gdzieś wywożą!”. Wszystko to Jaś opowiedział mamie, gdy odebrała go – dzięki pomocy rodziny z Łucka i uczynności nieznanego jej niemieckiego oficera – w lutym 1940 r. z transportu osób ewakuowanych z sowieckiej strefy okupacyjnej, na granicy Generalnego Gubernatorstwa.

Większość rodzin czekała wciąż na jakiś znak, na wiado-

mość od ojców. W listopadzie 1939 r. nadchodzą pierwsze kartki czy listy z obozów. Lapidarne, cenzurowane przez NKWD. Posterunkowy Policji Państwowej w Pleszewie pisał: „Kochana Żono, donoszę Ci, że jestem zdrow i przy życiu. Przebywam w Rosji w Ostaszkowie. Na odwrotnej stronie jest mój adres. Proszę o szybką odpowiedź. Kochający Cię mąż Dominiczak Jan”.

List mógł być obszerniejszy: „Kochana Stefcu, jestem w Rosji, zdrow i cały, nareszcie mi niczego nie brak. Martwię się tylko, co u Was, co z dziećmi. Do mnie możesz pisać jeden list miesięcznie. Bądź dobrej myśli. Niedługo się zobaczymy. Wszystkich całuję. Kochający Was Tomek” – to porucznik Machczyński. W rodzinie Marii Pateckiej, córki Stefana To-

maszewskiego, majora korpusu Ochrony Pogranicza, wspomina się, że już samo tylko nadejście pocztówki, nawiązanie korespondencji było dla matki „ukojeniem – gdzieś jest, sprawa się rozwiąże, dostał się do niewoli i wróci”.

Wszystkie listy czy kartki z Kozielska, Starobielska czy Ostaszkowa na przełomie lat 1939 i 1940 były sygnałem nadziei, ale nie dawały obrazu rzeczywistego życia więźniów. Świadectwem realiów obozowych są zapisy, jakie udało się znaleźć i ocalić podczas ekshumacji zwłok w Katyniu. Jest to około 60 lapidarnych pamiątek i kilkaset notatek na skrawkach papieru. Podporucznik rezerwy Augustyn Dyjas zanotował w Kozielsku pod datą 7 listopada 1939 r.: „22-lecie rewolucji. Poustawiali transparenty z wyjątkami ustępów konstytucji, w świetlicy kino i akademia”.

Są skargi na chłód, kiepskie jedzenie, wszy i dolegliwości zdrowotne. Ale najważniejsze były powracające sny i myśli o najbliższych. Podporucznik rezerwy Dobiesław Jakubowicz zwracał się 29 października w zapiskach do żony: „Jednak może niedługo Cię, Maryś, zobaczę. Chciałbym, aby to stało się jak najprędzej. Ciekaw jestem, gdzie Ty, kochanie, jesteś, czy zdrowa i czy cała, i jak Bożenka nasza się chowa. Pewno chodzi i mówi może trochę. Dziś spisali dane o żonie: imię, ile ma lat, imię ojca i gdzie jest”.

Administracja obozowa zbierała starannie dane o rodzinach uwięzionych.

GRAF VON SCHULENBURG

Gdy w marcu i kwietniu 1940 r. przestały nadchodzić listy, niektórzy członkowie rodzin sądzili nawet, że to może i dobry znak. Że obozy są w likwidacji i wkrótce przewiozą oficerów do Generalnego Gubernatorstwa, przekażą do niewoli niemieckiej. Oba sprzymierzone mocarstwa – nazistowskie Niemcy i sowiecka Rosja – dokonywały w podbitej Polsce wymiany jeńców, ponad 40 tys. zostało przekazanych z sowieckiej strefy okupacyjnej do Generalnego Gubernatorstwa i kilkanaście tysięcy w drugą stronę.

Józef Czapski, więziony w Starobielsku, będzie należeć do nielicznej grupy ocalałych oficerów, wyjdzie z ZSRR razem z Armią Andersa. Maria, jego siostra, na początku 1940 r. uwierzyła, że już jest szansa na powrót brata. Krążyła pogłoska, że lada dzień pierwsze transporty pojawią się na Dworcu Wschodnim w Warszawie. Polski Czerwony Krzyż – bez wątplenia za wiedzą okupacyjnej administracji – szykował kuchnie polowe na dworcu oraz paczki z ubraniami i lekarstwami. Rodziny wciąż dopytywały.

Maria zaangażowała się w te przygotowania. Pojechała nawet do Terespoła, gdzie uczestniczyła w organizowaniu magazynu medykamentów i żywności przewidzianego dla zaspokojenia najpilniejszych potrzeb powracających natychmiast po przekroczeniu granicy. Polscy i sowieccy kolejarze twierdzili, że repatriacja polskich oficerów zacznie się, gdy tylko zakończą się transporty Niemców wołyńskich przesiedlanych w stronę Niemiec.



• Co roku w kwietniu ulicami wielu polskich miast przechodzą marsze katyńskie. Na zdjęciu marsz zorganizowany w 2023 roku w Kielcach

FOT. PAWEŁ MAŁECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dla bardzo wielu rodzin katyńskich niepewność skończyła się dopiero na przełomie lat 80. 90., gdy Rosjanie udostępnili listy więźniów obozów w Starobielsku, Kozielsku i Ostaszkowie i przyznali, że zbrodni dokonało NKWD

Wkrótce jednak pogłoski ucichły, nadzieje przygasły. Ale z drugiej strony ambasada niemiecka w Moskwie już przedtem otrzymywała – dla rodzin każda metoda szukania bliskich była dobra – dziesiątki listów od Polaków z Generalnego Gubernatorstwa z prośbami o pomoc w odnalezieniu oficerów. Ambasador Friedrich-Werner Graf von der Schulenburg – widzimy go na fotografiach upamiętniających moment zawarcia traktatu Ribbentrop-Mołotow 23 sierpnia 1939 r. – przedstawił Komisariatowi Ludowemu Spraw Zagranicznych listę ponad tysiąca oficerów, domagając się informacji o ich losie.

Argumentował, że do czasu „ostatecznej regulacji” prawnego statusu Generalnego Gubernatorstwa Rzesza Niemiecka jest uprawniona do interwencji w sprawach jeńców wojennych pochodzących z tego obszaru. Sowietci ignorowali żądania przedstawiciela Berlina lub odpowiadali wykrętnie, zażądali na przykład, by imienny spis poszukiwanych oficerów został uzupełniony o ich aktualne adresy w ZSRR. Ambasador w końcu poinformował swoją centralę, że

odstępuje od dalszych wysiłków w tej sprawie.

Graf von der Schulenburg był dyplomatą uformowanym w epoce wilhelmińskiej. Szczery zwolennik sowiecko-niemieckiej współpracy, członek NSDAP, został stracony w listopadzie 1944 r. za udział w spisku na życie Hitlera.

W KAZACHSTANIE

Ojciec pani Dobrochny Konrad Stanisław Pelka napisał, że jest w obozie w Starobielsku. Prosił o przysłanie kaloszy. Zofia, matka, wysłała każdy kalosz osobno, bo tylko tak mogła to zrobić – jako list polecony. Do jednego włożyła kielbasę, do drugiego czekoladę, tak żeby to było nie więcej niż 99 dkg, dopuszczalna waga listu. „I później – opowiada pani Dobrochna – gdzieś przed Bożym Narodzeniem przyszła druga kartka potwierdzająca, że kalosze doszły i że ojciec prosi o nasze zdjęcia, bo »pewnie mu tylko to zostanie«. I mama poszła z nami do fotografa, żeby zrobić aktualne zdjęcia, no i wysłała. Ale myśmy już nie dostali odpowiedzi”.

Rodzice pani Dobrochny byli małżeństwem nauczycielskim spod Terespoła, rodzina po 17 września znalazła się pod sowiecką okupacją. W połowie kwietnia 1940 r. nad ranem do domu przyszło NKWD. Kazali się spakować. W pół godziny. Tylko najniezbędniejsze przedmioty, podręczny bagaż. „Sobirajsja, wy idiecie k mężu”, mówili uspokajając do matki. Matka zdążyła wziąć futra. „Futro ojca, mamy, siostry i moje, takie małe – opowiada Dobrochna. – Ale ja szybko z tego wyrosłam. Więc w Kazachstanie mama chodziła w ojca futrze, siostra w mamy, a ja – w siostry”.

Ponad trzy tygodnie trwała podróż w bydłych wagonach. Na miejscu mieszkali w szopach, a nawet pod gołym niebem przetrzymywani między sowchozami, zimą był jakiś dach nad głową, gotowali na piecyku, matka zbudowała go z jakichś cegieł czy kamieni.

Ale mimo wszystko żyli i byli razem. Matka i dwie córki, Zofia, Dobrochna i Danuta. Aż do tzw. paszportyzacji. Władze sowieckie wzywały zesłanych Polaków, by wręczyć im paszporty, zmusić do przyjęcia obywatelstwa

radzieckiego. Matka zapowiedziała, że nigdy tego nie zrobi, obiecała ojcu, że córki wychowa na dobre Polki. Odmówiła. Trafiła do więzienia. Gdy zbliżała się Wielkanoc 1942, Dobrochnie i Danucie udało się zdobyć dwa jajka. Trzynastoletnia Danuta udała się sama w dwudniową podróż, by te jajka dostarczyć mamie do więzienia. Wkrótce potem Zofia z dwuletnim wyrokiem wywieziona została do łagru. Cudem przeżyła, wróciła z opuchlizną głodową. Wyostały się z Kazachstanu w 1946 r. O ojcu nie wiedziały nic. Ale matka nie miała złudzeń. Pamiętała o rewolucji bolszewickiej. I poznała sowiecki łagier. Mówiła: „Oni ich ukatrupili”.

Deportacje do Kazachstanu objęły w latach 1940-41 ponad 100 tys. Polaków z obszaru Rzeczypospolitej włączonych do ZSRR. Wśród nich setki rodzin oficerów polskich.

ODKRYCIE

Tymczasem w okupowanej Polsce Niemcy ogłosili w kwietniu 1943 r. listę nazwisk oficerów z obozu w Kozielsku, których ciała znaleźli w masowych mogiłach w Katyniu. Propaganda nazistowska nagłaśniała odkrycie na wszystkie sposoby i przez wszystkie przypadki odmieniała frazę o „żydowsko-bolszewickiej zbrodni”. Joseph Goebbels kilkakrotnie pisał o tym w swoim dzienniku: „Rozwój sprawy Katynia jest dla mnie źródłem nadzwyczajnej satysfakcji. Również Führer jest z tego zadowolony. Jest zdania, że musimy tę sprawę bardzo nagłaśniać”.

Był zadowolony z efektów, notował: „Podziwia się nadzwyczajną przebiegłość i zręczność, z jaką umiemy podnieść sprawę Katynia do rangi wydarzenia międzynarodowego”.

Jednocześnie wszelako konstatował z rozczarowaniem: „W Generalnym Gubernatorstwie wrażenie związane z Katyniem nie okazało się, niestety, bardzo trwałe”.

Ogłoszona przez Niemców lista 2,7 tys. nazwisk zidentyfikowanych ofiar drukowana była w godzinowej prasie i odczytywana przez głośniki na ulicach. Mama Jadwigi Fęglerskiej przez kilka dni chodziła z córką pod me-gafony, by się upewnić, czy nie padnie nazwisko ojca, Zygmunta Młot-Przepalkowskiego. I mama codziennie się rozpromieniała: „Jednak żyje, jednak go nie wyczytali”.

Ale i dla wielu, którzy znaleźli na listach nazwiska swoich mężów, sprawa nie była zamknięta: „Czyż można wierzyć Niemcom?”. Matce Teresy Szmagier gadzinówkę ze spisem, w którym było nazwisko jej męża, przyniósł zaprzyjaźniony listonosz. Uwierzyła. Zemdląła. Ale córkom zrazu nic nie mówiła, żeby nie odbierać nadziei.

Sowietci, gdy ich ofensywa dotarła w okolice Smoleńska, jeszcze raz rozkopali doły. Jeszcze raz wydobyli zwłoki. Powołali swoją komisję, która orzekła, że zbrodni dokonali Niemcy „w charakterystyczny dla gestapo sposób, strzałem w tył głowy”. Dla żołnierzy Armii Berlinga zorganizowali nawet mszę na miejscu zbrodni. Tak zaczęło się kłamstwo, jakie zaciążyło na losach tysięcy katyńskich rodzin.

PO WOJNIE

Po wojnie większość rodzin katyńskich nadal żyła w niepewności co do losów ojców. Zresztą matki niekiedy wołały przemiłczeć wiedzę czy przypuszczenie, że mąż zginął. Jadwiga Fęglerska w życiorysie złożonym na uniwersytecie nadmienila, iż ojciec zginął w Katyniu. Ktoś życzliwy jej poradził: „Zmień to, napisz tylko: zginął w trakcie działań wojennych”. Katyń – to był stygmat, piętno. A nierzadko powód do prześladowań. W latach stalinowskich, ale i później, można było dostać wyrok więzienia za samą publiczną wzmiankę o Katyniu, a nawet za podjęcie tematu podczas rodzinnej uroczystości, jeśli ktoś doniósł.

Na początku lat 50. aresztowana została grupka uczniów z Dębna w Szczecińskim za wieszanie w miejscach publicznych ulotki z hasłem: „Katyń to Stalin”. Mimo surowego śledztwa i wyroków do trzech lat więzienia nie zdradzili nazwiska nauczycielki, z którą po lekcjach o Katyniu rozmawiali. Była to Zofia Pelka, która po wojnie wróciła z córkami Dobrochną i Danutą z Kazachstanu. Chłopcy byli kolegami Dobrochny z klasy. Podobnych spraw w PRL były dziesiątki, jeśli nie setki.

Dla bardzo wielu rodzin katyńskich niepewność skończyła się dopiero na przełomie lat 80. i 90., gdy Rosjanie udostępnili listy więźniów obozów w Starobielsku, Kozielsku i Ostaszkowie i przyznali, że zbrodni dokonało NKWD. Można było pojechać

na miejsce masowych grobów i dopiero wtedy rodziny katyńskie mogły naprawdę przeżyć żalobę, pogodzić się ze stratą. Pierwsze grupy wyjeżdżały już w 1989 roku. Na miejscu kaźni widniał napis: „Ofiarom faszyzmu – oficerom polskim rozstrzelanym w 1941 roku”; został zlikwidowany krótko potem przez Rosjan.

Teresa Szmagier z matką pojechała do Katynia z jedną z pierwszych grup, „tam właściwie nic nie było, las i krzyż drewniany”. Zeszłam nad rzekę, chciałam na nią popatrzeć, bo ojciec na pewno też na to patrzył. Ale tam stał ruski żołnierz, zagroził drogę. Podczas powrotu autobusem zaintonowała z matką „Wszystkie nasze codzienne sprawy, przyjm litośnie Boże prawy”. Ale nikt nie podchwycił śpiewu, bo wszyscy plakali. Żeby zrozumieć rodziny katyńskie, ich emocje i ból, trzeba stale pamiętać o tych dziesięcioleciach przemilczeń i przekłamań o tym, że nie mogły one oficjalnie obchodzić żaloby czy opowiadać innym swojej historii, że były ze swym bólem samotne.

Po 1990 r. sytuacja się zmieniła i z czasem można było też odwiedzać inne miejsca kaźni, nie tylko Katyń. Krystyna Barłkowska, bratanica aspiranta Leona Pawłaka, opowiada, jak przybyła wraz z całą grupą do Ostaszkowa. Wspólnie obeszli w procesyjnym pochodzie poklasztorne budynki, gdzie przetrzymywano więźniów. Stamtąd pojechali do Tweru (Kalinin), grupę wpuszczono do dawnej siedziby NKWD, gdzie mordowano jeńców. Katem był funkcjonariusz NKWD Wasilij Blochin. „Pracował” w nocy. Strzelał w tył głowy polskim jeńcom. Blochin ubrany był w skórzaną fartuch, długie rękawice. Strzelał tak, żeby uśmiercić od razu i żeby upływ krwi był możliwie niewielki. Potrafił uśmiercić do trzystu osób jednej nocy. Wojłoki na ścianach miały tłumić odgłosy. Ktoś z grupy rodzin katyńskich otworzył drzwi do piwnicy, gdzie Blochin łącznie zamordował kilka tysięcy osób. To miejsce kaźni było jakimś zaściankiem magazynem. „To było przerażające – opowiada pani Krystyna – składowisko niepotrzebnych przedmiotów, na ścianach wojłoki, czuliśmy w powietrzu zapach krwi. Myśmy się złapali za ręce, wszyscyśmy się modlili”. ●

W Poznańskim Archiwum Historii Mówionej (dział Wydawnictwa Miejskiego Posenania) nagraliśmy w latach 2019-24 blisko 40 filmowych wywiadów z rodzinami katyńskimi. Te relacje są główną kanwą tekstu. Pracowali przy nagraniach (w kolejności alfabetycznej): Zuzanna Białas, Agata Biegaj, Piotr Bojarski, Nicolas Imbert, Jacek Kubiak, Maciej Męczyński, Mirosław Skrzypczak, Beata Użarowska; konsultacje Krystian Bedyński, Wojciech Bogajewski, Piotr Grzelczak, Irena Matuszak, współpraca Instytut Pamięci Narodowej oddział w Poznaniu oraz Samorząd Województwa Wielkopolskiego.

Brzeziecki

W 1829 roku profesor Alexander von Humboldt, wybitny niemiecki przyrodnik i geograf, wyruszył w badawczą podróż po Uralu. Napotkał tam niesamowicie zdolnego młodego człowieka – polskiego szlachcica, choć szlachectwa pozbawionego. Młodzieniec nazywał się Jan Prosper Witkiewicz i aktualnie odbywał karę zsyłki w twierdzy Orskiej, w guberni orenburskiej. Miał tam służyć w wojskowym garnizonie. Czym podpadł władzom carskim? Jak to Polak – konspirował.

Była to gimnazjalna konspiracja w Krożach, uczniowie chcieli się wstawić za osądzonymi już filomatami, założyli organizację Czarnych Braci. Już w Orenburgu przyjaźnił się z Tomaszem Zanem, z którym służył w Komisji Granicznej i dzięki któremu właśnie znamy pseudonim Witkiewicza – „Batyra”. Zsyłkę zawdzięczał senatorowi Nikolajowi Nowosilcowowi. Wszystko to działo się w 1823 roku.

Sześć lat później Humboldt, a także towarzyszący mu Gustaw Rose i Christian Ehrenberg byli pod wrażeniem wiedzy o regionie młodego Witkiewicza. Polak do brze bowiem wykorzystał czas, jaki z konieczności spędził, służąc w twierdzy orskiej. Podczas wypadów w stepy poznał zwyczaje zamieszkujących je plemion, zyskał ich sympatię i dość łatwo opowiadał różne orientalne języki. Oprócz polskiego, rosyjskiego i francuskiego władał też arabskim, perskim i tureckim. Mało tego – gdy nakładał turban i dżalabiję, wtapiał się w otoczenie. Na szpiega nadal się doskonale.

Dzięki wstawiennictwu Humboldta sam car Mikołaj I postanowił ulżyć Polakowi – zgodził się na jego awans, choć wyrok sądowy wykluczał taką możliwość, i powierzanie mu coraz bardziej delikatnych misji.

W tamtym czasie Petersburg coraz chciwiej spoglądał na południowo-wschodnie sąsiedztwo – Azję Centralną. Kłopot w tym, że jeszcze dalej – bardzo daleko na południowy wschód – swoje kolonialne imperium budowała Wielka Brytania.

Jasne strony dziejów

Kim naprawdę był „Batyra”

Człowiek ukrywający się pod pseudonimem „Batyra”,

jak mało kto, uosabia zawikłanie polskich losów.

Patriota, który modlił się podług Koranu, karierę zawdzięczał

Niemcom, a służył Rosji. I skończył źle.

Tak zaczęła się wielka gra – niemal stuletnia rywalizacja obu imperiów, w której szpie-dzy, awanturnicy, geografowie na przemian się oszukiwali, współpracowali ze sobą i siebie zdradzali. Wielka gra była w sumie komedią omyłek. W stolicach obu potęg zaczęto się zastanawiać, jak zabezpieczyć się przed drugą stroną. Co prawda żadna z nich nie miała ambicji doprowadzić do starcia, ale na wszelki wypadek każda wymyśliła, że na ewentualność zagrożenia trzeba przeciągnąć na swoją stronę ludy zamieszkujące ów olbrzymi obszar, a przede wszystkim pozyskać lub podporządkować sobie Afgani-stan.

Witkiewicz został wysłany do Buchary, do Persji, a potem dalej, aż do Afganistanu, gdzie skutecznie pokrzyżował szyki szpiegom brytyjskim.

Ceniono go w Orenburgu i w Petersburgu. Zlecano delikatne misje. Jeden z rosyjskich oficerów pisał o „Batyrze”, że przy wyjazdach w stepy nakładał na siebie orientalne stroje, modlił się zgodnie z zaleceniami Koranu, w efekcie „w stepach uważano go za swoje-go”. „Batyra”, jak pisze jego biograf Władysław Jewsiewicki, znaczyło według plemion Azji Centralnej: „rycerz, bohater, dzielny człowiek, wspaniały jeździec w stepowym wydaniu”.

Peter Hopkirk pisał w swej książce o wielkiej grze, że także Brytyjczycy byli pod wrażeniem intelektu oraz zdolności językowych polskiego oficera w służbie carskiej. W Kabulu Witkiewicz poznał osobie Arcyszpiega brytyjskiego Aleksandra Burnesa. Pano-wie szanowali się, ale i rywalizowali o dostęp do ucha i zaufanie przywódcy Afganistanu Dosta Mohammada. Hopkirk pisze, że „Witkiewicz, który gotów był obiecać Afgańczykom gwiazdkę z nieba, byle tylko zająć w Kabulu miejsce Brytyjczyków, pokonał swego rywala zwykłą siłą cierpliwości”. Ostatecznie bowiem Burnes powrócił z niczym do Indii. Sukces „Batyra” przyspieszył wedle brytyjskiego autora jedną z największych katastrof, jaka kiedykolwiek spotkała brytyjską armię. Mowa o fatalnej wojnie brytyj-

sko-afgańskiej i upokarzającej klęsce Brytyjczyków.

Bartłomiej Sienkiewicz, który co nieco o szpiegach wie, pisał przed laty w „Tygodniku Powszechnym”, że był „Witkiewicz raz polskim patriotą, raz wiernym i odważnym superszpiegiem, a dla kazachskich badaczy – pierwszym, który z sympatią pochylił się nad narodami środkowej Azji, pionierem ich poznawania”.

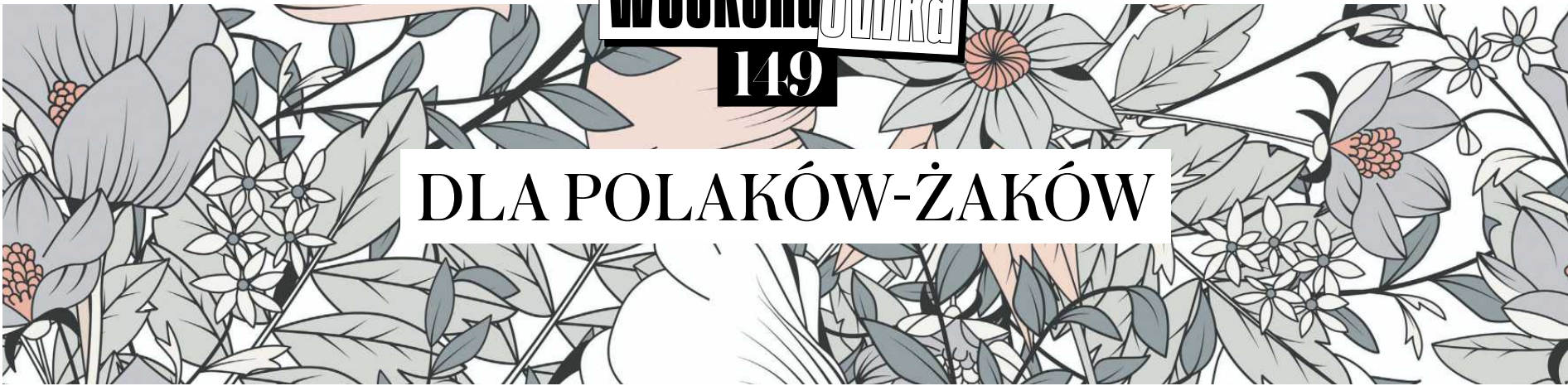
Los jednak nie był dla Witkiewicza łaskawy – wkrótce po udanej misji wezwany został w 1839 roku do Petersburga. Tam niedługo po przybyciu 8 maja w pokoju nr 6 w Hotelu de Paris znalazł no go martwego... Przyczyna tajemniczej śmierci do dziś nie została ostatecznie wyjaśniona. Samobójstwo? Zabójstwo? Jeśli tak – na czyje zlecenie. Petersburga? Londynu? Miał raptem 31 lat, gdy jego świetne życie się tak zagadkowo skończyło.

Kariera „Batyra” to oczywiście poza arcyciekawą historią przyczynek do obecności Polaków w Imperium Rosyjskim – także tych zsyłanych do dalekich guberni. Wielu z nich odnosiło tam niebywałe sukcesy naukowe jako badacze przyrody i ludów albo jako inżynierowie. I o wielu z nich nie chcemy pamiętać – bo nie pasują do wizji historii, w której carska Rosja zawsze była tylko „więzieniem narodów”.

Oczywiście Witkiewicz miał dużo szczęścia, że trafił na Humboldta, a potem na generała Wasilija Perowskiego, dla którego okazał się objawieniem i szansą na zwiększenie wpływów Rosji w regionie. I zdaje się, nie wytrzymują próby czasu starania podejmowane m.in. przez Stanisława Witkiewicza, synowca Jana (i ojca Witkacego), z uczynienia z „Batyra” kogoś na kształt Wallenroda chcącego doprowadzić do wojny Albionu z carską Rosją.

Ale i bez tego to postać godna uwagi i dobrze by było, żeby to znów Witkiewicz pierwszy wyskakiwał w wyszukiwarce, gdy wpisze się w niej słowo „Batyra”. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta



Dawno, dawno temu, przy ulicy Emilii Plater w Warszawie stała spora, drewniana buda. Szopa. Czy może raczej stodoła, ze względu na gabaryty. Nieopodal budowniczowie, „budowali w trudzie i znoju” – parafrazując Stanisława Anioła z „Alternatywy 4”, okazały gmach. To Pałac Kultury i Nauki. Owi budowniczowie musieli się jednak gdzieś stołować, więc za kantinę służyła im właśnie ta stodoła.

Budowę PKiN zakończono 21 lipca 1955 roku, ale nie oznaczało to bynajmniej końca drewnianego baraku. Lokal podnajeła Politechnika Warszawska i odtąd stołowali się w niej studenci. Ale to za dnia. Umyślono, że wieczorową porą odbywać się tam będą potańcówki, czy występy kabaretowe.

Na otwarcie klubu, który, rzecz jasna, od razu został ochrzczony „Stodołą”, wystąpił ze swoim septetem jazzowym saksofonista i klawecista Janusz Zabieglński, który zresztą później grywał tu regularnie, w czwartki, soboty i niedziele w ramach jazzowych wieczorków.

„Otwarcie wzbudziło ogromne zainteresowanie. Fotograf Marek Karewicz wspominał, że mimo znajomości nie mógł wejść do klubu głównymi drzwiami i przeciskał się przez okno damskiej toalety” – pisał w „Gazecie Wyborczej” na 60-lecie „Stodoły” Paweł Gawlik.

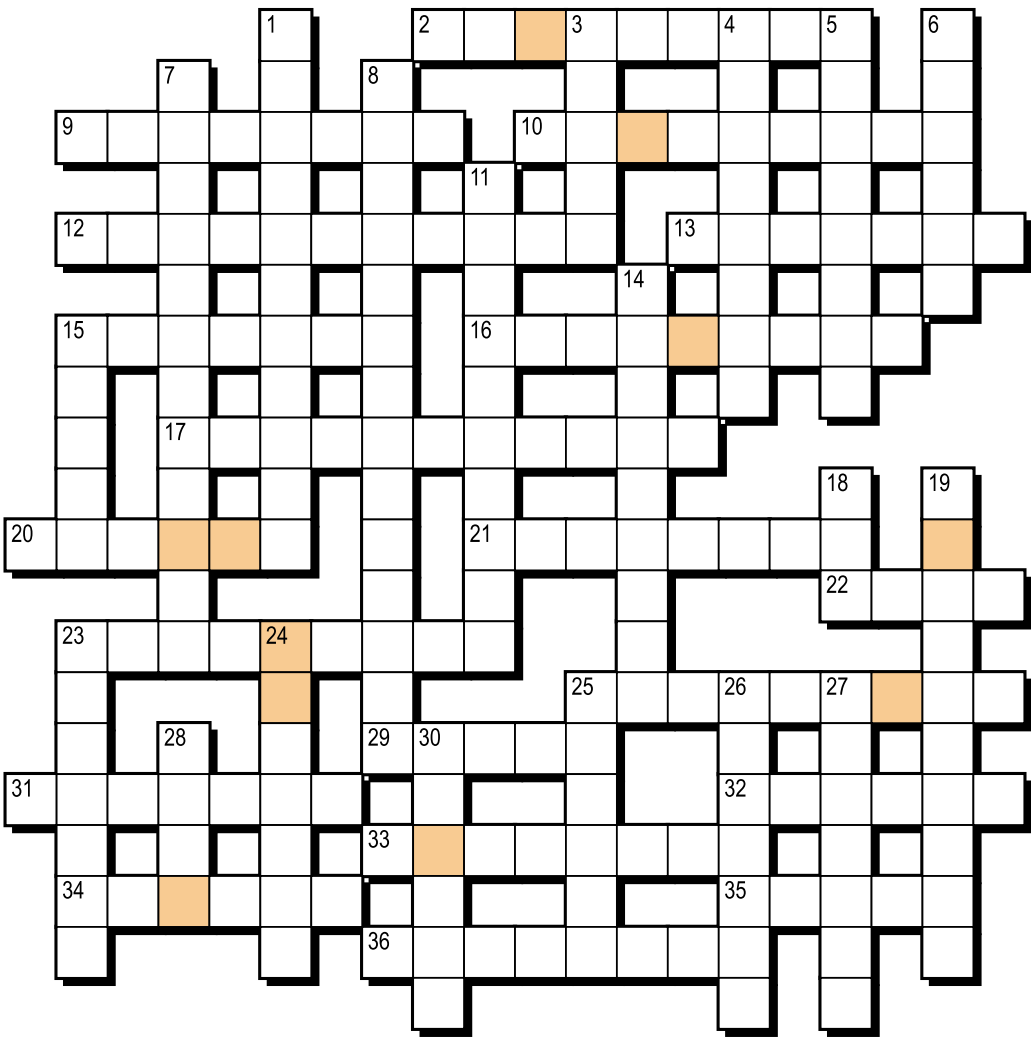
„Stodoła” rychło stała się jednym z kluczowych punktów na kulturalnej i imprezowej mapie stolicy. Tu odbyły się trzy pierwsze edycje Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Jazzowej Jazz Jamboree (1958-60), tu rezydowały legendarne polskie grupy jazzowe, jak Hagaw, Old Timers czy Stodoła Big-Band, tu do wielkiej kariery, tak tragicznie zakończonej, wystartowała aktorka i modelka Teresa Tuszyńska, zwana „miss Stodoły”.

Tu wreszcie odbył się pierwszy w Polsce striptiz – w 1957 roku, jako element kabaretowego programu „W tym szaleństwie jest metoda”, którego autorami (programu, nie striptizu) byli Jan Tadeusz Stanisławski i Jan Biczyski, jeden ze współzałożycieli „Stodoły”.

Osobną instytucję stanowili pracownicy klubu, m.in. pilnujący porządku bramkarze. Tym pierwszym był Eugeniusz Halski, zwany Gienkiem Frajerem, prawdziwy bon vivant Warszawy. „Stodole” szeryfowali też m.in. Maciej Janowski, mistrz polski w judo, późniejszy działacz antykomunistycznego podziemia i poseł na Sejm z AWS oraz znany z programu „Europa da się lubić” angielski strażak (od 2023 roku obywatel Polski) i zagorzały kibic Chelsea, Kevin Aiston.

„Stodoła” zmieniała adresy – na ul. Trębacką, Wspólną, Nowowiejską, by w 1972 roku osiąść na stały przy ul. Batorego 10. Ale studenckiego sznytu i ducha nie zmieniła nigdy. Dlatego dzisiajszą Weekendówkę, z okazji inauguracji legendarne klubu, poświęcamy studiom, studiowaniu i uczelnianym klimatom.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki” nr 148
z 29.03

Poziomo: 6) ineksprymable, 8) okno, 10) stanik, 11) szafa, 12) sex-shop, 13) kociaki, 14) noga, 15) skandale, 17) stringi, 20) bielizna, 21) opierunek, 22) ażur, 26) gabinet, 28) akt, 29) szew, 30) top, 31) Capra, 33) lizeska, 34) urlop, 36) mól, 37) bokserki, 38) koldra.

Pionowo: 1) biustonosz, 2) dezabil, 3) sylwetka, 4) kalesony, 5) plażowanie, 7) slipki, 8) oczko, 9) naftalina, 14) negliż, 16) bikini, 18) gorset, 19) opera, 21) opalacz, 22) arszenik, 23) rewia mody, 24) koszulka, 25) striptiz, 27) topless, 32) autor, 35) para.

HASŁO:
CZARNE KABARETKI

KRZYŻÓWKA STUDENCKA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 2) Oxford i ..., dwa najstarsze brytyjskie uniwersytety
9) kieruje pracą magistranta lub doktoranta
10) ... nad Menem, z Uniwersytetem Goethego
12) ... trzeciego wieku
13) sporządzane podczas wykładów, seminariów, ćwiczeń
15) główny księgowy szkoły wyższej
16) wydalenie studenta z wyższej uczelni, np. za rażące naruszenie jej regulaminu
17) student lub absolwent prestiżowego uniwersytetu w stanie Massachusetts (USA)

- 20) podręczniki zawierające utwory lub fragmenty utworów literackich różnych autorów
21) AGH, SGH lub UJ
22) ... studencki, miejsce spotkań, rozmów, a nierzadko dobrej zabawy
23) coś dla pokojowo nastawionych studentów
25) zatrudniony w PAN-ie
29) imię patronki lublińskiego uniwersytetu
31) stypendialny – dla najlepszych studentów
32) synonim 25 poziomo
33) kształcili się w seminarium
34) tereny i budynki uniwersytetu
35) najlepsi z najlepszych, śmietanka
36) placówka naukowo-badawcza

Pionowo:

- 1) zastępują szefów wyższej uczelni
3) sztywna czapeczka bez daszka, oznaka godności profesorskiej
4) ... honoris causa, honorowy stopień naukowy
5) kształcenie się
6) S w ASP (wpisujemy w mianowniku)
7) kuźnia magistrów inżynierów
8) wyższa uczelnia muzyczna
11) wiekowe wydawnictwa w zbiorach np. Biblioteki Jagiellońskiej
14) jeden ze specjalizacji filmówki
15) ... przygotowawcze do matur, egzaminów
18) student uniwersytetu w czasach średniowiecza

- 19) potocznie o mieszkańcu akademika
23) stanowisko dla doktora na wyższej uczelni
24) unijny program umożliwiający m.in. wymiany studenckie, realizację międzynarodowych projektów
25) rekrutacje chętnych na studia
26) Nawojka – pierwsza ..., która studiowała na Akademii Krakowskiej, gdzie zapisała się w XV w. w męskim przebraniu
27) wyższej uczelni – to fakultet
28) imię patrona Uniwersytetu Poznańskiego
30) absolwenci w wyższych uczelniach anglosaskich

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

